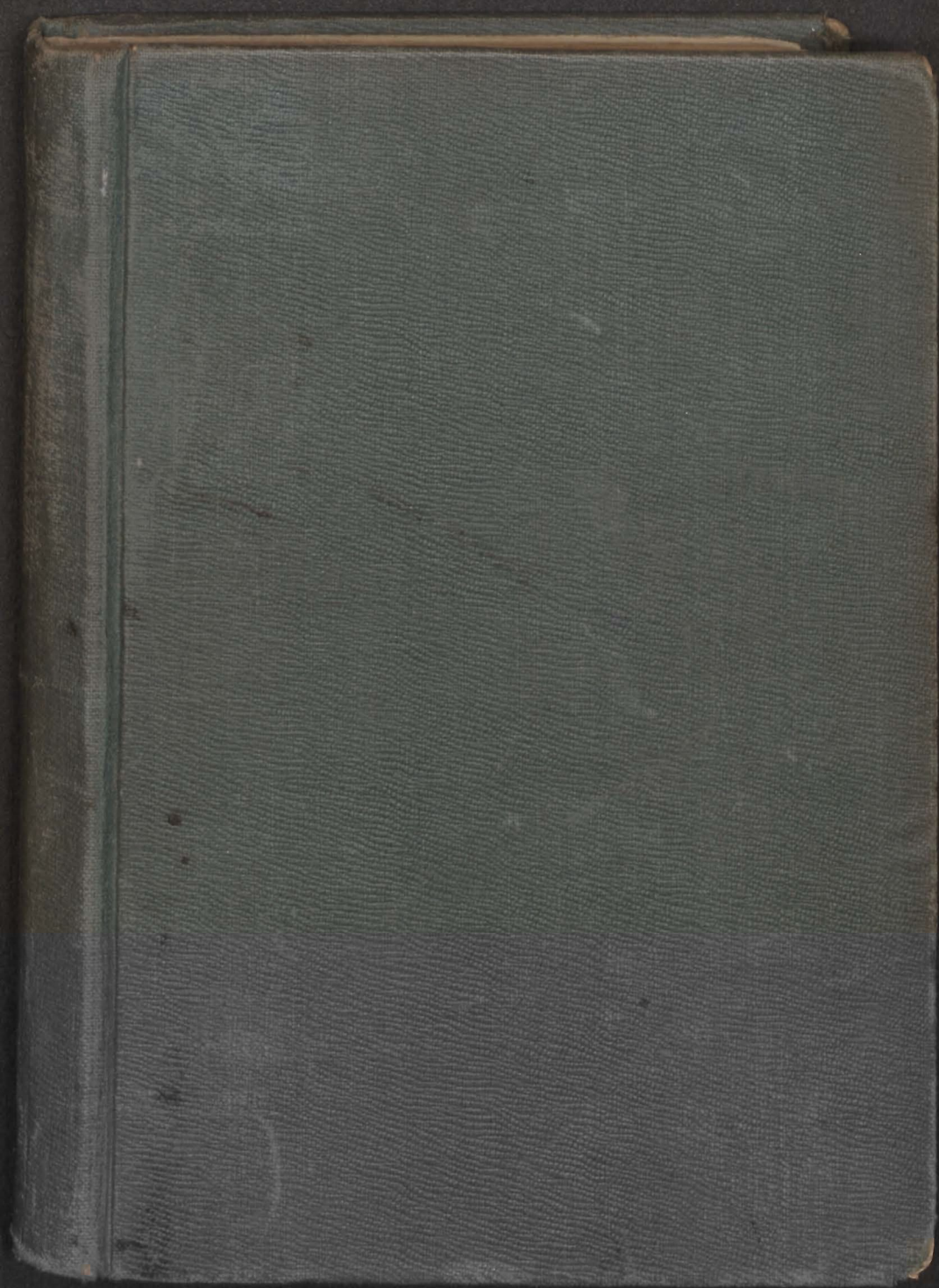




*BIBLIOTEKA TYGODNIKA
ILLUSTROWANEGO TOM XXX*

BOLESŁAW PRUS
(*ALEKSANDER GŁOWACKI*)

P I S M A

DUSZE W NIEWOLI

*NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW TYGODNIKA
ILLUSTROWANEGO—GEBETHNER I WOLFF, WARSZAWA*

4878/2847B

BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

DUSZE W NIEWOLI

POWIEŚĆ

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-32206



001-0037565--00

WYDAWNICTWO REDAKCJI TYGODNIKA
ILLUSTROWANEGO, WARSZAWA, UL. ZGODA 12.

Wszelkie prawa przdiuku i przekładu zastrzeżone

WRODZINA WL. LAZARSKIEGO, WARSZAWA.

I. W cukierni.

Bywają wieczory nie jasne i nie ciemne; poprostu mizerne. Zdarzają się wówczas, gdy na ziemi leży śnieg, a na niebie chmury, o tyle gęste, że zasłaniają księżyc, a o tyle rzadkie, że pozwalają przesączać się potokom światła. W warunkach takich przedmioty czarne wydają się jeszcze czarniejszemi, kolorowo-szaremi. Przy pewnym wysiłku organów optycznych, czytaćby można książkę; lecz z drugiej strony, bez skompromitowania się, można by również nie poznać dobrze znanej osoby.

Z tej to zapewne racji mężczyźni, którzy wchodzili do cukierni, nie poznawali innego mężczyzny, który spacerował pode drzwiami zakładu. Wchodzący byli to ludzie młodzi, ubrani po większej części w futra; spacerujący nosił na sobie paltocik, który nie musiał go zresztą zbyt obciążać, był bowiem nader lichy podwatowany. Miał on prócz tego na głowie starą czapkę, z pod której wymykały się ciemne, niedość starannie uczesane włosy. Od strony daszka znowu ciekawo dostrzec mógł śniadą twarz, duże oczy i potarganą brodę.

Człowiek spacerujący na każdego z tych, którzy

wchodzili do cukierni, rzucał bystre spojrzenie, a potem szybko odwracał głowę; oglądany robił prawie to samo. Takie zachowanie się rodziło dwa domysły: pierwszy — że nieznajomy musiał czekać na kogoś, drugi — że między nim a tymi istniało jakieś nieporozumienie.

Niekiedy w oświetlonych drzwiach cukierni ukazywali się dwaj, lub trzej panowie i, mówiąc coś do siebie, wskazywali palcem na nieznajomego, który wówczas szybko odchodził na bok.

Manewry te trwały dosyć długo, gdy nagle na chodniku ukazał się jeszcze jeden młody mężczyzna, ubrany w nowe elki i równie, jak jego poprzednicy, śpieszący do cukierni. Jegomość ten był średniego wzrostu i miał eleganckie ruchy; przy świetle dziennem łatwo by się można przekonać, że jest to przystojny szatyn, z jasnym zarostem i szafirowemi oczyma.

Ujrzawszy go, człowiek w paltocie pobiegł parę kroków naprzód i z odcieniem niecierpliwości w głosie, zawołał:

— Aaa... Sielski!...

Elegancki szatyn stanął, odwrócił głowę na bok i z lekkim uśmiechem odparł:

— Aaa... Lachowicz?!

Światło z okna padło na twarz obu. Sielski był ciągle uśmiechnięty; Lachowicz zaś zakłopotany i wzruszony. Przez pewien czas patrzali na siebie, milcząc; nagle Sielski spytał:

— Czy masz do mnie interes?...

Lachowicz zawałał się, a potem odpowiedział prędko, tonem szorstkim:

— Żadnego!

Zawrócił się i poszedł dalej.

Sielski, znów uśmiechnąwszy się, patrzył na odchodzącego jak na warjata i szepnął:

— Potrzebuje pieniędzy!...

I wciąż patrzył. Lachowicz tymczasem, ubiegłszy kilkanaście kroków, stanął, zrobił ruch, jakby chciał zawrócić, lecz wreszcie poszedł przed siebie krokiem powolnym, z głową zwieszoną.

— Jednakże i w nim coś jest nakształt ambicji!— pomyślał Sielski.

W tej chwili toczyła się odwieczna walka między dwoma ludźmi, z których jeden potrzebował pieniędzy, a drugi je miał i hojnie rozpożyczał znajomym. Podobną usługę nieraz Sielski oddawał Lachowiczowi, nigdy nie pytając o termin zwrotu. Od pewnego czasu jednak pozycja towarzyska i usposobienie Lachowicza uległo zmianom: znajomi go unikali, on zaś stał się dziwnie drażliwym. Dawniej przychodził wprost do mieszkania Sielskiego i mówił ze śmiechem: „Pożycz mi tyle a tyle“; dziś czatował na niego pod drzwiami cukierni, nie śmiał zaczepić i obraził się bez widocznego powodu.

— A cóż mnie to obchodzi! — mruknął Sielski, niby kończąc jakąś myśl, i chciał wejść do cukierni.

Lecz wstrzymał się i znowu spojrzył za Lachowiczem. Miał on dobre serce, żał mu więc było człowieka, widocznie bardzo potrzebującego; chciał

nawet dogonić go i narzucić mu się z pożyczką. Lecz następnie inne myśli wzięły górę:

— Nie widzę racji poddawać się jego grymasom — mówił do siebie. — Kto czego chce, niech prosi. I jeszcze kto, ale on!...

Pchnął gwałtownie drzwi i wszedł do zakładu, z którego doleciał go dym, gwar i gorąco. Był jednak jakiś gniewny; widocznie Lachowicz zepsuł mu humor.

— Dla pana czarnej kawy? — spytał go garson.

— Później — odparł Sielski.

Garson uklonił się, poprawił na ramieniu serwetkę i poszedł do innego gościa z zapytaniem:

— Pan już co stałował?

Wśród obłoków dymu, unoszącego się w pokoju, słabo oświetlonym kilku gazowymi płomieniami, odróżnić było można dwie grupy mężczyzn.

Jedna z nich skupiła się około pary szachistów, druga otaczała wielki stół marmurowy.

Byli to artyści, adwokaci, asesorowie, a i literatów nie brakło. Każdy prawie z tych panów pędził żywot w kawalerskim stanie i każdy, ukończywszy robotę dzienną, uciekał od nudów domowych do cukierni, gdzie się mógł naśmiać, a w najgorszym razie zobaczyć oddawna znajome fizjognomie.

— Panowie! pan Sielski ma głos... — zawołał pewien młodzieniec, ujrawszy przybyłego.

Nastało chwilowe milczenie, które niebawem przerwał ktoś inny, pytając młodego mężczyznę:

— Czy to ma być dowcip, panie Rumaszko?...

zbrodniarz snąć nie miał rodziny i dlatego został występny.

Główną figurą nowego obrazu pod tytułem: „Na łonie rodziny“ był ranny w piersi i konający żołnierz włoski. Leżał widocznie na własnej pościeli i we własnej chacie, w której znać jeszcze było ślady świeżej walki. Żona rannego z gestem rozpaczry rzuciła mu się do nóg, zgrzybiały ojciec z osłupieniem patrzył na półmartwe rysy dziecka, do izby tłoczyli się przerażeni sąsiedzi. Lecz żołnierz nie widział ich.

Najciekawszem jednak było dopełnienie. Oto w drugim oknie, jakby z poza mgły niebieskawej, widać było zdziwioną i łzami zalaną twarz dziewczyny, ubranej w popielaty burnus, błękitną suknię i czarny kastorowy kapelusz. Pod oknem zaś, już w izbie, siedział jakiś człowiek z głową pochyloną i obliczem zasłanionem rękoma. Gdyby kolor i sposób ułożenia włosów upoważniały do jakichkolwiek wniosków, możnaby sądzić, że był to portret Lachowicza, jak znowu trudno było nie spostrzec rażącego podobieństwa między dziewczyną z obrazu a Jadwigą.

Hypochondryk pierwszy zobaczył nowe dzieło. Przetarł parę razy binokle, siadał, wstawał, a wreszcie mruknął:

— A niechże cię djabli wezmą!

I o dziwo! ucałował Lachowicza, który nieprzystoite wykrzykniki starego przyjaciela cenił wyżej nad wszelkie pochwały.

I przed tym obrazem zatrzymywały się tłumy,

— No, zacznij znowu od początku, kapitanie! — zawołano z tłumu.

Kapitan zaczął:

— Szczególna przygoda, powiadam wam, zakrawa na farsę...

Idę sobie wczoraj przez ulicę i słyszę jakiś szelest jedwabiu. Oglądam się... i — widzę zawoalowaną damę, która zachowuje się tak, jakby mnie goniła...

— A pan uciekasz?...

— Ale gdzież tam! — oburza się kapitan i mówi dalej: — Widząc, że mnie goni, stanąłem, a ona do mnie: „Jasiu! ja cię kocham...” Powiadam wam, żem zgłupiał, wobec tak obcesowego postępowania kobiety w jedwabiach i koronkach...

— Któż to był? — spytano z boku.

— Ktoś od Brajbisza — odezwał się Rumaszko.

Zgromadzenie wybuchło śmiechem, kapitan zaś uderzył pięścią w stół i, patrząc dokoła smutnymi oczyma, zawołał:

— Panowie!... Ależ nauczmy się dyskutować parlamentarnie!

Obok kapitana, z wyrazem niezamąconego zadowolenia na obliczu i otwartym katalogiem w rękę, siedział literat Roman, który od kilku lat polując na typy, włóczył się po wszystkich knajpach i jak najstaramiej każdy usłyszany wyraz zapisywał. Ten to pan Roman, zwróciwszy się do kapitana, zapytał go słodziutkim głosem:

— Czy pozwolisz mi pan zużytkować tę znakomitą sytuację?...

— Po mojej śmierci, panie!... po mojej śmierci!... odparł melancholijnie zagadnięty.

Na parę minut przedtem, przysiadł się do wielkiego stołu człowiek z miną *dżentelmena*, który, korzystając ze względnej ciszy, spytał:

— Czy nie mógłbyś mi pan, kapitanie, opowiedzieć o awanturze Lachowicza, ponieważ od kilku dni krąży z tego powodu mnóstwo plotek?...

— Panu opowiem!—odparł kapitan.—Naprawdę rzecz się tak miała:

Jakiś facet zaczepił na ulicy dwie kobiety. Lachowicz go zwymyślał, a on Lachowicza wyzwał na pojedynek... Ludwik przyjął... no! i już wszystko było przygotowane jak najporządniej, kiedy się nagle cofnął...

— Podobno pan chciał go zastąpić? — spytał dżentelmen.

— Uważałem to za honorowy obowiązek — odparł kapitan. — Ale i coś z tego, kiedy tym znowu razem facet nie chciał stanąć!... — dodał z głębokim westchnieniem.

— To mnie dziwi, że się Lachowicz cofnął!... — mruknął dżentelmen, kręcąc głową. — I czy nie wie pan, z jakiego powodu?...

— Nie wiem!... nie wiem!... — jęknął kapitan, zwróciwszy łzawie spojrzenie na dno pustej filiżanki.

— Brawo, Lachowicz!... Podobał mi się ten Ludwiczek!... — mówiono w tłumie.

— Jabym mu już odtąd ręki nie podał!—mruknął ktoś.

— Ja się z nim nie witam! — dorzucił drugi.

— Ani ja.

Słuchając tego, kapitan robił się coraz smutniejszym, dżentelmen spoglądał z góry po zebraniu i nieznacznie ruszał ramionami, a Sielski był wzruszony, choć usiłował zapanować nad sobą.

— W każdym razie, jest to genialny malarz ten Lachowicz — przerwał dżentelmen.

— Masz pan rację, daj pan dwa złote! — krzyknął Rumaszko, znudzony długim milczeniem.

Dżentelmen pogardliwie spojrzał na sufit, na takich bowiem, jak Rumaszko, nie zwykł był rzucać nawet pogardliwych spojrzeń. Potem zaś powtórzył:

— Tak! to bardzo zdolny malarz!

— Szkoda tylko, że unika pojedynków!... — szepnął ktoś.

— I płacenia długów... — dorzucił inny.

Dżentelmen wstał i, biorąc kapelusz do ręki, rzekł tonem profesorskim.

— Kto wie, co go do tego skłoniło?... Życiem rozporządzać może tylko człowiek wolny, pan Lachowicz zaś...

— Czy sądzisz pan, że się zaprzedał komu?... — spytał z uśmiechem Sielski.

— Może być niewolnikiem jakichś obowiązków, które nietylko zabraniają mu pojedynkować się, ale nawet krępują jego talent.

To powiedziawszy, wyszedł. Literat Roman każde jego słowo z gorączkowym zapisywał pośpiechem, a melancholijny kapitan ze smutkiem rozmyślał: kogoby też wyzwąć na pojedynek, albo

przynajmniej zachęcić do walki i zostać sekundan-tem? Reszta obecnych rozmawiała o Lachowiczu, Sielski zaś medytował. Trafiły go wyrzuty sumienia, i przykro mu było, że nie on, ale ktoś inny ujmował się za honorem nielubionego wprawdzie, lecz nieszczęśliwego kolegi. Z drugiej jednak strony nie miał siły wystąpić w jego obronie. Jeżeli nie charakter, to przynajmniej życie Lachowicza przedstawiało wiele punktów zagadkowych, a przytem (wstyd wyznać!) uchodził on między ludźmi za najzdolniejszego malarza. Najzdolniejszy!... Miał-żeby być wyższy nawet od Sielskiego pod tym względem?...

Tymczasem do uszu Jerzego dolatywały wyrazy: „tchórz“, człowiek małego charakteru“, artysta zdolny, lecz nie posiadający ukształcenia“, a wszystkie te epitety stosowały się do Lachowicza. Sielski był odurzony i nie wiedział, czy się ma cieszyć, czy gniewać. Wreszcie —kazał sobie dać szklankę ponczu...

Wypiwszy kilka łyków gorącego trunku, Jerzy uczuł nagle, że jego niechęć do Lachowicza zmniejsza się i ustępuje litości. Sielski wogóle nie był przyzwyczajony do spirytualjów i, jak powiedziano wyżej, miał dobre serce. Żal mu się zrobiło obmawianego, przestał się w nim lękać współzawodnika, nabrał w tej chwili wiary we własny talent, przejął się wstrętem do plotek i już — już miał wystąpić z mówką w obronie Lachowicza, gdy wtem uczuł, że ktoś zlekka dotknął jego ramienia.

Obejrzał się, za nim stał Lachowicz, z chorobli-

weni rumieńcami i wyrazem wzburzenia na twarzy.

— Jerzy... słówko!... — szepnął przybyły.

Ukazanie się Lachowicza podnieciło towarzystwo. Jedni śmiali się na głos, inni poczęli rozmawiać o pojedynkach; tylko mężczyzna, zwany kapitanem, oparłszy głowę na rękę, milczał i miał taką minę, jakgdyby pragnął zapaść się w ziemię.

Wezwany Sielski szybko wstał i chciał z interesantem wyjść do drugiego pokoju. Któryś jednak dowcipniś zwrócił się do Lachowicza, mówiąc:

— Panie Ludwiku! Korpaczewski dowiaduje się o pański adres...

— Czegóż on chce? — spytał nieostrożnie Ludwik.

— Chciał pana dawno pochować, usłyszawszy, żeś zginął w pojedynku!...

— Dajże pan pokój! — upomniął dowcipnisia Sielski i, wzięwszy Lachowicza pod rękę, wyszedł z nim do bufetu.

— Pożycz mi trzy ruble... — odezwał się cichym głosem Lachowicz.

Prośba ta, niemal pokorna, rozrzewniła Sielskiego. Szybko wydobył portmonetkę, lecz zamiast od razu dać pieniądze, zabrał pierwaj głos.

— Mój Ludwiku! — rzekł — dlaczego jesteś ze mną nieszczerym?... Nie trzy, ale trzydzieści rubli dałbym ci chętnie, gdybyś mi powiedział, co mianowicie wpływa na twoje dziwne postępowanie?...

Wszakże jesteśmy...

Usłyszawszy to, Lachowicz przerwał mu z szyderczym uśmiechem.

— Zawsze, widzę, jesteś poeta.... Chcesz, abym

przed tobą otworzył serce, jak prowentowy pisarz przed pokojówką?... Robię tak i postępuję z ludźmi, jak mi wygodniej; oto moja tajemnica!... Dajże mi te trzy ruble...

Rozczulenie Sielskiego minęło. Szorstka odpowiedź Lachowicza wydała mu się świętokradztwem w tej chwili. Umilkł więc, dał mu trzy ruble, i, nie kiwnąwszy nawet głową, wrócił do swego towarzystwa i do ponczu, który posiadał roztkliwiające własności.

Zobaczywszy to, Lachowicz wyprostował się, a oczy mu dziko błysnęły.

Zmiał w rękę banknot, jakby chciał go rzucić za odchodzącym, lecz szybko ochłonął i z wyrazem nieopisanej boleści opuścił cukiernię.

— I za co ja tyle cierpię?... — szepnął.

Powoli knajpujące towarzystwo poczęło się rozchodzić, a między innymi wyszedł i Sielski, do którego przyczepił się literat z katalogiem.

— Pan wie — mówił literat — że Lachowicz staje do konkursu?...

Maluje „Ostatni dzień skazanego...”.

Sielski drgnął i po chwili odburknął:

— Tak?!

Potem umilkł. Wiadomość ta zaniepokoiła go, i on bowiem stawał do konkursu, a obawiał się Lachowicza. Sielski miał wprawdzie gruntowne ukształcenie artystyczne i znał europejskie galerje, współzawodnik zaś jego nie znał i nie widział nic, lecz miał ogromne zdolności. Pierwszy często malował piękne cacka, drugiemu udawało się niekiedy pod-

chwytywać głębsze sekrety natury i przedstawiać je z niezrównaną prawdą. Straszny ten współzawodnik stał dotychczas w cieniu; jakieś nieznane więzy krępowały polot jego ducha. Lecz coby się stało, gdyby wyszedł kiedy na światło?...

„Zbyt małą ma wartość moralną, aby zostać wielkim“! — pomyślał Sielski, a potem mimowoli zestawił swój majątek z biedotą współzawodnika.

— To człowiek dziwny, — zaczął znowu Roman — oryginalnych zasad ten Lachowicz...

— Powiedz pan: żadnych zasad! — odpowiedział gniewnie Sielski.

— Zapewne jest bardzo ubogi?

— Sądzę, że jednakże zarabia pendzlem około ośmiuset rubli...

— Osiemset rubli! — wykrzyknął literat, pomyślawszy o swoich skromnych dochodach.—A gdzież on je podziewa?... bo wszak nie ma rodziny.

— To podobno całe jego szczęście, — rzekł Sielski — że rodziny nie ma, boby ją moralnie i materialnie zgubił. Przypuszczam jednak, że na dnie tego wszystkiego musi się ukrywać jakaś kobieta... Naturalnie z tej co i on kategorii.

Literat strzelił z palców i uradowany zawołał:

— A wiesz pan, że to jest pyszny pomysł!... Tak, to jasne jak słońce!... Cudowną powieść napisze o człowieku, który, mogąc zostać malarzem, rozłajdaczył się — dzięki niestosownej miłości. Dobranoc panu! I, powiedziawszy to, literat z katalogiem pobiegł pędem do swego mieszkania.

„Cokolwiekby, — myślał Sielski — mój przy-

jacieli Lachowicz ma wszelkie kwalifikacje do tytułu: człowieka bez charakteru. Nie chciałbym mieć z nim kiedykolwiek awantury...”.

Gdyby w tej chwili powiedział kto Sielskiemu, że on sam prześcignie w sztuce Michała Anioła, lub, że Roman zostanie wielkim powieściopisarzem — uwierzyłby. Lecz nigdyby nie uwierzył temu, że on i ci, którzy tak sumarycznie osądzili i potępili Lachowicza, nie mają racji.

2. Nędzarz.

Tego samego wieczoru, około godziny dziesiątej, jedną z najuboższych ulic miasta szedł człowiek, z pozoru wyglądający na robotnika. Miał na sobie starą burkę i z długimi cholewami buty. Twarzą nie można było poznać, okrywała ją bowiem brudna chustka, przewiązana widocznie dla zasłonięcia uszu lub zębów.

Potykając się co chwila w wybojach, ukrytych pod śniegiem, na ulicy słabo oświetlonej, człowiek dosięgnął drewnianego domu i zapukał we drzwi, które mu po upływie dość długiego czasu otworzono.

— Kto tam? — zapytał stróż przybyłego.

— Ja, Stanisławie! Cóż tu u was słychać?

— Aha!... pan... Żle słychać: stary znowu zmajstrował.

Ukradł mi dziś samowar, co go wzięłem od gospodarza do czyszczenia.

— Niestety! — mruknął przybyły. — Cóż gospodarz?

— Jeszcze nic nie wie, ale jak się dowie, to pewnością da znać do cyrkułu.

Ostatnia uwaga tak wzruszyła nieznajomego, że się oparł o ścianę i chwilę milczał; potem zaś stłumionym głosem zapytał:

— Czy wychodził gdzie dzisiaj?...

— I, gdzie tam! ani dziś, ani wczoraj; a samowar musiał tu w domu gdzieś się zaprzepaścić. Ale wypiera się. Com się go naprosił, a on nic i nic... Będzie bieda.

— No, jeżeli nie wychodził, to się samowar znajdzie, tylko nic nie mówcie — odpowiedział przybyły nieco spokojniej.

Stróż zamknął drzwi i legł w długiej pace, stojącej w sieni; nieznajomy zaś wszedł na podwórze. Tu znajdowało się kilka także drewnianych domków, tudzież budynek, będący w połowie obora, w połowie mieszkaniem ludzkim.

Przy blasku światła, padającego z niektórych okien i odbijającego się od śniegu, przybyły dość szczęśliwie wyminął zepsutą pompę, rozebrany wóz, stosy belek i dotarł do mieszkania przy oborze. Stał obok małego okienka i zapukał w nie raz i drugi.

— Kto tam?... — zapytano z wnętrza.

— Ja.

W ciemnem mieszkaniu rozległ się łoskot i w chwilę potem ukazały się przez szybę niewyraźne rysy twarzy ludzkiej.

— Kiedy nie wiem: kto? — zapytano powtórnie.

— No ja, Ludwik! — odpowiedział przybyły.

— Aha!...

Obok okna zaszeleściło coś, jakby powróż, odwiązywany od gwoźdźcia, i niebawem uchyliły się drzwi wąskie i niskie.

— Zimno! — mruknął właściciel mieszkania, a przepuściwszy nieznajomego, szybko zatrzasnął drzwi i znowu je sznurem do haka przywiązał.

Przybyły, nazywający się Ludwikiem, wydobyl z kieszeni małą świeczkę, zapalił ją i osadził w pewnego rodzaju drewnianym lichtarzu, przybitym do ściany.

Teraz dopiero można było rozejrzeć się w kletce. Miała ona zaledwie kilkanaście łokci kwadratowych powierzchni, a całe umeblowanie jej stanowił tapczan z brudnym siennikiem, paka mieszcząca w sobie parę sztuk garderoby i parę glinianych naczyń, stół bez poręczy i stary piec żelazny. Drewniane ściany izby pełne były szczelin, zamazanych gliną.

Ten obraz nędzy uzupełniał sam gospodarz, człowiek z twarzą obrzękłą i pokrytą gęstym, czarnym zarostem, z głową napół łysą, napół siwiejącymi przysłonioną włosami. Miał na sobie brudną i podartą bieliznę, tudzież długi kożuch, który w nocy służył mu zamiast kołdry.

Ludwik, nie zdejmując czapki, siadł na tapczanie, wydobyl z kieszeni kilka bułek, spory kawał kiełbasy i podał je starcowi.

— Niech ojciec je — odrzekł sucho.

-- Gdzie mnie tam jedzenie w głowie! -- mruknął stary, siadając obok syna i owijając się w kożuch.

— Albo co?

— Chory jestem, zimno mi, okli mnie...

— Wszystko tak do wódki! — rzekł Ludwik, zwieszając głowę na piersi.

— Może nie?... Któż to na taki ziąb wódki nie pije?... Dopóki człowiek był sam, to pił wedle żądania, ale jak raz poszedł na opiekę, to mu ją niby ptakowi wydzielają, jeszcze kto?... Stróż!... co sam połowę rozkrada.

— Stanisław wódki nie pije — odparł syn.

— O tem nikt nie może wiedzieć!

Nastąpiła pauza. Starzec oparł się o ścianę, drżał i ziewał, a potem począł znowu mówić głosem stłumionym i żalonym:

--- W kryminale gorzej nie jest; byłem przecie, to wiem! Tam bogatsi mają wódkę z miasta i wspierają uboższych. Wódka dla starego to jak mleko dla dziecka. Na starość krew stygnie, rozum słabnie, ręce i nogi sztywnieją. Dlatego Pan Bóg powiedział do człowieka: „Naści wódki, człowiecze, żebyś nie zmarł i nie był podobny bydłciu!” Dawniej było lepiej. Nieraz głód się zdarzał na świecicie i różne choroby, ale człowiek wszystko przetrzymał, bo dostał wódki za grosz więcej, aniżeli dziś za sześć. Przytem nikt mu przez stróżów nie wydelał. Synowie też za dawnych czasów byli inni i żaden ojca się nie wstydził i nie znęcał się nad nim... Ho! ho!... Niechno jabym mojemu staremu

powiedział: „Nie chodź, stary, po mieście!“ — albo: „Stanisław będzie ci wódkę wydawał“ — albo: „Komu to stary kozuch sprzedajeś?“... — dałby on mi! Popamiętałbym ruski miesiąc.

— Może i mnie ojciec zrobi tak samo — spytał Ludwik.

— Ja tam nic nie mówię... ja tam nikomu nie wygrażam, ani dokuczam!... Chcę tylko na świat wyjść, choćby do kryminału wrócić, bo mi tu źle!... — mówił stary, stopniowo głos podnosząc.

— A cóż ojcu złego? jeść nie ma, czy co?...

— Co mi tam jedzenie!... Ja chcę wyjść do ludzi, pogadać czasem, wódkę pić, kiedy się żądzi, albo kiedy człowiek chory... A tu siedzę po całych dniach jak pies, bo buty stróż mi chowa. Roboty żadnej; to się też tak przykrzy, że nieraz chciałby się człowiek powiesić z tęsknoty!

— Kupiłem przecież statki, przynosiłem skóry. ale ojciec wszystko stracił na wódkę — rzekł Ludwik.

— Ja tam nie traciłem!... A zresztą, jak człowiek chory, to się przecie ratować musi.

Nastąpiło znowu milczenie, które przerwał Ludwik, pytając:

— Gdzie ojciec samowar podział?

— Jaki samowar?... słyszał kto takie plotki?

— Samowar gospodarza, który Stanisław dziś wieczorem wziął do czyszczenia?

— Kiedy on wziął, to i on ukradł. Ja tam o żadnym samowarze nie wiem — odpowiedział stary z gniewem.



— Jutro przyjdzie policja, samowar znajdzie, ale i ojca weźmie!... — rzekł Ludwik głosem stłumionym.

— To niech weźmie! Ja chcę siedzieć w kryminale... chcę!... — wołał stary, bijąc pięściami o kolana. — Tu mi źle, gorzej niż w szpitalu... Wolności żadnej, roboty ani żdźbła, a do tego jeszcze nie wiem, co się z Zosią dzieje, z mojem dzieckiem kochanem!...

— Więc ojciec nie odda samowara?

— Nie oddam!... zresztą ja nie wiem, czego kto chce ode mnie?... Stanisław rozpuszcza plotki, a ludzie mu wierzą...

— Stanisław do mnie tylko mówił, nie do ludzi — odparł Ludwik.

— Ja tam nie wiem, do kogo mówił! — wołał starzec, tyłem odwracając się od syna. — Plotki robić on umie, ale nie potrafi tego powiedzieć, żeby mnie tu nie wzięli i żeby mi Zosię pokazali!... Może ją też w takiej samej ciupie trzymają?... czy ja wiem? Może ją i zabili?...

— Zosia jest w szkole.

— A to dobrze! Nauczy się tam pomniatać ojca i dokuczać mu. Oj! czasy teraz nastały... Ja, co prawda, czytać nie umiem, ale ojca szanowałem, pomagałem mu, nie męczyłem, pod dozór nie oddawałem, kropli wódki nie żałowałem...

Ludwik stracił cierpliwość.

— W tym miesiącu — rzekł — wydałem na ojca dwadzieścia rubli, za Zosię także płacę, sam też żyć muszę; ale ojciec o to nie dba i myśli tylko, aby

nas wszystkich zgubić. Chce ojciec chodzić po mieście, ale niech tylko wyjdzie, to zaraz coś niedobrego zrobi, za co ja płacę. Dziś znowu... schował ojciec samowar... Nie pierwszy to figiel, ale chyba ostatni! Bóg widzi, że wydolać nie mogę; niechże się więc już raz to skończy. Jutro przyjdzie policja i odda ojca do sądu, a jak sąd trzeci raz weźmie w ręce, to chyba nie prędko puści!...

— O, to mnie nastraszył!... — zawołał stary, wybuchając śmiechem. — Myśli, że ja się sądu boję... Cha!... cha!... ludzie! — krzyknął, biorąc się pod boki: — to ja ukradłem samowar!...

— Cicho, ojcze!... — zawołał Ludwik przerażony, chwytając go za rękę.

— Nie!... niech! biorą do kryminału!... krzyczał starzec coraz głośniej.

— Dam wódki!... — szepnął syn błagalnym tonem.

Stary w jednej chwili zmienił się do niepoznania. Stanowczość opuściła go; złagodniał, spokojniał i, siadając na tapczanie, spytał z głupowatym uśmiechem:

— Dasz wódki?... Zaraz dasz?...

Ludwik z wyrazem rozpaczyny schwycił się rękoma za głowę i szepnął:

— Całe życie już mi tak zejdzie!...

— Może masz wódkę przy sobie, w kieszeni?... Oj! ty zbytniku!...

— Muszę ukrywać to biedne dziecko przed nim, jego przed sądem, nas wszystkich przed całym światem!... Boże mój, Boże! — szeptał syn.

— Daj wódzi, daj, Ludwiczku!... — mruczał szalony starzec, przetrząsając kieszenie burki.

— Czego tu ojciec szuka? — zapytał nagle Ludwik, budząc się z ponurych rozmyślań.

— Wódzi, syneczku, wódzi!...

— Nie mam przy sobie, ale zaraz przyniosę, — odparł i wyszedł z izby.

Stary tymczasem, siedząc na tapczanie, zacierał ręce, strzelał z palców i mruczał:

— Będę pił wódeczkę... Uuu... wódeczkę!... dobra wódzia!... Ach!

Człowiek ten stał już na tak niskim szczeblu zbydlęczenia, że stracił nawet prawo do wzgardy, a mimo to nie utracił jeszcze miłości syna.

Po upływie kilkunastu minut Ludwik wrócił.

— Przyniosłeś, synku?... — zapytał stary, wyciągając drżącą rękę.

Ludwik wydobył małą flaszkę, do połowy napelnioną wódką, i z widocznym wahaniem rzekł:

— Niechże ojciec powie: gdzie samowar?

— Daj wódzi, daj!... — błagał stary, jakby nie słysząc jego pytania.

— Nie dam, aż się znajdzie samowar.

— No!... nie drażnij się... — odparł nędzarz, całując syna w rękę.

Ludwik cofnął się ze wstrętem i oddał flaszkę ojcu.

Stary usiadł na rogu paki i z grymasem wysączył powoli wódkę, smakując ją i przyglądając się pod światło. Powoli zmarszczki na jego twarzy wygładziły się, dzięki wyraz oczu stał się łagodnym

i smutnym, a z obłąkanego zwierzęcia zrobił się — dziwna rzecz — człowiek nieszczęśliwy i zawstydzony.

Spuścił głowę na piersi i z jakimś dziecinnym zakłopotaniem wyskubywał wełnę z kożucha.

Ludwik zauważył zmianę (nie po raz pierwszy zresztą) i, chcąc widocznie zawiazać rozmowę, rzekł:

— Czy ojciec nie chory?

— Jestem grzeszny człowiek — odparł cicho starzec. — Niech mi Bóg przebaczy, i ty, synu, i nasza biedna Zosia...

Po małej pauzie, jakby stopniowo ośmielając się, mówił dalej:

— Już wódki pić nie będę... Oh! Dziś ostatni raz mi się przytrafiło. Przez wódkę człowiek robi się bydlęciem, Boga obraża i ludziom dokucza... A za co ja tobie mam dokuczać, kiedyś ty lepszy od najrodzeńszej matki?... Matkaby tak o mnie nie dbała!... Bo też i nie dbała!...

Starzec przerwał, zamyślił się i nagle zapytał:

— Ludwiś... pamiętasz ty to?...

— Co takiego?

— A to, jak na Zielone Świątki Błażej podarował ci wózek. Ja powiadam: Będzie cię, synku, Kurta woził... A ty mówisz: Nie... ja chcę, żeby woził ojciec. Sam się zaprzągłem i jeszcze musiał bat na siebie zrobić... Cha!... cha!... Samowar jest pod tapczanem...

Podniósł się z paki i usiadł na swojej nędznej pościeli.

— Albo to, jakim matce butelkę oleju wylał... Mówię: Oj! wybije mnie matka, jak wróci!... A ty na to: Niech tatuś powie, że to ja!...

Potem zaczął coś mówić, zachwiał się, pochylił na kolana Ludwika i prawie natychmiast zasnął.

Tymczasem syn rozmyślał:

— Poco ten człowiek żyje i poco los przykuł mnie do niego?... Wszystkie błędy moje, wszystkie nieszczęścia, niedostatek i pogarda u ludzi—wszystko obciąża mnie z jego winy. Nie mogę wyjechać, bo jeżeli go choć na jeden dzień bez dozoru zostawię, wnet zapracuje na więzienie... Nie mogę zgiąć nawet, choć mnie deptają i prawie w twarz mi pluja... Nie!... trzeba już raz skończyć... Wezmę Zosię, ucieknę z nią, zmienię nazwisko, a z nim... niech się dzieje co chce!... Całe przywiązanie, jakie miałem dla niego, ustąpiło już wstrętowi i nienawiści...

W tej chwili głowa ojca zsunęła się z synowskich kolan. Ludwik zapomniał swoich rozmyślań, lecz instyktownym ruchem zatrzymał upadającego i ostrożnie ułożył go na sienniku. Potem wydobył z pod tapczana ukradziony samowar, zagasił świecę i wyszedł, przyciskając drzwi jakimś drukiem.

W sieni, choć to już była północ, zastał stróża, naradzającego się z żoną. Oddał im samowar i życzył dobrej nocy, polecając ojca ich pamięci.

Gdy już wyszedł na ulicę, Stanisław rzekł:

— Ja, żebym ta był nim, tobym starego puścił w trąbę, bo to strasznie wielkie udręczenie!

— Ale! — odparł żona. — A dobrzeby ci było, żeby tak z tobą nasz Walek zrobił?...

— Kiedy bo ze starego wielki nicpoń; my przecie wiemy, co on wart!...

— Zawdy to ojciec! — zakonkludowała żona.

Na dworze niebo iskrzyło się od gwiazd i dał zimny, do kości przejmujący wiatr wschodni, ale Ludwik nie widział gwiazd, nie czuł zimna, zatopiony w smutnych myślach.

— Z trzech rubli — mówił do siebie — po kilku godzinach został tylko jeden. Bardzom ciekawy, kto mi też jutro da tak hojną jałmużnę? Za obelgi!...

Gdy wyszedł na ulicę ruchliwszą, nasunął kapełusz na głowę, jakby obawiając się spojrzeń nielicznych przechodniów. Przyspieszył kroku, przebiegł jeszcze kilka bardzo długich i dobrze zabudowanych ulic i nareszcie znikł w bramie jednego z domów, leżących w środkowej części miasta.

3. Maskarada.

Ze wszystkich istot, zamieszkujących ziemię, sam tylko człowiek posiada przywilej częstego i dowolnego zmieniania powierzchowności. Wprawdzie motyl rodzi się gąsienicą, później zostaje poczwarką, a w końcu dopiero motylem; wprawdzie wiewiórka, ruda w lecie, robi się szarą pod zimę, — wszystkie te jednak i tym podobne przebrania są zaledwie cieniem przebrań ludzkich.

Człowiek, przyszedłszy na świat bardzo lichoposażonym, w dalszym biegu życia niewiele od

natury dostaje: trochę zębów i jakieś tam ręce, o czym nawet wspominać niewarto wobec naprzykład skrzydeł... lub rogów... Mimo to jednak latać może, gdy ma ochotę i pieniądze, a i na brak rogów narzekać też nie powinien...

Od urodzenia do końca życia lew zostaje płowym i kontentować się musi jedną, jedyną grzywą i jednym ogonem. Człowiek dziś jest płowym, jutro szarym, pojutrze czarnym... Zamieniwszy bydlęcą skórę na zbroję i togę, pozbył się ich następnie dla pończoch i jedwabnego płaszczyka, po których z kolei nastąpiły fraki, marynarki i szlafrokowate paltoty. Jego towarzyszka znowu, dla której figurowy listek niegdyś stanowił aż nadto wystarczającą odzież, dziś wstydzi się, gdy ma na sobie tylko kilkanaście kawałków różnych tkanin, i szczęśliwa jest wówczas dopiero, gdy ilość kawałków, form i kolorów dochodzi do kilkudziesięciu na dobę.

Oszukawszy całą naturę, rodzaj ludzki zapragnął siebie jeszcze oszukać i w tym celu — wymyślił maskarady.

Fałszywemu mędrcom cięży powaga, i otóż raz na rok przynajmniej wchodzi we właściwą skórę i przebiera się za błazna. Skromnisi dokuczają towarzystwo codzienne, moralne aż do znudzenia; korzysta więc z karnawału i z maską na twarzy wybiega między rozpustnice. Chłopak felczerski, któremu „Życie Napoleona I“ zohydziło brzytwę i baniecznik, wbija na głowę trójgraniasty kapelusz i wiesza u boku drewnianą szablę. Spokojny obywatel, u którego na dnie duszy drzemia wołowe

instynkty, nie może odmówić sobie tej rozkoszy, aby choć raz w życiu nie okazał się w masce, wyobrażającej ciełącą główkę — podobnie jak brzydka panna służąca nie umarłaby spokojnie, gdyby jej choć pod maską nie nazwano „piękną damą!...“.

Wszystkie te indywidua stanowią główny korpus maskaradowej armji, której druga część składa się ze wszelkiego rodzaju maruderów.

Romantycy, naczytawszy się o skrytych pod maskami księżniczkach i hrabinach, a przynajmniej pannach z dobrego domu — ufni w siłę swych wdzięków i ogień uczucia, idą między wytrawnemi dominami polować na niewinne serca. Dobroduszni obywatele ziemscy, ubrawszy się we fraki z przed kampanji węgierskiej i cylindry z czasów wojny włoskiej, dążą naprzód do kas Towarzystwa Kredytowego po kapitał materialny, następnie zaś na sale ređutowe po kapitał duchowy, który ma im na cały rok wystarczyć. Znudzony wreszcie mieszczuch, dla którego noc, przepędzona w domu, stanowi stratę drogiego czasu, spieszy na maskaradę dla zobaczenia znajomych, zebrania plotek, lub w najgorszym razie dlatego, aby mu nogi podeptano i pognieciono boki. Gdy go jedno i drugie nie spotka, wpada w melancholję i narzeka na brak przyjemności w mieście; ożywia się, gdy go dobrze potrąca, a jest dopiero prawdziwie szczęśliwym, gdy mu kałosze i palto ukradną. Wówczas bowiem może się martwić, kłać i pozować na bohatera wypadku, o którym całe miasto rozprawia.

O północy obszerne sale ređutowe były pełne

masek, fraków, szmeru nóg, fałszywych i prawdziwych głosów, światła, a nadewszystko gorąca i zaduchu. Pod chórem, na którym grzmiała i huczała muzyka, kilkanaście par, przebranych w najstarsze kostjumy *corps de baletu*, tańcowało kadryla, na próżno usiłując mu nadać choć szczyptę kankanowego pieprzu. Obok nich utworzyła się, jak zwykle, gromada gapiów, którzy zachęcali tancerzy do energiczniejszych skoków lub powtarzali tłuste i oklepane koncepty, śmiejąc się z nich, jak ludzie, którzy, w braku uznania ogólnego, sami przynajmniej pragną sobie oddać sprawiedliwość.

Poza obrębem tego koła, tłoczyły się ciągle ruchome i nieprzerwane szeregi osób płci obojej w maskach i bez masek, maszerujących żółtym krokiem. Jedne szeregi ciągnęły przez środek sali do drzwi wschodnich, inne do zachodnich, od chóru do okien i od okien do chóru. Inni obchodzili salony dokoła zgodnie z biegiem słońca, lub też w kierunku wprost przeciwnym. Zmęczeni siadali na krzesłach i kanapach, umieszczonych pod ścianami; głodni podążali w kierunku bufetów. Każdy miał jakąś parę, każdy rozmawiał, intrygował, usiłował intrygować, lub wzdychał do tego, aby go zaintrygowano.

Intryg jednak było bardzo niewiele, a jeszcze mniej dowcipu. Odrapani pielgrzymi i krakowiacy pożądliwie spoglądali na chustki i zegarki spokojnych obywateli, których ze swej strony zmiętoszone krakowianki gwałtem, aczkolwiek bezskutecznie, prosiły o kolację. Zręczność pajaców polegała

na wytrząsaniu długimi rękami, jowialny humor żydów manifestował się zapomocą okrzyku: „Handel, panowie, handel!...” — a dowcip wszystkich wogóle masek ograniczał się na sakramentalnych wyrazach: „Znam cię, bałamucie!... dużo nabroiłeś!...”.

„Bałamut“, uszczęśliwiony tem, że go nareszcie ktoś zaczyna intrygować, wyszczerzał zęby, zasypywał maskę pytaniami i gotów jej był nawet histroję swego życia opowiedzieć... Wszystko jednak napróżno!... Wszechwiedząca bowiem i prawdopodobnie bardzo uszczypliwa w swem przekonaniu maska traciła kontenans, a przyparta, jak to powiadają, do muru, uciekała czempredzej na drugi koniec sali, przypuszczając zapewne, że zmiana miejsca natchnie ją nieco głębszym dowcipem...

Krótko mówiąc, w salach reductowych, tak w tym, jak w zeszłym i zaprzeszłym roku, panował niesmak i nudy. Każdy nieledwie uśmiech kończył się ziewaniem, które eleganci napróżno starali się zasłaniać glansowanemi rękawiczkami.

Wśród tłumu osób krążyli i znajomi nasi z cukierni. Widziano tam młodego adwokata, który z wyszukaną galanterją obsługiwał jakieś czarne i przysadziste domino, uważane przez jednych za matkę, przez innych za kochankę pacjenta. Widziano literata, pana Romana, który z kapeluszem na tył głowy nasuniętym i rękoma w kieszeniach, studiował maskaradę, myśląc o dorobieniu do niej powieści. Widziano w innym salonie asesora, który, chcąc uwolnić się od natarczywości „krakowia-

nek", każdej zbliżającej się do niego z dziwnie zimną krwią proponował: aby mu kolację kupiła.

Był tam i Lachowicz, ziewający na głos bez ceremonji, i Sielski, który z rumieńcem na twarzy i ogniem w oku śledził jakieś białe, atlasowe domino. Patrzący na manewry te znajomi Sielskiego mówili, że on jeden dobrze dziś się bawi, i że białe domino musi być niepospolicie piękną kobietą.

W czasie tego grupa, złożona z lekarza, podsędku i jakiegoś literackiego laika, wpadła na Lachowicza. Od niefortunnego pojedynku upłynęło już kilka tygodni, i ludzie o nim zapominali potrosze.

— Witamy pana Ludwika! — wykrzyknął lekarz. — Cóżto, jesteś na maskaradzie w nowinteińskim fraku?...

— Musiałem kupić frak, bo inaczej towarzystwo zachęty nie przyjęłoby na wystawę moich obrazów - - odparł Lachowicz.

— Z fraka wytłumaczył się! — wtrącił podsadek. — Ale co pan robisz na maskaradzie?

— Studjuję koloryt, który najlepiej przypada do gustu naszej publiczności.

Do rozmawiających przystąpił w tej chwili asesor.

— Cóż, asesorze, — zapytano go chórem — jakże idzie?... Upolowałeś co?...

— Tu nawet złodzieje kieszonkowi nie porobią interesów! — odpowiedział zgryźliwy asesor. — Wszystkie intrygi kwalifikują się do sądu poprawczego a całe zebranie pod ostatnim psem.

— Za którego nawet podatku płacić niewarto! wtrącił aspirant na literata.

— No, no! — przerwał lekarz, — mówicie, że zebranie pod pseem, a przypatrzcie się tej oto „białej damie”: co za szyk!

— Posagowa postać! — zauważył młody literat.

— Rączka arystokratyczna: wąska i długa...

— Jak tegoroczny karnawał! — dorzucił asesor.

— Ciekawym kto to jest? — spytał podsędek.

— Widocznie ktoś „z towarzystwa” — objaśnił lekarz.

— Ale dlaczego Sielski tak jej pilnuje?... Ma mi-nę zazdrosnego męża, któremu żona przez garderobę na bal maskowy uciekła — odezwał się znowu podsędek.

— Domyślam się!... — mruknął przez zęby Lachowicz.

— Któż to?... kto... — zapytano jednogłośnie.

Do grupy zbliżył się djabeł w czerwonym kostjumie i w kapeluszu z rogami.

— Co panowie chcecie wiedzieć?... — spytał przybyły.

— Przepyszny egzemplarz djabła! — wykrzyknął rozweselony aplikant literacki. — Nie wiedziałem, że w piekle utyc można!...

— Pan nawet w piekle nie utyjesz — odparł djabeł, któremu nie podobało się to uwielbienie jego okrągłych kształtów.

— Czy umiesz intrygować, mój mały?... — zapytał go lekarz.

— Dlaczego nie?... Intryguję pana, ażebyś pan

panu Goldflamowi oddał dwieście rubli, bo już dawno termin upłynął...

— Tam do licha!... — mruknął podsędek.

Lekarz uśmiechnął się złośliwie.

— Oddam — rzekł — nawet w tej chwili, jeżeli mi pan Goldflam natychmiast weksel zwróci!...

Tłusty djabeł pogardliwie machnął ręką.

— Cóżto, — odparł — pan doktor chce, ażeby na maskaradę chodził z weksłami moich dłużników?... Musiałbym chyba czterokonnym wozem tu wjechać.

Obecni nie dostrzegli, że od kilku chwil zbliżyło się do nich białe domino, które, usłyszawszy ostatnie wyrazy djabła, rzekło do swego nieznanego im towarzysza piskliwym głosem:

— Ten przynajmniej jest prawdziwym djabłem!...

Rozmawiający odwrócili się, a czerwony djabeł z eleganckim ukłonem zapytał:

— Dlaczego, piękna damo?...

— Dlatego, — odparło domino — że się boisz święconej wody...

Djabeł znikł, jakby mu ogon przyskrzypnięto kościelnymi drzwiami, obecni zaś wybuchnęli śmiechem.

— Bravo! — wykrzyknął podsędek. — Widzę, że maskarady nie upadły...

— I nie upadną — odpowiedziało domino: — świat jest wielką redutą, na której naprzykład ludzie, kwalifikujący się na ławę oskarżonych, zajmują sędziowskie krzesła...

— Co to znaczy, maseczko?... — spytał podsedek, oblewając się ponsem.

— Myślę o sprawach miłosnych!... — odparło domino.

— To co innego! — mruknął podsędek, z fizjognomią, okazującą wielki upadek na duchu.

— Teraz na mnie kolej — rzekł asesor, wysuwając się naprzód. — Co o mnie powiesz, biała damo?

— To, co wszyscy. Mówią, żeś przetrawił kodeks tak, iż ci w głowie pozostały tylko okładki.

— Uprzejmie dziękuję.

Towarzysz domina zdawał się być mocno zakłopotanym.

— I ja gotów jestem przyjąć część, przypadającą na mnie — odezwał się lekarz. — Czekam, biała damo!

— Dam ci jedną radę: Jeżeli chcesz mieć powodzenie, jako lekarz kobiet młodych, unikaj kosztownych prezentów od kobiet starszych...

— Na honor, nie rozumiem! — zawołał zmieszany lekarz.

— Zrozumiesz lepiej, gdy ci adres przypomnę — odparło domino.

— Zbytek dobroci... Dziękuję!...

Z temi słowy lekarz cofnął się na stronę, ocierając pot z czoła.

— Ha! muszę i ja coś zaryzykować — rzekł Lachowicz, patrząc na maskę z miną wyzywającą.

— Ryzykowność potrzebniejsza jest w sprawach honorowych, niż na maskaradzie! — odpowiedziała podniesionym głosem dama.

— Miałbym jej więcej, maseczko, gdybym był twoim mężem! — odparł Lachowicz.

Maska nagle umilkła i cofnęła się.

— Służę pani — rzekł w tej chwili Sielski i podał jej rękę.

Dama bez ceremonji opuściła swego dawnego towarzysza i wyszła z Sielskim do innego salonu.

— A to kuta baba! — wykrzyknął aspirant na literata.

-- Kto to jest?...

— Pan ją znasz, panie Ludwiku?...

-- To jakaś znajoma Sielskiego; panie Lachowicz, kto ona jest?...

— Warto by się dowiedzieć!...

Pytania te i wykrzykniki spadały, jak grad, na Lachowicza, który jednak, wbrew ogólnemu oczekiwaniu, milczał, głęboko widać dotknięty słowami maski. Wreszcie, kiwnąwszy obecnym głową, opuścił maskaradę.

Tymczasem Sielski w drugim salonie upatrzył stojącą pod oknem pustą kanapkę, na którą prawie upadła zmęczona, czy też przestraszona jego towarzyszka.

— Nie spodziewałem się spotkać pani w tem miejscu — odezwał się malarz ze źle ukrytym gniewem.

Dama zwróciła na niego szare oczy i po chwili naturalnym głosem odparła:

— Nie rozumiem powodu, dla którego miałybyśmy unikać miejsc, tak chętnie odwiedzanych przez naszych mężów i surowych przyjaciół.

Ostatnie dwa wyrazy wymówiła z ironicznymi uśmiechem.

— Obecność surowych przyjaciół — odparł jeszcze bardziej rozdrażniony Sielski — przydaje się niekiedy, jakto sama pani miała sposobność sprawdzić przed chwilą...

— Ach! przypominasz mi pan, że mu powinna podziękować?... W istocie, znalazłeś się po rycersku, w nagrodę więc powiem, że przyszła po to tylko, aby pana zobaczyć.

Sielski milczał, starając się przybrać jaknajobietniejszą powierzchowność, co spostrzegłszy dama mówiła dalej głosem cichym i tkliwym:

— Cóżto? jesteś pan, widzę, naprawdę rozgniewany i w niesłychanie szorstki sposób chcesz mnie przekonać o swej słowności?... Od dwu tygodni nie byłeś u nas, narażając mnie tym sposobem na słuchanie różnych przypuszczeń i pytań ze strony męża. Na ulicy nie kłaniasz się pan, a na maskaradzie witasz mnie wymówkami; to najłichszą kobietę obrazić może. Spodziewam się i wymagam usprawiedliwienia...

— Jestem zajęty — odparł Jerzy.

— Nowa impertynencja, którą panu przebaczam tylko przez wzgląd na jego demokratyczne stosunki. Chcę stanowczo wiedzieć, jak długo będą trwały pańskie grymasy?...

— To nie są grymasy, lecz poczucie obowiązku... — odpowiedział stłumionym głosem malarz.

— Ach!... obowiązek... Wy dziwne tworzycie obowiązki. Pewnego dnia spotyka któryś z was

nieszczęśliwą, haniebnie zdradzoną kobietę i stara się pozyskać jej serce. Ona opiera się, ucieka przed wami, przypomina obowiązki, ale wy, podrażnieni oporem, nie myślicie o nich. Wkońcu udaje się wam... Zwyciężacie, ale zarazem stawiacie ofierze swojej ultimatum, którego przyjąć nie może. Cudowne poczucie obowiązku!...

— Dlaczego pani poruszasz podobne kwestje w tem miejscu?... — przerwał jej Sielski.

— Więc gdzież mam poruszać?... — zawołała z wybuchem dama. — Zmuszasz mnie pan, ażebym cię aż tu szukała i tu zwracała twoją uwagę na niewłaściwość tego rodzaju postępowania. Przypuszczam jedno z dwojga: albo udajesz pan gniew, aby mnie dręczyć — albo nie śmiesz wprost powiedzieć, żem cię już znudziła. No!... ale w takim wypadku...

Chciała odejść, lecz Sielski zatrzymał ją, mówiąc:

— Czy propozycja rozwodu, tyle razy robiona przeze mnie, upoważnia panią do tego rodzaju wniosków?...

— Bardzo naturalnie. Pan żądaś rozwodu, mówisz o naszym połączeniu się, a jednocześnie składasz dowody, że cię mało obchodzę...

W tej chwili zbliżył się do nich jakiś niski i szczupły blondyn, dystygowanej powierzchowności.

— Dobrze, żem was złapał! — zawołał przybyły. — Witam cię, Jerzy... Jakże się bawisz, Lociu?..

— Zmęczyłam się — odpowiedziała dama ozięble.

— Zmęczyłaś się, aleś i wzburzyła całe towa-

rzystwo. O nikim nie mówią w salonach, tylko o jakiejś białej damie, dowcipnej i złośliwej, jak satyr!... Czy byłeś, kochany Jerzy, przy triumfach Loci?... bo mnie nie wypadło... Zdradziłbym ją swoją obecnością...

Potem, nie czekając na odpowiedź, usiadł przy masce, otarł pot z czoła i znowu zapytał Sielskiego:

— Cóżto znaczy, żem cię tak dawno nie widział?

— Byłem już parę razy u państwa po Nowym Roku, ale do spotkań z tobą nie mam widać szczęścia.

— Prawda, że i ja w domu jestem gościem... Mam liczne zajęcia!... — odparł, śmiejąc się, blondyn, a potem dodał: — Podobno malujesz obraz na konkurs?... Jaki to temat?...

— Ostatni dzień skazanego...

— Aha! Życzę ci powodzenia i jestem go prawie pewny, tymczasem... Możebyś moją żonę do powozu odprowadził?...

Dama wstała, elegant zaś szepnął Jerzemu do ucha:

— Spotkałem jakieś zielone domino, które mnie ogromnie intryguje. Muszę się dowiedzieć, kto to jest, ale bez kolacji ani sposób!...

Po tem wyjaśnieniu ścisnął żonę za rękę, Sielskiego podobnież i znikł w tłumie.

— Wyborny mąż, nieprawda?... — spytała dama Jerzego.

— Dlatego też jeszcze dziś powtarzam moją pro-

pozycję. Z jego strony przeszkód niezawodnie nie spotkamy.

— Nigdy! — odpowiedziała dama.

— Ha! jeżeli tak, to trudno!...

Na schodach ugałonowany lokaj podał damie sobolową salopę i szal na głowę. Sielski ubrał się także i wyszli razem.

W drodze dama rzekła:

— Więc między nami wojna?... Pan u nas nie bywasz?

— Powiedziałaś pani.

— Dobrze!... A zatem zapraszam pana na ostatnią maskaradę. Będę miała domino błękitne, a we włosach białą różę.

— Dziś byłem ostatni raz na maskaradzie — odparł Sielski.

— Pomimo to na ostatniej musisz pan być.

— Stanowczo nie będę.

— Zobaczymy! — odparła dama, siadając do powozu.

Gdy odjechała, Sielski zawołał dorożkę i wrócił do siebie.

Było już po trzeciej rano. Jerzy zapalił światło, usiadł na fotelu i począł dumać. Myślał o kobiecie która go kochała, o mężatce, którą mąż opuszczał i która przytem była dość lekkomyślną i ryzykowną. Zaproponował jej rozwód z mężem, odmówiła stanowczo, z obawy skandalu; gdyby jednak powiedział jej: „Zostań moją kochanką“... — kto wie, czyby się nie zgodziła?...

Przypomniawszy sobie jej szare oczy, bujne i gęste włosy, figurę jak utoczoną...

Przypomniawszy sobie wieczną nieobecność męża w domu i te długie godziny o zmroku, które przepędzali we dwoje...

— Przypuśćmy, że już została moją kochanką — szepnął Sielski: — cóż dalej?...

— Ja jestem łotr, — odezwało się widmo męża Leontyny — mnie mogłeś zdradzać i oszukiwać... nie gniewałbym się o to... Ale za co ją zgubiłeś?

— Byłem przyjacielem twego ojca, — mówiło z kolei widmo starca — wykołysałem cię prawie na rękę, między tobą i Leonją nie robiłem różnicy, a nawet... Ileż to razy mówiłem, że chciałbym mieć zięcia podobnego do ciebie?... Ty jednak wówczas zajęty byłeś czem innem, pozwoliłeś ją zabrać innemu, a dziś — shańbiłeś mi jedyne dziecko!...

— Nigdy!... — wykrzyknął Sielski, zasłaniając twarz rękoma. — Zbłądziłem już, wchodząc jej w drogę, ale nie zgubię tej, którą... kochałem...

4. Brat i siostra.

Mieszkanie Lachowicza znajdowało się przy jednej z większych ulic, na piętrze i posiadało więcej światła niż ciepła, a więcej miejsca niż sprzętów.

W pokoju najwidniejszym, który stanowił pracownię, oprócz farb, pendzli i stalug, wisiało na ścianach mnóstwo kredkowych i węglowych szkiców i kilka obrazków nowych. Pod ścianami stały obrazy odświeżane.

Odświeżanie było bodaj czy nie najgłówniejszem źródłem dochodów młodego i istotnie zdolnego artysty, który, prócz tego, malował rzeczy świeckie i kościelne, to jest obrazy do chorągwi i ołtarzy. Jakiś czas miewał on nawet dosyć obstalunków w tym rodzaju; wkrótce jednak przekonano się, że jego błogosławione zbyt są podobne do primadon, a męczennicy do rzezimieszków, i zaprzestano nagabywać go o robotę.

W tej chwili siedział Lachowicz przed swoim dziełem konkursowem, wyobrażającym: „Ostatni dzień skazanego“. Dzieło to, lubo niewykończone, mogło zwrócić uwagę.

Najbliżej widza znajdował się na obrazie tym urzędnik, czytający fatalny wyrok, figura drewniana w mosiężnych okuciach na nosie. Czuleś, że z tego człowieka drewniane dźwięki wychodzić muszą. We drzwiach widać było starego klucznika, który ziewał na całe gardło, a za nim opartego na karabinie żołnierza, którego surowa twarz miała wyraz głębokiej litości.

Z prawej strony stał kat, olbrzymi drab, wyłącznie, jak się zdawało, zajęty oglądaniem lichej garderoby swojej ofiary, a nareszcie główny bohater, nieszczęśliwy potępieniec, który, słuchając słów wyroku, wpił ręce w kolana i starał się odwrócić oczy od kata...

Bez przesady powiedzieć można, że grupa ta robiła piorunujące wrażenie. Lachowicz jednak nie zdawał się być zadowolonym i robił różne zarzuty, z trwogą myśląc, że go nagroda minie.

Na tych medytacjach zeszło mu całe poobiedzie i powoli zbliżał się wieczór. Lachowicz powstał, przeciągnął się i począł chodzić po pokoju.

Nagle skrzypnęły drzwi i do pracowni wbiegła piętnastoletnia dziewczynka, dziecko szczupłe, blade, zmarzłe i czarno ubrane.

— Zosiuniu! — wykrzyknął Lachowicz — jak się masz?...

— Dobry wieczór, Ludwisiu — odpowiedziała dziewczynka, chcąc go pocałować w rękę.

— Daj pokój, przecież nie jestem biskupem! — zawołał, całując ją kilkakrotnie w usta.

A potem dodał z czułością, o którą nigdy chyba nie posadziliby go znajomi:

— Jakaś ty zziębła!...

— Tak zimno na ulicy, ale u Ludwisia ciepło... Ach, jak mi ręce zmarzły!...

To powiedziawszy, poczęła dreptać i chuchać w palce.

Lachowicz zbiegł na dół i kazał stróżowi przynieść gorącej kawy z bułkami. Gdy wrócił, posadził siostrę obok pieca, na krześle, okręcił jej nogi starą burką, i ukląkł obok niej na podłodze, począł jej rozgrzewać zziębłe rączka, pocierając własnymi lub przykładając do swej twarzy.

Dziewczynka śmiała się i ciekawie rozglądała po pracowni.

— Co to za obraz, proszę Ludwisia? — zapytała.

— „Ostatni dzień skazanego“ — odparł i objaśnił jej znaczenie obrazu.

— Ach! Boże! jakiż to nieszczęśliwy człowiek...

Czegóż oni chcą od niego, kiedy on już i tak biedny?... Jabym się tu spać bała... Czy Ludwiś się nie boi?...

Przyniesiono kawę.

— Pij, Zosiu, z garnuszka, — mówił zakłopotany malarz — bo mi się szklanki wytłukły.

— A dlaczego Ludwiś nie pije?... Niech Ludwiś połowę wypije, a mnie resztę zostawi. Ojciec robił tak zawsze... Jakiż to straszny obraz! Niech Ludwiś choć skosztuje...

Lachowicz upewnił ją, że jest przejeżdżony, że zachorowałby, wypijwszy choć łyżeczkę kawy, i tą groźbą stanowczo zachęcił ją do jedzenia.

Zosia piła i jadła, w przerwach zaś rozmawiała.

— *Madam* kłania się Ludwisiowi i prosi o resztę, jakieś tam pięćdziesiąt złotych...

Na twarzy Lachowicza ukazał się rumieniec.

— Ach! jaka to dobra kawa!... My dostajemy tylko herbatę z mlekiem, a podwieczorek, nie zawsze.. Która ma pieniądze, to sobie sama kupuje...

Rumieniec Lachowicza zrobił się ciemniejszy.

— Miałam się o coś Ludwisia zapytać, ale na śmierć zapomniała. Ale! ale!... *madam* dziwi się, że ojciec ani razu u mnie nie był i nawet listu nie pisze. Czy ojciec będzie kiedy?...

Lachowicz niespokojnie przeszedł się po pokoju i odparł:

— Nie wiem... W każdym razie nie prędko...

Dziewczynka posmutniała, a potem, podnosząc na brata swoje wielkie, czarne oczy, rzekła nieśmiało:

— Możebym ja choć na wakacje ojca zobaczyć mogła?...

— Może być... Czy ci tęskno?...

— Tak... czasem!... Do innych przychodzą rodzice. Niedawno nawet był ojciec Brońci i dał jej na urodziny lalkę... Ale ja lalki nie chcę, taka już przecież duża jestem!... Przytem bawimy się razem. Ja jej uszyłam dwie nocne koszule...

— Już umiesz szyć koszule? — spytał z uśmiechem Ludwik.

— Eh! niebardzo. Dla siebiebym jeszcze nie uszyła, ale dla syna *madam* robię już skarpetki, po lekcjach... Zdaje mi się, że u Ludwisia nie jest bardzo ciepło; dlaczego to tak?...

— Widzisz, zbytczne ciepło źle wpływa na obrazy — odparł, śmiejąc się, malarz.

— To prawda! W pokoju *madam* jest bardzo ciepło i dlatego wszystkie obrazy jej zczerniały i popękały. Ale ja już muszę niezadługo iść do domu.

Lachowicz wydobył portmonetkę.

— Kochana Zosiu, — rzekł, dobywając pieniądze, — daj tymczasem twojej *madam* pięć rubli i powiedz, że pojutrze oddam resztę i jeszcze coś na przyszły kwartał zaliczę...

Drzwi znowu skrzypnęły i ukazał się w nich jakiś człeczyna niski i obrosły, którego odzież i ruchy nie okazywały ani zbyt wysokiego stanowiska w świecie, ani zbyt starannego wychowania.

— Ho! ho! — zawołał przybyły—nasz bazgracz ma widzieć pieniądze i nie będziemy potrzebowali wystawiać mu okien z mieszkania. Te pieniądze to

pańskie szczęście, bo gospodarz już naprawdę o sądach gada!...

Ludwik zbladł, Zosia ze zdziwieniem spoglądała to na brata, to na przybysza, który mówił dalej, śmiejąc się i wskazując dziewczynkę:

— Cóżto za kurczę?... Masz pan dobry gust, tylko trochę niedojrzały! Amator kwaśnych jabłek...

— To moja siostra, panie! — odezwał się Lachowicz.

— Aaa, siostra? Wracam honor. Myślałem, że...

— Byłeś pan w mieście? — przerwał szybko malarz.

— Byłem, ale wiatr, psiawiara, przedmuchał mnie, jak fujarkę...

— Nie dobieraj pan tak mocnych wyrażeń! — ostrzegał go Lachowicz, wysilając się na uśmiech.

Rządca skamieniał prawie, widząc kłopot malarza.

— U trzystu djabłów! — zawołał — odkiedyż to zaczynasz pan sznurować gębę?... Do tej pory brzechaliśmy z panem, jak ludzie, i nie wiem, dlaczego mamy dziś udawać arystokratów, delikatnych, jak angielskie pieski?...

Każdy wyraz rubasznego rządcy dziwił Zosię, a torturował malarza, który rumienił się, potniał, przestępował z nogi na nogę, a wreszcie, zaprowadzwszy gościa do sypialni, rzekł tonem błagalnym:

— Panie drogi, nie hazarduj się tak w mówieniu, bo jeszcze powiesz co nie... właściwego, a to przecież siostra...

— I mieszkało między nami! — wykrzyknął

rządca. — Przecie pan przy moich siostrach takich ceremonij nie robisz?...

Lachowicz aż się zachwiał.

— Zresztą, — dodał gość z nowym wybuchem śmiechu — nie chcę państwu w randeiksie przeskadzać i wyjść, ale pieniądze swoją drogą przygotuj pan na jutro, bo z gospodarzem to psianoga!...

— A przyślij mi pan, z łaski swojej, stróżową — rzekł Lachowicz z miną człowieka, wychodzącego z łaźni, w której zbyt silnie napalono.

— Przyślę, z łaski swojej! — odparł nieco rozgniewany gość, trzaskając drzwiami.

— Jakiś dziwny pan! — odezwała się Zosia.

— Dobry człowiek, — upewnił ją brat — tylko ma trochę kleпки pomieszane.

W tej chwili Zosia dostała gwałtownego kaszlu.

— Co tobie, dziecko? — wykrzyknął przestraszony malarz. — Czy ty często tak kaszlesz?...

— I, nie, tylko czasem rano i czasem w wieczór. Ale to niedawno i już mniej.

— Zaziębiłaś się może na spacerze?...

— Ja nie chodzę na spacer, bo kaloszy nie mam...

— Jakto, zupełnie nie chodzisz?...

— Niezupełnie, tylko nie codzień... Ale ja wolę siedzieć w domu; teraz na dworze tak brzydko!

— I salopka twoja musi być za lekka! — szepnął jakby do siebie Lachowicz.

Weszła stróżka. Lachowicz prędko pożegnał Zosię i odprowadził ją do schodów.

Wróciwszy do pokoju, siadł przy stole i oparł głowę na rękę.

— Na spacer nie chodzi, nie ma kaloszy... kaszle! Łzy mu się zakręciły w oczach.

5. O rozkoszach i kłopotach badaczów.

Każdy człowiek znakomity ma jakąś słabość, która go stawia na równi z innymi śmiertelnikami, a nawet robi zabawnym. Napoleon, jak pierwszy lepszy kantorowicz, wyobraził sobie, że jest ténorem; Fryderyk Wielki cierpiał na wspólną wszystkim młodym kancelistom chorobę pisania wierszy; Neron, niby gimnazjasta naszych czasów, udawał aktora; — a pan Roman literat miał przekonanie, że jest znakomitym obserwatorem i materiałem na wielkiego powieściopisarza.

Pan Roman pisał niewiele — i robił dobrze; zrobiłby jednak lepiej, wzięwszy się na przykład do handlu albo krawiectwa. Na nieszczęście, wiara w talent obserwacyjny nie pozwalała mu na to i znajomy nasz, zamiast przykładowie siedzieć nad igłą lub księgą kasową wałęsał się całemi dniami po mieście — zapisując wszystko, co mu się nasuwało przed oczy i wmawiając w siebie i w innych, że „wzorki zbiera“.

To zbieranie wzorków niesłychanie alarmowało niektóre kategorie osób, mających z nim bliższe stosunki. Pewien łotr po kilka razy na tydzień składał mu wizyty, w czasie których starał się usprawiedliwić słuźalstwo i łapownictwo krytycznym sta-

nem kraju. Jakaś stara panna przysłała mu swój portret, robiony przed 20 laty, pakę miłosnych listów, pisanych przez pewnego weterynarza, i świadectwo kilku osób wiarogodnych, dowodzące, jako weterynarz ów po dwukrotnem targnięciu się na własne życie, umarł wreszcie z miłości, skutkiem utopienia się razem z bryczką i dwoma końmi w przerębli. Jakiś zawojowany mąż, a zarazem ojciec trojga dzieci, z których każde było do kogo innego podobne, przy łada sposobności wykladał literatowi teorię zapatrzenia się, a pewien początkujący finansista, którego głos publiczny oskarżał o liczne oszustwa, przysyłał panu Romanowi co czas jakiś obszernie memorjały, których dążnością było okazywanie tej niezbitej prawdy, że ludzie zazdroszczą powodzenia i że najzacniejsi obywatele kraju spótwarzani bywają najczęściej.

Pan Roman wszystkiego słuchał, wszystko notował, lub składał do swego archiwum, nie wiedząc, kiedy i jaki zrobi użytek z tak obfitych materiałów. Wywnętrzenia czynione przed nim brał za dobrą monetę, zapalał się do nich niesłychanie i coraz gorliwiej polował na typy.

Nienasycony ten głód wrażeń sprawił, że w czasie pewnego śnieżnego i wietrznego wieczoru, w dzień ostatniej maskarady, która się miała odbyć w tym roku, literat nasz tułał się po Krakowskiem Przedmieściu. W oczekiwaniu godnego uwagi zdarzenia, znakomity zbieracz typów rozmyślał nad przyczyną chwiania się płomieni gazowych, ubolewał nad losem zziębłych milicjantów, którzy po-

cierali sobie plecy o bramy, lub na środku ulicy wycinali hołubce, i podziwiał dorożkarzów, którzy, zatknawszy bat obok kozła, objęli sobie rękoma boki na rozgrzewkę, lub podtrzymywali siłę ducha zapomocą wysokich, lecz wąskich kieliszków kartoflówki.

Obok jednego z szynczków, w których nieliczni reprezentanci niższych warstw społecznych czepiali energję do pełnienia włożonych na nich przez Opatrzność obywatelskich obowiązków, pan Roman zauważył jakiegoś człeczynę w długim kożuchu. Człowiek ten, mimo zawiei, trzymał czapkę w rękę, i ta okoliczność pozwoliła literatowi spostrzec głowę siwiejącą i łysą, obrzękłą twarz i czarny gęsty zarost. W pierwszej chwili pan Roman sądził, że stary biedak odkrył głowę na widok zbliżającego się „talentu“, jako zatem człowiek grzeczny, podniósł palec do swej bobrowej czapki. W tej samej chwili uczuł dla nieznanego jakąś sympatję, która nie zmniejszyła się nawet i wówczas, gdy poznał, że biedak nie może na nogach zachować przyzwoitej równowagi i opiera się o ścianę.

— Dość zabawny okaz alembika, złożonego z ciała i rozumnej duszy! — pomyślał literat, zawiązując jednocześnie róg chustki w celu upamiętnienia tej dowcipnej przenośni.

— Litościwa osobo!... — odezwał się biedak. — Litościwa osobo! ofiaruj co nieszczęśliwemu na wódeczkę...

— Nicoszacowany egzemplarz! — mruknął literat i dodał głośno:

— Dlaczegoż, mój człowieku, nie prosisz odrazu i na papierosy?

— Bo nie palę! — odpowiedział pijak.

Pan Roman dał mu dziesiątkę i wbiegł czemprędzej do sąsiedniej bramy, celem wydobywania z pod futra nieśmiertelnego katalogu i zanotowania w nim zarówno swego znakomitego dowcipu, jak i odezwu pijaka.

— Co za typ! — myślał literat, pisząc. — Kolos naiwnego bezwstydu... Kopalnia djamentowej bezczelności!... Muszę sobie oddać sprawiedliwość, że mam oko i że dostrzegam to, czego ogół nie widzi. Mają rację ci, którzy mówią, że talent jest darem Boga!...

Zanotowawszy fakt, literat począł się namyślać, czy które z jego własnych zdań, uronionych przed chwilą, nie kwalifikuje się do druku. Zważywszy jednak, że ów rezerwoar cennych poglądów nosi zawsze z sobą i że otworzenie upustu w każdej chwili zależy od niego, zamknął katalog i wyszedł z bramy.

Na ulicy dostrzegł, że scena się zmieniła. Pijak nie był sam, obok niego bowiem stał jakiś przyzwoicie ubrany młodzieniec i żywo z nim rozmawiał. Młodzieniec widocznie robił wymówki, pijak odpierał je dość zuchwale. Wreszcie młody, przyzwoicie ubrany mężczyzna wziął prawie gwałtem pijaka pod rękę i zaprowadził do dorożki, do której nie bez trudności obaj wsiedli.

Naprzeciw bramy stała latarnia; gdy światło jej padło na dorożkę, literat z największą zgrozą i zdumieniem spostrzegł, że ubogi człowiek usiłuje wyskoczyć, i że przyzwoicie ubranym młodzieńcem, który mu tego uczynić nie pozwala — jest Lachowicz!

— Ach! jakież ze mnie baran, że numeru nie zauważył! — szepnął literat, ocknąwszy się z chwilowego osłupienia.

Gdyby pan Roman posiadał zdolność uogólniania pojęć, przyznałby niezawodnie, że w wielu innych wypadkach, a nawet w ciągu całego życia okazywał podobieństwo do barana. Na szczęście, miał za ledwie tyle tylko czasu i przytomności, ile ich było potrzeba na powtórne wydobycie katalogu i zapisanie w nim nowego faktu.

— Pyszny temat do powieści pod tytułem „Nie wolnicy warszawscy“, — myślał literat. Młody malarz, który pobiera jałmużnę na rozpustę w formie pożyczek, chwyta na ulicy żebraka, który pobiera jałmużnę na wódkę... Ciemna noc... migotliwe płomienie latarni, dorożkarz zdumiony, konie pędzą jak w Apokalipsie... Mogę napisać powieść i dramat!... Ciekawym tylko, jaka mogła być przyczyna porwania? Naturalnie, że kobieta, a prawdopodobnie ta kochanka Lachowicza, o której wspominał Sielski. Koniecznie muszę wziąć się do studjowania kobiet upadłych, a tymczasem pójdę do Sielskiego. On Lachowicza zna i niezawodnie udzieli mi szczerzonych wskazówek.

Idąc ku mieszkaniu Sielskiego, pan Roman ochłodził nieco, i nowa myśl przyszła mu do głowy.

— Nie!... — mruczał. — Sielskiemu o tym wypadku nie wspomnę. Ta ciemna noc, to migotliwe światło, pęd dorożki, przestach dorożkarza i walka obdartusa z człowiekiem przyzwocie ubranym, a wszystko tak plastycznie przedstawiające się, — mogłyby mu podsunąć myśl do obrazu pod tytułem: „Porwanie na ulicy“... Za żadne skarby nie powiem! Wybadam go o stosunki Lachowicza, a temat niech weźmie z mojej powieści... Cudowna rzecz! Ciekawym bardzo, jaką to zrobi sensację, gdy wszystkie dzienniki chórem powtórzą: Na sali wystawy sztuk pięknych powszechną zwraca uwagę obraz znakomitego malarza Sielskiego, do którego treść zaczerpnął artysta ze świetnej powieści „Niewolnicy warszawscy“, napisanej przez naszego znanego...

Ach! jutro już zabieram się do roboty.

Tak medytując, znakomity literat stanął naprzeciw oświetlonego parterowego lokalu, który zajmował Sielski. Jednocześnie usłyszał na chodniku jakiś szmer i ujrzał za sobą damę w salopie sobolami podbitej. Wierny popędowi do obserwacji, zajrzał w oczy damie i przekonał się, że ma na twarzy maskę błękitną...

Dama weszła do sieni, a za chwilę pan Roman ujrzał wyraźnie zarysowany cień jej na rolcie... w mieszkaniu Sielskiego.

— Niezrównany wieczór! — mruknął literat. — W ciągu jednej małej godziny dwie duże intrygi!

Lachowicz porywa pijanego z ulicy i błękitna maska w sobolach składa wizytę skromnemu Sielskiemu o jedenastej w nocy!...

Niebawem zawartość katalogu wzbogaciła się nowym faktem, a głęboki umysł Romana nową zagadką.

— I to podciągniemy pod ogólny tytuł „Niewolników warszawskich“ — myślał literat. — Tylko dla niepoznaki muszę napisać, że mężczyzna w masce, przypuścmy czarnej, złożył wizytę damie, nie w wieczór, lecz z rana, i nie w zimie, lecz w lecie... Skutkiem tych zmian, nawet sytuacja się zaostrzy; u nas bowiem w dzień mogliby chodzić w maskach tylko warjaci...

Roman przeszedł kilka razy pod oknami Sielskiego, ubolewając nad tem, że natura odmówiła mu daru jasnowidzenia. Po co dama, tak dystygowana i majetna, wnosząc z bogatego futra, przyszła do Sielskiego, i o czem mówili obecnie?... — oto kwestje, za których rozwiązanie literat gotów był poświęcić znaczną część swoich... długów, one bowiem tylko mogły zaimponować w porównaniu z nader skromnemi jego kapitałami.

Do pewnego stopnia jednak okoliczności sprzyjały mu. Lampa widocznie stała gdzieś w głębi pokoju, skutkiem czego na płócienną roletę padały wyraźne cienie osób. Tym sposobem Roman wiedział, że dama zdjęła salopę i maskę, że oboje z Sielskim rozprawiali bardzo żwawo, wstawali, siadali, chodzili prędko po pokoju... Lecz o czem mówili?... tego domyślić się nie mógł.

— W każdym razie nie jest to rozmowa miłosna — zauważył literat. — W taki sposób rozmawiają dłużnicy, wierzyciele, ludzie, układający się o interesy, lecz nie zakochani.

Usłyszawszy znowu stąpanie na ulicy, pan Roman cofnął się od okna i tym razem zobaczył o kilka kroków przed sobą... Lachowicza. Malarz szedł pędkiem, z głową zwieszoną; w ruchach jego wydawało się gwałtowne wzburzenie. Wyminał on zmieszanego nieco literata, nie spostrzegłszy go, i wpadł do mieszkania Sielskiego.

Tknięty złowrogiem przecuciem, Roman przebiegł na drugą stronę ulicy, nie mogąc jednak oderwać oczu od rolety. Widział prawie jak na dłoni wejście nagle Lachowicza, widział, że Lachowicz i Sielski stanęli naprzeciw siebie nieruchomi, dama zaś gwałtownie cofnęła się ku oknu, a potem wpadła na krzesło, zasłaniając twarz rękoma.

Potem Sielski i Lachowicz znikli, potem ukazał się jeden tylko z nich, znowu po chwili znikł, znowu się ukazał, kilka minut rozmawiał z damą, jakby zapewniając ją o czymś, potem ubrał damę, która nareszcie niepewnym krokiem wyszła na ulicę... Literat porównywał ją w duchu do ranionej lwicy: to jest schował się w kąt, w którym żadną miarą zobaczyć go nie mogła.

Gdy dama odeszła, a Sielski przeniósł lampę do innego pokoju, pan Roman, nie wychylając się wcale ze swego kąta, począł medytować w sposób bardzo poważny.

— Jak widzę, moi „Niewolnicy warszawscy“ nie

są żadną fikcją, lecz namacalną rzeczywistością. Widocznem jest, że obdarty pijak, Lachowicz, dama w masce i Sielski tworzą jakiś potworny związek. Ale jaki?... Nasuwają się tu tysiące kwestyj: dlaczego Lachowicz porwał i uniósł pijaka, i dlaczego dama w sobolach przestraszyła się go, człowieka, który może mieć tylko kochanki z gminu? Po co dama przyszła do Sielskiego, dlaczego Sielski jej nie odprowadził, dlaczego nie wyrzucił za drzwi Lachowicza i o czym z nim teraz rozmawiał?...

Były to wszystko pytania niewątpliwie ciekawe i gdyby pan Roman pełnił naprzykład funkcję reportera którego z dzienników angielskich, wówczas wpadłby niezawodnie do tajemniczego lokalu i prośbą lub groźbą zmusił spiskowców do stanowczych i wyjaśniających kwestję odpowiedzi. W najgorszym razie dowiedziałby się przynajmniej o mieszkaniu i nazwisku damy..

Na nieszczęście, literat nasz, prócz ogromnej dozy ciekawości, nie posiadał żadnych innych przymiotów reporterskich. Niezależnie od tego, miał on usposobienie, które w polityce nazywa się pojednawczem i jakkolwiek pasjami lubił myśleć o tragedjach, osobistego jednak udziału brać w nich nie chciał — za żadne pieniądze...

W wypadku obecnym porobił on wiele nader chwalebnych postanowień. Przedewszystkiem obiecał sobie wymazać w katalogu wszystko, co się do Sielskiego i Lachowicza stosowało, dalej wyrzekł się najuroczyściej chętki pisania dramatu lub powieści pod tytułem: „Niewolnicy warszawscy“, na-

reszcie — postanowił unikać, a nawet jak najrzadziej wspominać o obu malarzach!...

— W tem wszystkiem czuję grubą awanturę — szeptał pan Roman. — Nie budźmy zatem licha i nie kładźmy palca między drzwi!

Najspokojniejsi ludzie i najlojalniejsi obywatele namiętnie lubią czytywać opisy burz, trafiających się na morzu: myślą oni wówczas z rozkosznym dreszczem o niebezpieczeństwie podróży i chętnie powiększyliby nawet porcję nieszczęść, gdyby to od ich woli zależało. Lecz niech którego z nich zaskoczy burza w polu, niech ujrzy błyskawice, tryskające ze wszystkich punktów widnokregu, usłyszy grzmot i szum gradu nad głową, wówczas wyrzeka się pięknych widoków, poleca duszę i ciało Bogu i chyłkiem pomyka ku rodzinnemu ognisku, drżącemi powtarzając wargami:

„Wszędzie dobrze, w domu najlepiej!“...

6. Gra w odkryte karty.

Tymczasem w mieszkaniu Sielskiego zaszły następujące wypadki:

Kiedy literat znalazł się pod jego oknami, Sielski rozmyślał nad listem, który odebrał przed południem, a w którym Leontyna bez ogródki zapowiedziała mu wizytę, jeżeli o jedenastej nie stawi się w oznaczonem miejscu na maskaradzie.

Jedenasta minęła, lecz Sielski się nie zdecydował. Była chwila, że chciał iść na schadzkę, i wówczas począł się ubierać. Następnie, pod wpływem

innego zamiaru, przestał ubierać się; później, przypomniawszy sobie obietnicę wizyty, uczuł trwogę i chciał uciec z domu. Później śmiał się ze swego przestachu i postanowił najdalej o północy pójść spać.

— Leontyna jest wprawdzie zepsutem dzieckiem — myślał — w każdym jednak razie awantury nie zrobi... Coby na to powiedział jej ojciec?

Wspomnienie o starcu, który najłżejszy objaw płochy ze strony kobiety poczytywał za zbrodnię, a córkę swoją uważał za ideał skromności, dreszczem przejęło Sielskiego.

— Gdybym mu list pokazał, — szepnął — zabiłbym go. Gdyby się o naszych stosunkach sam dowiedział, postąpiłby zemną jak z nikczemnikiem... I miałby prawo!...

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Sielski machinalnie wstał, otworzył je i ujrzał damę w błękitnej masce.

Leontyna stanęła na środku pokoju i głosem wzruszonym zapytała.

— Odebrałeś pan list?

Sielski skinął głową.

— I nie odpowiedziałeś nic?

Sielski milczał.

— Więc mnie pan masz! — zawołała dama, zrywając maskę z twarzy.

Sielski nie ruszył się, dama zaś gwałtownym gestem zsunęła futro i rzuciła je na kanapę. Twarz jej pałała.

— Nie zapraszasz mnie pan nawet, ażebym usiadła? — rzekła, zajmując miejsce na szeszlengu.

Sielski był tak zmieszany, że słowa wymówić nie mógł. W głowie jego przesunęły się w jednej chwili charakterystyczne obrazy ojca Leontyny, jej męża i jej samej wreszcie, jaką była przed kilku laty. Czuł trwogę, zdziwienie, niesmak...

Widząc jego kłopot, Leontyna roześmiała się.

— Doprawdy, — rzekła — gdyby mi kto powiedział, że wizyta moja wywołała podobny efekt, nie przyszedłabym tu... *przez litość*... Patrząc na pana, — mówiła dalej tonem drwiącym — wyobrażam sobie scenę między żoną Putyfara a Józefem... Ale uspokój się pan! Z instynktów jestem raczej dzisiejszą Amerykanką, aniżeli starożytną Egipcjanką...

Jerzy przemówił wreszcie:

— Zakłopotanie moje nie powinno pani dziwić...

Leontyna oparła się o krawędź szeszlenga, skrzyżowała ręce na piersiach i, nie spuszczać z niego oczu, rzekła po chwili namysłu, tonem już nieco łagodniejszym:

— A widzi pan?... Odgadłam, że ta lekcja nie zostanie bez pożytku. Kobieta uczciwa, zamieniając się w awanturnicę, robi zapewne takie wrażenie, jak mężczyzna dobrze wychowany, który został brutalem. Ja więc o tyle jestem niedelikatna, zła, czy śmieszna, o ile stałam się zwierciadłem, które odbija pańskie postępowanie...

Uczucie niesmaku w sercu Jerzego wzrastało.

— Jeżeli jestem tak złym, jak pan! mówi, to nie rozumiem powodu...

Sielski zaciął się, a po chwili wahania zawołał z wybuchem:

— Nie, pani!... Nie godziło się tak robić...

— Ach! Teraz już odezwało się uczucie!—rzekła pani Leontyna. — Posłuchaj mnie pan więc... Postępowanie pańskie ze mną — mówiła, ożywiając się, jest okrutne. Odebrałeś mi spokój. Kazałeś zapomnieć o mężu, nauczyłeś lekceważyć opinię świata i... teraz unikasz mnie. Gdybym pana nie знаła, gdybym nie pamiętała twoich zapewnień, pomyślałabym, że jesteś nieuczciwym i odwróciłabym się ze wzgardą. Ale ja w nieuczciwość wierzyć nie mogę... W tem się coś ukrywa, a ja muszę wiedzieć co... Dla rozwikłania tej zagadki zdecydowana jestem na wszystko...

Jerzy milczał, czując w sercu straszliwą pustkę. Jej gorące pytania, głos, w którym dźwięczała namiętność, nie ożywiły go.

— Nie masz pan pojęcia, co się ze mną dzieje — mówiła Leontyna tonem prawie błagalnym. — Od dzieciństwa szłam ciągle jedną drogą. Gdy zostałam żoną i przekonałam się, że mąż mój jest człowiekiem bez wartości, powiedziałam wówczas: ha! trudno... dostał mi się zły los! I szłam dalej. Dopiero pan wprowadziłeś mnie na inną drogę: kazałeś zerwać z przeszłymi wierzeniami, dla przyszłego szczęścia... Usłuchałam cię, ale szczęścia nie znalazłam, tylko niepokój... Niepokój tem większy, że ten, który miał zostać moim przewodnikiem -- opuścił mnie. Ludzie czyn taki nazywają zdradą,

ale ja w to nie wierzę... Nie chcę potępiać pana bez dowodów, nie chcę wątpić o twojej szlachetności...

Leontyna wburzona wstała i przeszła się po pokoju. Potem znowu siadła, z najwyższą niecierpliwością czekając na odpowiedź. Chwilami zdawało się że upadnie Sielskiemu do nóg, chwilami — że go rozszarpie.

Jerzy oddałby pół życia, gdyby znalazł w sercu choć kropelkę miłości. Na nieszczęście, w tej ważnej chwili czuł tylko ogromny kłopot i — nic więcej.

Coś jednak trzeba było odpowiedzieć, lecz Sielski nie wiedział co. Wreszcie zły duch widać ulitował się nad nim i podszepnął mu frazes.

— Nie rozumiem, — wybełkotał bezmyślnie — dlaczego pani sprzeciwia się rozwodowi?...

Leontyna oblała się ponsem.

— Więc pan mi tak odpowiadasz?... wykrzyknęła drżącymi ustami.

Wybuch ten, niewiadomo z jakiej racji, ośmielił Sielskiego.

— Sądzę, — rzekł — że nam to tylko pozostaje...

— Dość już! — zawołała. — Wiem wszystko! A potem mówiła dalej z nieopisaną ironją:

— Postępujesz pan, jak dobry chrześcijanin... Zgrzeszyłeś i pragniesz odpokutować, co jest bardzo pięknie... Daruj pan jednak, że pomagać mu w nawróceniu nie będę. Mąż, którego mam obecnie, znudził się mną dopiero po ślubie, pan — nieco wcześniej... Dziękuję za naukę!...

Z temi słowy podniosła się, widocznie zamierza-

jąc wyjść. Ku upokorzeniu natury ludzkiej dodać musimy, że Sielski, dostrzegłszy ten ruch, swobodniej odetchnął. Czuł on, że w opinii Leontyny jest nieodwołalnie zgubiony, że nim wzgardziła, że go nienawidzi... Świadomość ta jednak kłopotowała go mniej, aniżeli odwiedziny.

W tej chwili osłupiał, ugodzony niespodzianym clossem.

Niezamknięte drzwi od sieni nagle otworzyły się i stanął w nich Lachowicz.

— Ha!... jestem zgubiona!... — krzyknęła Leontyna. — Cóżto za nikczemność!.. — dodała.

I upadła na krzesło, zalewając się łzami.

— Przepraszam! — odezwał się z uśmiechem Lachowicz.

Sielski, blady jak ściana, wziął go pod rękę i zaprowadził do drugiego pokoju.

— Mój Ludwisiu, — mówił struchlały — nie myśl źle...

— Boże uchwaj! — odparł przybyły. —

Złego nic w tem nie widzę, wyjąwszy małą nieformalność. Takie bowiem wizyty składają się zwykle po maskaradzie...

— Ależ, przysięgam ci!...

— Wierzę i dlatego odchodzę — przerwał mu sarkastycznie Lachowicz. — Tylko pożycz mi kilka rubli, bo jestem dziś w okropnych opałach.

Sielski spojrzał na niego z najwyższą pogardą, a następnie rzekł:

— Zaczekaj na mnie...

I wrócił do Leontyny.

— Winszuję panu współnika! — zawołała, łkając. Teraz dopiero pojmuję, com zrobiła, ale już za późno...

— Wierz mi pani, że nie jestem winien temu — odparł znękanym Jerzy.

— Wierzę panu!... Masz zresztą świadka w tych oto drzwiach, których zapomniałeś zamknąć!...

— Istotnie, że zapomniałem...

Oboje umilkli.

— Jutro — mówiła po chwili, jakby do siebie, Leontyna — stanę się bohaterką ostatniej maskarady. Męża mego serdecznie to ubawi, a ojciec... O, mój ojczu, za cóżem ja cię tak skrzywdziła!..

Sielski zbliżył się do niej z ustami zaciśniętymi i rzekł półgłosem:

— Słuchaj, pani... Przysięgam ci na popioły mojej matki, że o wypadku tym nikt wiedzieć nie będzie, choćbym miał jego zabić i sam życie stracić... Postąpiłaś pani źle, bardzo źle, mówię ci to wprost. Lecz mimo to strzec będę twego honoru póty, dopóki sama go się nie wyrzekniesz...

— On wszystko powie... Zemści się niezawodnie... Obraziłam go przecież na tamtej maskaradzie — szeptała Leontyna.

— Nie obawiaj się pani!... Znajdę ja sposób zamknięcia mu ust i zamknę, choćbym miał największe ofiary ponieść. A teraz, zostaw nas pani samych... Czy powóz ma pani?

— Mam na rogu ulicy — odpowiedziała Leontyna, patrząc w ziemię.

Potem włożyła na twarz maskę, przyjęła od Sielskiego futro i wyszła na ulicę.

Jerzy zamknął mieszkanie na klucz i wrócił do Lachowicza, który oglądał obraz niedawno rozpoczęty i zasłonięty firanką. Był to „Ostatni dzień skazanego“ — robota przeznaczona na konkurs.

Teraz dwaj malarze po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy. Sielski był prawie nieprzytomny, Lachowicz spokojny i szydęrczy.

— Na konkurs?—odezwał się Lachowicz, wskazując obraz.

— Tak.

— Czy wiesz, że i ja staję?...

— Nic mnie to nie obchodzi — odpowiedział Sielski zarozumiale.

Lachowicz uśmiechnął się gorzko, a potem rzekł:

— No, mniejsza o to!... Miałeś mi pożyczyć pieniędzy.

— Ile?

— Daj... pięć rubli...

Sielski wydobył pieniądze z biurka i oddał je Lachowiczowi, który znowu rzekł:

—W takim razie, dobranoc!... Przepraszam cię też za przyjście nie w porę — dodał z figlarną miną.

— Siadź-no! — odparł Sielski.

— Nie mam ani chwili czasu. Upewniam cię, że mego powrotu niecierpliwiej oczekują, niżes ty oczekiwał na miłą wizytę...

— Powiadam ci... siadaj i staraj się choć na

chwilę, porzucić dowcipy, bo mogą się ciebie nie doczekać... ci, którzy cię czekają.

— Ho! ho! ho!.. — roześmiał się impertynencko Lachowicz, siadając w kapeluszu na głowie. — Czy myślisz wydobyć z szuflady rewolwer i zmusić mnie do podpisania rewersu na pięćset rubli?...

— Poznałeś tę damę, która była u mnie? — przerwał Sielski.

— Szykowna!... palce lizać.

— Jest co córka mego opiekuna.

— Fiu! fiu!... Dobrze mu się wypłacasz za opiekę...

— Przysięgłem, że nikt nie będzie wiedział o jej bytności u mnie.

— Jabyś zrobił to samo.

— Tobie zaś przysięgam, że ona nie jest moją kochanką i że wizyta jej zrobiła mi wiele przykrości — zakończył Sielski.

— Gdybyś od tego zaczął naszą rozmowę, nie byłbym z was żartował — rzekł Lachowicz poważnie i zdjął kapelusz.

— Ja nie dbam o twoje żarty!... mówił z uniesieniem Jerzy. — Twoje żarty nie dosięgają mnie, ani jej...

— Więc czego chcesz? — spytał, marszcząc brwi, Lachowicz.

— Chcę, ażeby nie było plotek w mieście...

— Z tem żądaniem musisz się chyba odwołać do Pana Boga, który plotkom żyć pozwala.

— Bądź ostrożny! — upomniał go do najwyższego stopnia rozdrażniony Sielski.

— Czyś oszalał?...—krzyknął nagle Lachowicz, zrywając się z krzesła. — Co znaczą twoje głupie pogroźki? komu je rzucasz? czego wreszcie chcesz odemnie?

— Chcę, ażebyś mi powiedział, za jaką cenę będziesz milczał?...

Lachowicz zatrząsł się.

— Za kogo ty mnie uważasz, panie Sielski?...

— Za tego, kim jesteś... za człowieka bez zasad, dla którego jedynym hamulcem jest interes...

— Cha! cha! cha! — wybuchnął Lachowicz, chwytając się za boki. —

No, więc mi zapłać... daj parę rubli i będziesz spokojny.

— Za mało!

— Wypij, synku, szklankę wody, a przekonasz się, że za dużo... Gdybyś zaś wypił karafkę, poznałbyś, że w tym wypadku nawet rubla byłoby szkoda... Poprzestałbyś na mojem słowie, które w łaskawych oczach twoich niewarte i trzech groszy!...

— Nie mówmy o słowie, lecz o interesie!... przerwał Sielski.

— Więc może mi dasz cały swój majątek?

— Dałbym ci go, ale toby się na nic nie zdało. Wymyśl coś lepszego.... ty za mało kochasz pieniądze.

— Co za warjat!... Daję ci słowo, że jesteś zdenerwowany i że najlepiej zrobisz, jeżeli, umywszy głowę, spać pójdziesz...

— Kończmy — nalegał Sielski.

Lachowicz spowaźniał.

— Więc kończmy! — rzekł. — Przysięgam ci na honor, że nikt o wizycie tej wiedzieć nie będzie.

Sielski ruszył ramionami i milczał. Widząc to, Lachowicz zbliżył się do niego, spojrzał mu w oczy i zapytał:

— Tak?... Więc słuchaj... — Głos mu drżał, jak w febrze.—Słuchaj, gdybym obmyślił jakąś podłość, i wykonał ją tu... w oczach... czy uwierzyłbyś mi wtedy?

— Tylko... wtedy.

— I ty to mówisz z przekonania?

— Z głębokiego przekonania.

— Ty to mówisz?... ty, którego nazywają szlachetnym, uczuciowym, honorowym?...

— Ja!... ten, którego nazywają szlachetnym — odpowiedział Sielski.

Sniada twarz Lachowicza zrobiła się żółta, oczy miał wilgotne.

— Panie Sielski, — rzekł — pastwisz się nademną, i ja ci zapłacę!

— Jestem przyszykowany na wszystko. Podaj warunki...

— Stawiam jeden tylko warunek — odpowiedział Lachowicz. — Od dzisiejszego dnia aż do chwili, w której sam cofniesz to, coś powiedział, niewolno ci nikomu okazywać obrazu, który wy-malowałeś na konkurs...

Sielski zawahał się.

— No, cóż?

— A dochowasz tajemnicy?...

— Naturalnie!... Gdy taka, jak ty, piramidka zej-

dzie z pola sztuki, — dodał szyderczo — interesy moje pójdą w górę. No, a przecież tobie o moje interesy chodziło.

— Czy napiszesz tego rodzaju umowę? — zapytał Sielski.

Lachowicz usiadł przy biurku i, śmiejąc się, na dwu arkuszach papieru spisał akt:

„Ażeby nie robić niebezpiecznej konkurencji malarzowi Ludwikowi Lachowiczowi, obowiązuję się nikomu nie okazywać znakomitego obrazu pt.: „Ostatni dzień skazanego“. Wzamian za to, tenże Lachowicz obowiązuję się nie zdradzać przed nikim wiadomej mu tajemnicy, dotyczącej honoru kobiety“.

— Czy jesteś teraz pewny? — spytał Lachowicz tonem drwiącym.

— Teraz... jestem! — odpowiedział Sielski uroczyście.

— Zarozumiałe oślisko! — mruknął Lachowicz. Gdy obaj podpisali dokumenty, Sielski rzekł:

— Sprzedałem ci duszę...

— Ja swoją także sprzedałem — odparł Lachowicz.

— Wiem... diabłu!

Lachowicz schował papier i zabrał się do wyjścia. Stojąc na progu, spytał jeszcze Sielskiego:

— Czy już mi nic nie masz do powiedzenia?

— To, że ci strzelę w łeb, jeżeli nie dotrzymasz umowy.

— I nic więcej?...

Sielski odwrócił się tyłem do niego.

Gdy Lachowicz wyszedł, Sielski zdjął zaczęte płótno ze stalug i rzucił je na ziemię. Dobry ten skądinąd chłopak miał dużo zarozumiałości i w tej nawet chwili sądził, że co najmniej jest bohaterem tragedji.

Lachowicz tymczasem, zapomniawszy o Sielskim, biegł w kierunku pewnej ulicy, do drewnianych domów, gdzie w zimnej komórcie jęczał starzec, dotknięty początkami tyfusu.

Starzec ten wieczorem uciekł ze swego mieszkania i przy jednym z szynków na Krakowskiem Przedmieściu był znaleziony przez Lachowicza.

7. Tempora mutantur.

Ludzie, znajdujący się na tym stopniu oświaty, że już pozwalają sobie kompromitować Darwina potępieniem lub potwierdzeniem jego teorii, ludzie tacy nie wierzą zazwyczaj w strachy, kabałę, tudzież szczęśliwe i nieszczęśliwe dni w tygodniu. Dni przecież takie istnieją, wprawdzie nie w tygodniu, lecz w życiu ludzkim. Dla każdego człowieka dzień urodzin, włożenia pierwszych butów, wypalenia pierwszego papierosa, zaciągnięcia pierwszego długu, pocałowania pierwszej kobiety należą do feralnych. Szczęśliwych nie wyliczamy tutaj, jest ich bowiem tak niewiele, że je każdy pamięta.

Z tem wszystkiem i szczęśliwe istnieją: przekonał się o tem Lachowicz. Pewnej nocy sen odbiegł go; malarz wstał bardzo wczesnie i wielkimi krokami (z większym jeszcze niepokojem w sercu)

przebiegał swoją pracownię. W południe wypił szklankę herbaty z cytryną, do której zapomniał włożyć cukru, po południu rzucił się na swoje nieosobliwe łóżko i począł marzyć.

W czasie tym sędzono konkursowe roboty artystów. Oczyma duszy widział Lachowicz gromadkę ludzi, której swój „Ostatni dzień skazanego” rzucił na pastwę. Jeden z panów tych był przyjacielem malarza X., drugi mężem przyjaciółki panna Z., trzeci miał pretensję do Lachowicza za to, że mu się nie kłaniał, czwarty nie znał go osobiście, piąty źle słyszał o jego moralności, szósty nie słyszał nic, ani o nim, ani o nikim innym, lecz chorował na katar żołądka; siódmy był zdrow jak ryba, lecz miał zwyczaj drzemać między trzecią a czwartą.

Wszystkie te instrumenty konkursowego sądu, tak rozmaicie nastrojone, miały dziś zagrać z jednego tonu. Nie jestże to nieprawdopodobieństwem? A przecież od nieprawdopodobieństwa tego zależała sława, majątek i całe prawie życie Lachowicza.. Lecz czyż sława i majątek same przez się nie były już niemożliwością dla tego człowieka z potarganymi włosami i brodą, którego niedawno palcami wytykano, dla lichwiarza, który za cenę dochowania tajemnicy kupował dusze ludzkie, dla nędzarza, który utrzymywał się prawie z jałmużny?

Powiedzcie ludziom, że jakaś garść śmieci warta jest tysiące, a uwierzą wam, — będą się bowiem

domyślali, że jest w niej djament ukryty. Ale powiedzcie komuś, że jego znajomy jest genjuszem!...

— Co?... on!... Ten, z którym ja wczoraj herbatę piłem?... Ten w butach dziurawych, ten... no ten, na którego codzień patrzę i nic w nim nie widzę?... Bajesz, mój przyjacielu, gorączkę masz!...

Sędziowi konkursowi, ludzie ułomni, mieliby dokazać tego cudu, przyjąć na siebie brzemię podobnej odpowiedzialności, rzucić pęk światła na nazwisko Lachowicza, na ten szyld, obrzucany dotychczas błotem?...

— Ech!... gdzie tam!... — powiedział sobie około piątej wieczór Lachowicz.

O tej samej porze na schody, wiodące do jego mieszkania, wstępował członek konkursowego sądu, chory na katar żołądka. Gdy wszedł do pracowni, zapytał:

— Tu pan Lachowicz?

— Jestem — odpowiedział malarz.

— Jakże tu ciemno!... Cóżto, światła pan Lachowicz nie używa?... Aaa!...

Malarz zapalił lampę i z podziwieniem przypatrywał się oryginałowi.

— Cóż pan tak patrzysz?... Ludzi pan nie widziałeś?... Ooo!... aach!... — mówił przybyły, mężczyzna wysoki, siwiejący, z twarzą bladą, jakby nalaną i żółto-piwnemi oczyma.

— Ludzi widywałem — odpowiedział malarz, — no — ale nie takich!...

— Toś pan Lachowicz? — pytał sędzia konkursowy, patrząc na niego przez ramię i z pod oka.

— A cóżeś pan myślał?... Czym niepodobny do siebie?... — odpowiedział Ludwik tym samym tonem i w takiej samej pozycji.

— Ooo... aaa!... — ziewnął przybysz. — No, kiedy tak, to sobie siadę.

— Bardzo proszę.

— Lachowicz... widzę malarz... musi być ten sam... — mruczał przybyły. — Czy to pański jest „Ostatni dzień skazanego“?

— Jeśli ten, o którym ja myślę, to mój.

— No ten, który dostał nagrodę.

• — Jakto?... mój obraz dostał nagrodę? — wykrzyknął Lachowicz.

— Ooo... aaa!... — ziewnął gość, wspierając obie ręce na kolanach i tocząc oczyma po wiszących w pracowni obrazach.

— Więc dostał... naprawdę?... — pytał malarz.

— Panu powie o tem woźny... Ja nie przychodzę z wiadomościami, tylko chcę obraz kupić. Jakie jest pańskie żądanie?

— Za co? za mój obraz nagrodzony? Cóżto za szczęście!...

— Dam tysiąc rubli...

— Daj pan, ile się panu podoba.

— To dam tysiąc dwieście, bo mi się tyle podoba. Będziesz pan miał okrągłe dwa tysiące rubli.

— Dwa tysiące rubli...

— Ci panowie... ooo... aaa!... powiadają, że u nas nie ma kto płacić. Mieście tylko genjusz, za genjusz wszędzie płacą.

— Dziękuję panu...

— Dobrze. Ale pieniądze dopiero jutro oddam. Obraz zostawię na pół roku Towarzystwu, a potem w pakę i do domu.

— Rób pan, jak mu się podoba.

— Ja też tak robię! Nie tak wprawdzie, jak *mu* się podoba, ale jak *mnie* się podoba. Dobranoc.

— Żegnam pana!

Już na schodach gość rzekł:

— A przyjdź pan kiedy do mnie. Oto mój adres... Ja o sztukach pięknych z malarzami nie gadam, tylko daję im dobre jedzenie, wino i cygara. To jest sztuka piękna!

Gdy szczególnie ów protektor sztuki znikł, Lachowicz przyznał, że jegomość musi jednakże mieć więcej rozumu i serca, niż się to na pozór wydaje. Wkrótce przecież zapomniał o nim i oddał się całkowicie rozmyślaniom o swoim szczęściu.

Dzień ten był punktem zwrotnym w życiu Lachowicza. Odtąd wszystkie pisma mówiły o nim, w ciągu tygodnia sprzedał trzy obrazy i miał kilka tysięcy rubli gotówką; znajomi patrzali na niego z podziwem, nieznajomi prezentowali mu się, lub zapraszali do siebie.

Gdy był w teatrze, widział, że z niektórych łóż kierują się na niego lornety. Gdy szedł przez ulicę, dostrzegał niekiedy, że idący naprzeciw niego coś szepczą do siebie i oglądają się za nim. Obraz jego towarzystwo umieściło w oddzielnym salonie, pobierało opłatę na dobroczynność, a mimo to widzów było pełno.

Wobec takiego stanu opinii publicznej, Lachow-

wicz uznał za właściwe ostrzyć sobie włosy, uporzządkować brodę i włożyć nowy garnitur.

Przedtem jednak zrobił wiele innych rzeczy.

Naprzód — spłacił wszystkie długi, z wyjątkiem Sielskiego, któremu nie chciał odesłać, a nie śmiał odnieść.

Następnie wynajął na jednej z odległych ulic małe, lecz czyste i ciepłe mieszkanie, w którym umieścił pewnego chorego starca, przydając mu do usług i dozoru stróża Stanisława z jego żoną.

Potem udał się na pensję do siostry.

Przełożona przyjęła go z ostentacyjną grzecznością i niesłychanie rozczulila się, otrzymawszy opłatę do końca roku.

W kilka minut potem wbiegła Zosia.

— Ach! Ludwisiu... — zawołała dziewczynka — co się tu u nas dzieje!... Wczoraj profesor pytał mnie, czy ja jestem rodzoną siostrą Lachowicza. Ja powiedziałam, że jestem, a on wtedy powiedział, że Lachowicz jest nazdolniejszy malarz w Polsce, i że powinienam Ludwisia bardzo kochać. Ja się ogromnie zawstydyłam, a zaraz po lekcji wszystkie panny zaczęły mnie całować i powiedziały, że chcą zobaczyć Ludwisia! Nawet jedna napisała wiersze!... Cały arkusz!

Lachowicz śmiał się, słysząc opowiadanie siostry i widząc w półotwartych drzwiach gromadkę główek panieńskich.

— Zosiu! — rzekł — jutro nie będziesz w szkole.

— O to dobrze!... Dlaczego?

— Będziesz sobie kupowała ubranie.

— Jakie ubranie?... Ależ ja tego nie potrafię!

— Pomogę ci, a tymczasem bądź zdrowa i weź te oto cukierki.

— Cukierki?... To dopiero Ludwiś musi być bogaty! A czy ja mogę dać połowę ich Józi, tej z drugiej klasy, bo ona nigdy cukierków nie dostaje.

— Możesz dać wszystkim Józiom, jakie tylko są na pensji.

— Ale ja powiem, że Ludwiś sam kazał jej dać. To się dopiero ucieszy!

— Jak ci się podoba.

Zbytecznem byłoby nadmieniać, że Ludwik dotrzymał słowa i że na drugi dzień nie tylko kupił Zosi salopkę z futrem, mufkę, kapelusz i wiele innych rzeczy, lecz nadto poszedł z nią do cukierni na czekoladę, a wieczorem do teatru. Dziewczynka nie posiadała się z radości, a wróciwszy na pensję, całą noc spać nie mogła.

Załatwiwszy w taki sposób najpilniejsze interesy, wybrał się i do cukierni, myśląc z niepokojem: w jaki też go sposób przyjmą? Od czasu bowiem niedoszłego pojedynku nie był tam jeszcze.

Gdy wszedł, zastał to samo towarzystwo, na tych samych miejscach. Przybyło tylko kilku nowych literatów, ubył Sielski, a jeden adwokat zapuścił brodę.

— Herbaty! — rzekł do markiera.

— Witamy!... prosimy bliżej! — odezwało się kilka głosów.

— Bądź pozdrowiony, bohaterze dnia i twórco

nowej szkoły! — zaczął adwokat z brodą, ściskając go za rękę.

— Dlaczegożeś pan tak dawno u nas nie był? — dorzucił asesor.

— Kochany panie Ludwiku, czy mogę zadać jedno pytanie? — pytał literat Roman.

— Jestem do usług.

— Jakie okoliczności nasunęły panu pomysł do tej świetnej grupy?

— Nie pamiętam. Zdaje mi się, że jakaś sprawa w cyrkule.

Literat począł zapisywać.

— A do pańskiego obrazu „Zachód słońca“?

— Rozumie się, że naturalny zachód słońca.

Literat wciąż pisał.

— Kawa czarna i likier! — wołał tymczasem kelner.

— Niech pana to nie obraża, panie Ludwiku, jeżeli powiem, że oddawna przeczuwałem triumf pański, — mówił doktor. — Pańskie dawniejsze obrazy miały jakąś szczególną cechę, której nie potrafiłbym określić, ale...

— To samo każdy z nas widział, tylko, znając pana Lachowicza, uważał za rzecz arcy naturalną i dlatego nie zwracał na to uwagi — przerwał pan Roman.

— Dwa poncze! — wołał kelner.

— Ciekawym, dlaczego Sielski się nie pokazuje! spytał asesor.

Lachowicz zbladł.

— Zapewne chory — odpowiedział ktoś z boku.

— Chory moralnie — dorzucił inny.

— Nie posadzajcież go o zazdrość — zaproponował doktor. — Sielski jest miły malarz, ale chyba pretensji do genjuszu nie miał nigdy.

— Ile wiem — odezwał się jeden z literatów — Sielski cofnął się z konkursu, przewidując klęskę.

— Tak?... Zazdrość w tej sprawie musi odegrywać jakąś rolę — zauważył ktoś.

— Sielski pomysły ma znakomicie niższe aniżeli pan Lachowicz, i dużo manjery...

— Panowie! — rzekł Lachowicz. — Sielski jest prawym człowiekiem, zrobił mi wiele dobrego; raczcie więc nie mówić o nim w taki sposób.

Zebrani umilkli, pan Roman zanotował słowa te w katalogu, a entuzjasta „kapitan“ z dragońskimi wąsami wykrzyknął:

— Lubię takich oficerów!

A potem szepnął:

— Słuchaj — no, możebyśmy teraz skończyli z owym pojedynkiem?

I ścisnął Lachowicza za rękę, który (dziwna rzecz!) czuł się w tej chwili zmieszany i nieszczęśliwym.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis!

Gdy Lachowicz opuścił admirujące go towarzystwo, po niejakiem wahaniu poszedł ku domowi, zajmowanemu przez Sielskiego. Okna były oświetlone, co zobaczywszy Ludwik cofnął się nagle i szybko wrócił do siebie.

— Niech on przyjdzie do mnie! — szepnął.

Postanowienie to jednak zmieniło się z następującego powodu.

Pewnego dnia poszedł na wystawę; nie w tym bynajmniej celu, aby powiększyć liczbę wielbicieli swego dzieła, lecz po to, aby posłuchać zdań publiczności.

W saloniku było sporo widzów. Jedni zarzucali obrazowi, że jest zbyt mały, drudzy chwalili perspektywę, inni ganili sposób malowania, robiąc przytem uwagę, że artysta zamiast pendzla musiał używać kwacza do smarowania wozów. Sensaci nie mówili nic, tylko przypatrywali się obrazowi przez lornety, lub dłoń zwiniętą w trąbkę.

Powoli salonik opróżnił się i zostały tylko, oprócz Lachowicza, dwie kobiety.

Jedną z nich była dama więcej niż w średnim wieku, tłusta, przysadzista, z rozumnym wyrazem twarzy. Zdania jej były stanowcze, lecz spokojne i rozsądne.

Drugim widzem była młoda, może ośmnastoletnia panienka w błękitnej sukni, w długim popielatym burnusie i czarnym kastorowym kapelusiku. Stojący około drzwi malarz podziwiał jej grube popielate warkoczki, a gdy odwróciła głowę — piękne szafirowe oczy, pleć, przypominającą listek róży, i cudnie zarysowane usta.

— Szczególny styl! — szepnęła dama poważna. — Gdy patrzę na ten obraz, jestem pewna, że jego twórca anioła, na przykład, nie potrafiłby wymalować.

— W każdym razie jest to potężny umysł — od-

powiedziała panienka. — Ten obraz widzę już trzeci raz i coraz nowę odkrywam w nim szczegóły.

— Umysł niewątpliwie potężny, lecz, jak słyszałam, charakter nieosobliwy.

— I pani temu wierzysz?... — zapytała z oburzeniem młoda panna. — Pani przypuszcza, że dusza ułomna może mieć podobne natchnienia?

— Przesadzasz, Jadziu!

— Wcale nie! — mówiła, zapalając się, panna. — Niech pani tylko nad treścią obrazu pomyśli... Tego człowieka nikt żegnać nie przyszedł, albo więc nie ma rodziny, albo ma taką, która o niego nie dba, i dlatego, może być, został zbrodniarzem... Nie mieć się z kim żegnać, mój Boże, jakież to smutne!...

Słuchając tych komentarzy, robionych półgłosem, Lachowicz drżał...

— Egzaltujesz, Jadziu! Ile wiem, artysta sam nie ma rodziny, nie myśli o niej zatem i nie umieścił jej na obrazie.

— Nie mówmy już o tych kwestjach — przerwała panna. — Ja wierzę, że znakomity artysta musi być szlachetnym; dobrze mi z tem, przy tem więc pozostanę.

— Zakochałaś się... w obrazie!

Panna Jadwiga oblała się rumieńcem, lecz już nie mówiąc, wyszła.

Zwykły śmiertelnik, wysłuchawszy podobnej rozmowy, byłby kontent, uszczęśliwiony, oczarowany wreszcie...

Z Lachowiczem stało się przeciwnie. Raniły go słowa damy starszej, lecz gnębiła i torturowała

nieograniczona ufność dziewczicy. Zdawało mu się, że dusza jego to wulkan dotychczas drzemiący i skorupą okryty, i że dopiero od kilku minut skorupa ta poczęła się wstrząsać, łamać i przepuszczać języki płomieni, zdolnych ogarnąć i spalić całą jego istotę.

„On musi być szlachetny!...” — co za straszne słowo, jaki cios!... I kto wyraził tę ufność? Czy kapłan, czy filozof moralista, czy rozumny sędzia kryminalny?... Nie; powiedziała to dziewczyna niedoświadczona i niewinna.

A co będzie wówczas, gdy wybije godzina, w której to dziewczę młode przyzna, że się myliło!...

Lachowicz podobny był teraz do człowieka, którego zaskoczyło trzęsienie ziemi. Przekonał się, że grunt, na którym stał dotychczas, nie jest trwały, że musi się cofnąć z jakiejś drogi, po której szedł od dzieciństwa, nie zdając sobie sprawy z kierunku. Od-tąd musi wejść na inną, ale z jakiej i na jaką?...

Opamiętał się i pobiegł za dwiema kobietami; chciał dowiedzieć się, gdzie mieszkają, nie zdając sobie sprawy w jakim celu to robi. Tymczasem patrzył na ulicę i dziwił się, że domy stoją na zwykłych miejscach, a ludzie chodzą i rozmawiają najspokojniej. Czy podobna być spokojnym po tak olbrzymim przewrocie?... Zapomniał, że przewrót ten dokonał się tylko w nim samym.

Damy mieszkały niedaleko wystawy, w domu eleganckim, na parterze. Okna ich wychodziły na pusty plac, na którym, widocznie, miano coś budować z wiosną. Obszedłszy dom dokoła, Lachowicz wsta-pił powtórnie do bramy i zaczepił stróża.

— Mój kochany!... — rzekł, dając mu złotówkę.

— Czego pan sobie życzy?...

— Kto tu...

Stróż słuchał.

— Czy niema u was mieszkania do wynajęcia?

— Niema, panie; tu po kilkanaście lat mieszkają.

Malarz chciał spytać o nazwisko lokatorek mieszkania parterowego, zląkł się jednak samej tej myśli i wyszedł na ulicę, niczego się nie dowiedziawszy. A wstydził się nawet, w obecności stróża, listę lokatorów przeczytać.

Gdy wrócił do domu, jeszcze raz obrachował dług, różnemi czasy zaciągnięte u Sielskiego, wziął 80 rubli do kieszeni i wyszedł.

Tułał się po najrozmaitszych ulicach, dwa razy okrzyknął dom Sielskiego, lecz nie wszedł tam. Walczyły w nim dwa prądy myśli: na czele jednego stały wyrazy: „on musi być szlachetny“, na czele drugiego: „jest to nieosobliwy charakter“.

W tym samym czasie Sielski także myślał o Lachowiczu. Przed kilku dniami jeden ze znajomych spytał go:

— Czy nie widziałeś się z Lachowiczem?

— Nie mam tej przyjemności — odparł Sielski.

— Widocznie, między wami są jakieś nieporozumienia?

— Bynajmniej!... Teraz właśnie rozumiem go zupełnie.

— Bój się Boga, Jerzy, pogódźcie się! — błagał wścibski. — To dobry chłopak, on się tak za tobą ujmuje!...

Ta to właśnie rozmowa przyszła teraz na myśl Sielskiemu.

— On się za mną ujmuje?... Ha!... lepszy to widać gracza, aniżeli mniemam sądzić. Musi mieć jakiś planik... Dobrowolnie wlażłem w ręce temu łotrowi, który dziś w dodatku poczyną robić karierę!...

Było już ciemno, Sielski więc zapalił świecę i chodził wielkimi krokami po pokoju, usiłując odgadnąć plan zemsty Lachowicza. W tej właśnie chwili ukazał się on sam.

Sielski włożył ręce w kieszenie i stanął na środku pokoju.

— Przyszedłem ci dług oddać — zaczął cichym głosem Lachowicz. — Ile wiem, jestem ci winien 80 rubli.

To mówiąc, położył paczkę pieniędzy na stole.

Sielski nawet ust nie otworzył.

— Czy już mi nic nie masz do powiedzenia, Jerzy?... — spytał Lachowicz.

— Wszystko już powiedziałem.

— I nie cofasz nic? — spytał Ludwik powtórnie, czując, że się w nim krew burzy.

Sielski przeszedł się po pokoju i nagle zawołał:

— Po coś tu przyszedł?

— Przyszedłem przemówić do twego rozsądku i uczciwości — odparł Lachowicz.

— Cha! cha!... komedjancie!... Tego rodzaju czarne charaktery, jak twój, znane są już wszystkim pokojówkom... Nie próbuj zatem odgrywać przede mną roli, do której nawet nie masz zdolności!

Lachowicz uczuł zawrót głowy.

— Ty dzieciuchu niepoprawny! — wykrzyknął.

— Precz stąd!... — zawołał Sielski — i pamiętaj, że ty masz moją tajemnicę, a ode mnie zależy twoja sztuczna sława i rzeczywiste dochody...

— Słuchaj, panie Sielski! Za to, co mi mówisz i co powiedziałeś wówczas, powinienem być już sto razy ogłosić twoją śmieszną tajemnicę, która się tylko takiemu, jak ty, szalonemu pyszałkowi, wydawać może czemś wielkiem... Jeżeli zaś jej nie ogłaszam i jeżeli nie pokazuję ludziom tego błazeńskiego aktu, to jedynie w tym celu, aby cię przekonać, że więcej wart jestem od ciebie...

— Dobranoc panu Lachowiczowi!

— Ja już byłem tu po raz ostatni — mówił Ludwik — teraz na ciebie kolej. Tymczasem, jeżeli tak chcesz koniecznie, możesz i nadal nie pokazywać nikomu swego obrazu — możesz nawet i nic już nie malować!... Kto wie, gdy będziesz więcej myślał i zastanawiał się nad swoim postępowaniem, może poznasz wtedy, jakieś mnie skrzywdził i jak ja ci się wyplacam.

I wyszedł wzburzony.

— Bezczelne pozowanie!... jaka zarozumiałość obok nikczemności!... — mruknął Sielski. — O, gdybym go mógł zdemaskować, a potem zdeptać!...

Na drugi dzień w jednym z pism Lachowicz przeczytał:

„Pan X. zwrócone mu przez pana Y. rs. 80 przeznacza na rzecz kryminalnego przestępcy, który już karę odsiedział“.

— Nie!... w tym Sielskim niema iskiejki uczciwości — pomyślał Lachowicz. — Są tylko ładne pozory, ale grunt zły!

8. Chore serce.

Sława Lachowicza wzrastała z każdym miesiącem, dochody tak samo, dzięki pomocy chorego na katar żołądka sędziego konkursu, który wszystkie obrazy malarza wysyłał za granicę, sprzedawał je drogo, a jednocześnie zrobił mu niemiły rozgłos.

Talent Ludwika uległ teraz pewnej zmianie. Dotychczas pomysły jego były wprowadzić znakomite, lecz nosiły jakąś dziką cechę; od kilku miesięcy jednak, w pracach tych można było spostrzec rysy rzewne i chwytające za serce. Nowy ten charakter znakomicie uwydatnił się w obrazie pod tytułem „Burza“. Oto jego treść: Niebo okryte czarnymi i ołowianymi chmurami, które prawie pełzały po ziemi: na porębie, wśród lasu, widać sosny, gnące się, jak trzciny, upadające i połamane dęby. Ponury krajobraz rozświetla błyskawica, przy której widz dostrzega psa i dziecko, tulące się pod pień strzaskanym. Dziecko klęczy zgięte ku ziemi i z wyrazem nieopisanej trwogi patrzy na jedno z drzew przewróconych, pod którem widać rękę w sukmanie...

Obraz ten przejednał najzaciętszych wrogów Lachowicza, stworzył mu mnóstwo serc, kieszeni i salonów, lecz niestety! szczęścia nie dał. Prawie od dnia konkursu malarz zrobił się smutny, wizyty składał rzadko i wogóle unikał ludzi.

Najmilszem zajęciem Ludwika było krążyć po ulicach, zaglądać do kościołów, teatrów i na sale koncertowe. W wycieczkach tych spotykał niekiedy pannę Jadwigę, która przeczuła widać oryginalnego wielbiciela, gdyż zawsze na jego widok oblewała się rumieńcem.

Nie pytał nawet o jej nazwisko, bo i cóż go ono obchodziło?... Przypuszczał, że może się z nią bliżej poznać, lecz co potem?... Miałże się oświadczyć?... Ale cóżby powiedział, gdyby go spytano o rodzinę?... Oprócz siostry, najlepszej dziewczynki na świecie, był jeszcze ktoś, był człowiek straszny, którego żadna kobieta nie nazwałaby dobrowolnie ojcem...

Jest to dopiero jedna strona kwestji, lecz istniała i druga. Stary człowiek mógł kiedyś umrzeć, zdrowie bowiem jego, szczególnie po przebytych tyfusie, mocno szwankowało. Ale żył jeszcze Sielski, młody i nienawidzący Lachowicza, jak nigdy nikogo. Dziś on niebezpiecznym jeszcze nie był; lecz czy sam Lachowicz mógł zbliżyć się do dziewicy niewinnej, z tym fatalnym aktem, który bądź co bądź trwał i ciążył na talencie Sielskiego.

Dla ludzi zwykłych, skrupuły podobne mogły nie istnieć; istotnie wszystkie trudności, wypływające z owego aktu, opierały się na uprzedzeniach, nieufnościach i urojeniach. Urojenia jednak zbyt głęboko wpiły się w duszę obu przeciwników, aby je stamtąd można było usunąć. Każdy z nich wolałby życie raczej stracić, niż złamać umowę, a rozwiązać jej żaden nie chciał. Lachowicz wierzył, że już zro-

bił wszystko, co do niego należało; Sielski wierzył, że zrobił najlepiej, łząc i wypędzając Lachowicza; nikt inny w sprawę wtajemniczony nie był i nie mógł być, słowem, nieporozumienie nie miało wyjścia.

Chwilami Lachowiczowi przychodziły szalone pomysły. Chciał zabić w pojedynku Sielskiego, oświadczyć się w sekrecie Jadwidze, wykraść ją i wyjechać zagranicę. Innym znowu razem myślał o samobójstwie... W końcu pozostał na drodze pośredniej, nie rozstrzygającej niczego; spotykał nieznajomą, patrzył na nią i tęsknił...

Pewnego dnia, podczas lata, gdy krążył około mieszkania Jadwigi, zobaczył ją, jak w otwartym oknie czytała książkę. Ona jednak, spostrzegłszy go, odeszła.

Przy tej sposobności Lachowicz zauważył, że okno było dość nisko.

W parę dni potem spotkał obie panie na ulicy. Szły naprzeciw niego, lecz, zobaczywszy go, zamieniły między sobą parę wyrazów i zwróciły z drogi.

Lachowicz domyślił się niechęci ze strony Jadwigi, łamał sobie głowę nad przyczyną, a wreszcie wpadł w wielkie rozdrażnienie. W stanie takim kilka dni pisał coś, a następnie z rękopisem tułał się znowu czas jakiś w okolicy parterowego mieszkania.

Okna codzień były otwarte, Jadwiga codzień w jednym z nich zajmowała się czytaniem, a zobaczywszy Lachowicza, odchodziła, zostawiając książki. Jakież było jej zdziwienie i przestach, gdy pewnego razu, zabrawszy się do czytania, znalazła

między kartkami książki manuskrypt, pisany ręką nieznana. Domyśliwszy się od kogo pochodzi, w pierwszej chwili chciała pokazać go krewnej, u której czasowo mieszkała, później — spalić, lecz w końcu — odczytała.

Oto, co znalazła:

Z otchłani.

Wśród bezsennych nocy szczęśliwi świata tego trapieni bywają przez widziadła. Niekiedy zdaje się im, że po miękkich dywanach sypialni ktoś stąpa. Wyteżają oko... jakiś cień błąka się po ścianie. Przysłuchują się i słyszą szmery, będące tylko cieniem rzeczywistego głosu. Ktoś wzdycha, śmieje się, szlocha, lub opowiada długie i smutne historie, którym brak logicznego wątku, a których treścią skarga...

— 'To głosy mieszkających w otchłani... Módl się za nich — szepcze sumienie.

— Jestem chory i mam przywidzenia! — odpowiada szczęśliwiec i przewraca się na drugi bok, starannie zatykając uszy.

Módlcie się za nich!

*

*

*

Nie pytają kwiatu: jaka go ziemia wydała? — ani wołają na lilję wodną: Z bagniska pochodzisz!... A gdy ku wschodzącemu słońcu kwiat podniesie głowę i z otwartych podziwem ust popłynie strumień woni, dziewice okrywają go pocałunkami i tulą do czystego łona...

Lecz jeżeli serce ludzkie zamarzy o szczęściu, gdy z duszy znękaney boleścią rozlegnie się okrzyk o współczucie, wówczas matrony wielkim głosem rozprawiają o przyzwoitości i rodowodzie, a dziewica usuwa się z obawą i wstrętem.

*

*

*

O, gdybym mógł, jak najpokorniejszy kwiat łąk naszych, rzucić się pod twoje stopy!... O gdybym się rozplynał w szmer wiatru leśnego, aby całować kraj twej szaty i szeptać słowa, jakich nie wymówiły jeszcze śmiertelne usta!...

*

*

*

Jak burza porywa liść opadły, tak boleść porwała myśl moją i miota nią po manowcach. Niekiedy pytam: czego chcę i o czem mówię? — lecz w odpowiedzi słyszę tylko jęk własnego cierpienia.

Bywają chwile, w których duch ludzki staje się podobnym do rozstrojonej arfy: każde dotknięcie strun wywołuje tony skarżące się i dzikie.

Nie dziwcie się więc, lecz módlcie — i ten głos bowiem także pochodzi z otchłani.

*

*

*

Pewnego dnia, dzieckiem jeszcze będąc, zobaczyłem nagrobek żydowski, na którego nagłówku wymalowano siedm orłów, lecących ku niebu. Niebo było u dołu czerwone, u góry granatowe, a orły podobne do chrabąszczy.

Co to jest? — zapytałem malarza.

— To takie ptaki...

Innego dnia, może w rok później, siedziałem przy matce, która dopiero co skończyła pleć w ogrodzie. Słońce już zaszło, a gdy ujrzałem niebo u dołu purpurowe, wyżej granatowe, zapytałem:

— Mamusiu! czy człowiek może być „takim ptakiem?”

— Jużci że nie, bo przecie człowiek co innego, a ptak co innego.

— To źle, matusiu.

— A co ci złego?... Nie jadłeś, spracowałeś się, czy co?

— A źle mi, bo jabym chciał polecieć aż tam, gdzie hań tę gwiazdę widać...

— Cicho ty, głupcze!... Pacierz mów lepiej, bo zły duch cię kusi!... — odpowiedziała matka.

I poczęła mówić pacierz, a ja za nią, myśląc ciągle, że jestem jednym z orłów, które Bóg, otworzywszy wszechmocną prawicę, ponad ziemię wypuścił. Odtąd najmilszym marzeniem mojem było to, że kiedyś zostanę malarzem nagrobków, i jeżeli nie latać jak ptak, to przynajmniej malować potrafię ptaki, ku niebu lecące...

Nie wiem nawet, skąd mi to na myśl przyszło w tej chwili...

*

*

*

Matka nauczyła mnie całego pacierza, a ojciec kłać. Co prawda, tyle tylko umieli oboje. Gdym miał lat dwanaście, matka przy urodzeniu siostry umarła, a ojciec...

...Ludzkość, nie kontentując się grobami dla zmarłych rzeczywiście, buduje jeszcze groby dla umarłych moralnie. Ojca wtrącono do jednego z nich... Siostrę litościwi ludzie wzięli na opiekę, a ja poszedłem w świat, umiejąc tylko modlić się, kłać i rysować. Ostatnią tę umiejętność zawdzięczałem wyłącznie własnej pracy... i owym orłom z nagrobka.

*

*

*

Niekiedy na zwaliska starych budynków dłoń losu rzuca pestkę dzikiej wiśni. Mijają dni, i pod wpływem cudownej siły słońca, budzi się życie w podrzutku, z którego z czasem drobna roślinka wyrasta.

Smutne jej dzieje!.. Wiatry pastwią się nad wątłymi gałązkami, łamią je upadające kamienie, depta noga przechodnia, i z tego, co było zarodkiem pięknego drzewa, wyrasta chory i wykoszlawiony karzełek. Ludzie litują się nad nim, lecz nigdy nie słyszano, aby kto osypywał szyderstwem i złorzeczeniami nieszczęsną roślinę, którą los i otoczenie po macoszemu wychowały...

...Niekiedy znowu najczystszy promień bożego ducha zstępuje do społecznych lochów i na barłogu nędzarzy roznieca nowe życie. Wyrasta wówczas dziecko, niepodobne do swoich rówieśników, którzy go kułakami obsypują, zdumiewające rodziców i ich przyjaciół i ze wstydem usiłujące wydobyć się z przepaści, w której żadna istota ludzka przebywać by nie powinna...

W rozpaczliwej tej walce wielu ginie bez wspomnienia i śladu, czasem jednak udaje się któremuś z to-

pielców wypłynąć na wierzch bagniska. Stojący nad brzegiem, zamiast podać rękę ginącemu, dziwią się mu i zapytują: skąd przychodzi?... Gdy woła: „Ratunku!...” — wyśmiewają go; gdy chwytą się choćby tej trawy, która u stóp ich wyrasta, kopią nogami i odpychają dalej...

I znowu giną setki.

Wreszcie jeden stanął na brzegu i zmieszał się z uprzywilejowanym tłumem. Tysiące moralnie gorszych od niego krążą tam bez przeszkód, lecz jemu niewolno i kroku zrobić bez zwrócenia na siebie powszechnej uwagi i wywołania okrzyków:

— Jaki on zabłocony!... Jak chodzić nie umie!... Człowieku z bagna! jak śmiesz wygrzewać się na tem słońcu, które dla nas tylko stworzone?...

Gdy zgębiony brzemieniem ogólnej niechęci pochylił głowę ku ziemi, deptają go i spychają na dół. Gdy się broni — biją. I dziwić-że się tej sponiewieranej istocie, jeżeli, czując pustkę dokoła, zasklepia się w sobie, a wykarmiona trucizną, płaci nienawiścią i szyderstwem?...

*

*

*

Nakoniec ludzie uspokoili się; człowiek z bagna, jeżeli nie uzyskał praw obywatelskich, był przynajmniej tolerowany. Talent dawał mu chleb i niezależność. Powoli otrząsnął się z dawnych znajomości i osiadł w innem miejscu. Ci, którzy pamiętali go dzieckiem, nie żyją; którzy znali go chłopcem — nie myślą o nim. Zdawało się, że pozyskał już spokój i możliwość wybrania się w podróż do tajemniczej kra-

iny ideału, do której z taką tęsknotą wyrывała go niegdyś dziecięca jego dusza.

Pewnego wieczoru, przechodząc ulicą, usłyszał płacz dziecka i spostrzegł nędznie ubraną jedenastoletnią dziewczynkę, którą bił jakiś stary człowiek, zmuszając do żebrania.

Zbliżył się do nich, zamienił kilka wyrazów i poznał... siostrę i ojca!...

Siostrę odumarli opiekunowie, ojciec zaś powrócił z więzienia z najgorszymi nałogami i początkiem obłąd. Znalazłszy osieroconą dziewczynkę, wziął ją z sobą, rachując na to, że przy jej pomocy wleceją użębrze...

*

*

*

Zdarza się niekiedy, że fale, które zdławić miały rozbitka, wyrzucają go na brzeg bezpieczny. Już uczuł stały grunt, już zmęczoną piersią schwycił trochę powietrza i pomyślał: „Jestem ocalony!...“ Wtem z głębi wód wysuwają się inne ręce i uratowanego chwytają...

*

*

*

Codzień tłumy przechodziły obok ciebie, o biedna siostró moja! rzucając ci grosz na wyschlą rączynę, a do duszy ziarno gorczy. I któż mię potępi, że opuściwszy bezpieczne schronienie, wróciłem do odmetu, aby cię z niego ocalić, lub zginać razem z tobą!

*

*

*

Od tej chwili rozpoczęły się na nowo szalone zapasy z losem. Ludzie widzieli rozpaczliwe wysiłki jednostki, nie domyślając się nawet jej ciężkiego brzemienia, nie szczędząc krzywd i upokorzeń.

*

*

*

Na burzliwym oceanie życia, między uśmiechniętymi twarzami pływaków, którym szczęście sprzyja, spotykamy niekiedy twarz, konwulsyjnie wykrzywioną, osłupiały wzrok i najeżone włosy...

— Co jemu jest? — pytają — i dlaczego on osłabł? Przecież wydaje się tak silnym, jak i my... O niedołęga!...

Lecz gdy tonący rozpaczliwemi rzutami psuje ogólną harmonję, jednego potraci, a innego obryzga, wówczas powstaje oburzenie:

— Łotrze! — wołają — jak śmiesz pływać w tak dobranem towarzystwie?...

I opuszczają go wszyscy, wszyscy odpychają, zostawiając nieszczęsnego na łup fali i gorszej od niej rozpaczy!....

Taki bywa los tych, którzy podają rękę innym, dawniej już potępionym i ginącym.

*

*

*

Kiedy tłum krzywdzi — mniejsza o to: opinie tłumowi zmieniają się tak jak wiatr, który pogrąża w błoto to, co pod obłoki unosił.

To też krzywda najdotkliwsza jest wówczas, gdy ją wyrządzi wyjątkowa osobistość, którą nie tylko

ogół, ale i ty sam szanujesz, niekiedy podziwiałeś i chciałbyś pokochać.

Pewnego dnia spostrzegłem chłopca, który głodnemu psu pokazywał mięso. Gdy pies podniósł głowę, chłopiec podnosił rękę wyżej, gdy pies skakał, chłopiec wspinał się na palce. W końcu jednak ulitował się swawolnik...

Innego dnia spotkałem człowieka, który odepchnięty, a jednak gorąco czującemu ukazał widmo przyjaźni. Ile w stosunku tym znosiłem upokorzeń i goryczy, Bóg jeden wie! Cierpiałem przecież w nadziei, że przyjdzie chwila, w której kapryśne dziecko fortuny zażąda mojej pomocy i sercem zapłaci za serce. I nadeszła chwila, lecz on odepchnął mnie, jak inni... stokroć gorzej nawet, niż inni, bo obsypał mnie obelgami, do których upoważniło go... chyba moje nieszczęście.

*

*

*

Dość już tego, o ludzie! których, niekiedy, uważać muszę za stado dzikich zwierząt drapieżnych i nikczemnych, jak hieny. Szarpiecie słabych, gwałcicie pokój zmarłych, a liżecie tę tylko rękę, która wam zakłada obroże i kagańce.

.

Dziś, gdy minęło upojenie zwycięstwem i pamięć bólu osłabła, nie pragnę odegrywać roli pogromcy; a jeżeli wciąż jeszcze pnę się ku szczytom, to tylko dlatego, aby mieć jak najmniej liczne towarzystwo i najmniej stosunków z tymi, których dusze na inny ton widać nastrojone, niż moja.

*

*

*

Mylę się... niesprawiedliwy jestem! gdyż i dla-
mie wśród ogólnej dysharmonji zadźwięczał ton po-
krewny... „On musi być szlachetnym“.

Czy pamiętasz te słowa?

*

*

*

Nie troszczy się bogacz o grosze, które nędzarzom
rzucił, nie myśli słońce o strumieniach ciepła, które
na zmarzłej ziemi roślinność wywołały, — więc i ty
nie dbasz być może o słowa, które wskrzesiły du-
szę obumarłą.

Mimo to, bądź błogosławiona, ty, która dla jednej
z istot rozumnych stałaś się wcieleniem ideału,
streszczeniem najwznioślejszych przymiotów na-
tury ludzkiej, ogniwem, które łączy z ogółem jed-
nostkę, oderwaną od niego. Cokolwiek bądź zajdzie
kiedy, tyś mi dała jedną chwilę prawdziwego szczę-
ścia, podniosłaś myśl i uczucie na wyższy stopień
i dla reszty życia nowy wskazałaś kierunek, jak błys-
kawica, która wśród ciemnej nocy zbłąkanemu
wskazuje odrazu przepaść, w którą mógł się stoczyć,
i drogę, która do celu wiedzie.

*

*

*

Sława jest jak powietrze, które człowieka ze
wszystkich stron otacza, czepia się rąk i nóg, wlewa
się uszami, skacze do oczu, przez drzwi i okna wdzie-
ra się do mieszkania, obiega ziemię i z drugiego jej
końca przynosi własne echo. Ona jest bodźcem dla

działalności, budzicielem drzemiącej energii; ona wybrańcom toruje drogę wśród tłumów, przypina skrzydła do lotu, a trwa nawet i wówczas, gdy głowa, laurami niegdyś spowita, rozsypała się w garść popiołu.

Czemże jest miłość wobec niej?... Czem pyłek wobec ogromu atmosfery. Jest ona także niewidzialnem źródłem, bijącym na dnie ludzkiego serca, z którego płynie potok wielkich niepokojów, unoszący kropelkę szczęścia.

Lecz, gdyby mi dano do wyboru: miłość czy sławę, pyłek czy atmosferę? ...wybrałbym miłość. I cóż mi po całej atmosferze sławy, jeżeli ten pyłek, moje „ja“ najwewnętrzniejsze nie ma być nigdy powołane do życia?

*

*

*

W dniu, gdy spotkałem cię, pierzchły chmury i śniegi przed tchnieniem wiosennego ciepła, zaświergotały ptaki i z nagich gałęzek drzew wytrysły młodociane listki. Los widać chciał, aby razem z odżyciem ziemi, zmartwychwstała jedna dusza ludzka...

Odtąd wiem już, o czym szumią lasy i rozmawiają ptaki; rozumiem monotonny szepł deszczu i jęklivy brzęk wieczornego chrabąszcza. Odtąd puste pokoje wypełniają duchy gwarliwe i przyjazne, a z pośród chwiejących się krzaków róż słyszę wesół śmiech Amora.

Odtąd w ciemnościach dostrzegam potoki mistycznego światła, wśród ciszy chwytam dźwięki niewidzialnej orkiestry, w rozsypujących się zwaliskach przeszłości dostrzegam pracę, a w grobach życie....

Niekiedy myślę, że któreś z wiecznie młodych, choć oddawna zapomnianych bóstw klasycznych zastąpiło mi drogę. Widzę jego uśmiech spokojny, głębokie spojrzenie, czuję oddech... Lecz gdy wyciągam ręce, widziadło rozwiewa się...

O, nielitościwe bóstwo!

*

*

*

Nieustanna pogoń za rzeczą nieujętą nuży mnie niekiedy straszliwie. Łatwo o rozpacz tam, gdzie wszystkie myśli i uczucia zlały się w nić jedną, którą los bez miłosierdzia wyteża!

Pewnego dnia byłem na pogrzebie młodzieńca. Matka jego szła za trumną, zanosząc się od płaczu; nawet obcy mieli łzy w oczach...

Żal ten rozdrażnił mnie. Godzi-ż się opłakiwać człowieka, dla którego obcemi stały się już trwogi niepokoju i udręczenia nadziei?...

Gdy ziemia obsypała się na trumnę, dostrzegłem błądź na twarzach dotychczas obojętnych. Dobrzy ludzie... jak oni boją się śmierci, jakim dreszczem przejmuje ich łoskot grudy, upadającej na wieko!

Co do mnie, zazdrościłem młodzieńcowi, że już pozyskał spokój wiekuisty, że uwolnił się od marzeń trawiących serce i że niczego wyglądać nie będzie od tych, od których oddzieliła go sosnowa deska i kilka stóp gliny...

— Jak mu tam ciężko musi być pod ziemią! — mówiła dziewczynka, wracająca z cmentarza.

... Jednak, o ziemio! chyba ty nie ciężysz umarłym, tak jak smutek żyjącym...

* * *

Pocom to pisał?... Alboż ja wiem!... Litości nie żądam, o wzajemności myśleć nie mogę, ani też oczekuję odpowiedzi. Jestem jak człowiek, który, szepcząc modlitwy, wzrok i duszę zwraca ku niebu, które wiecznie piękne, wiecznie milczy i pozostaje nieskończenie odległym.

.

Od tego dnia Jadwiga nie czytywała już książek w otwartem oknie i unikała spacerów. Niekiedy jednak, pracujący na placu robotnicy, poza fałdami muślinowej firanki dostrzegali jej twarzyczkę, dziwnie tęskną, i wielkie oczy w jakiś punkt zapatrzzone...

Może być, że tak ukryta wyglądała Lachowicza, ale on już na plac nie przychodził.

Wkrótce też muślinowe firanki znikły, a w partelowym lokalu zamiast dotychczasowych mieszkańek ukazali się w powalanych bluzach i czapkach malarze ze składanemi drabinami. Po nich odświeżony lokal zajęła znowu jakaś rodzina, lecz Jadwigi już tam nie było.

9. Zasiewy wschodzące.

Od opisanych na początku wypadków rok upłynął.

W ciągu tego czasu pan Roman nie przestawał zbierać cennych materiałów do powieści, której jed-

nak pisać jeszcze nie zaczął. Sielski od zeszłej wiosny siedział za granicą, lecz że o pracach jego nikt nie słyszał, przypuszczano więc, że zerwał z malarstwem, a natomiast począł używać dość znacznego majątku.

Chory starzec, mimo troskliwego dozoru Stanisława i jego żony, pił ciągle i często wymykał się do miasta, skąd go parę razy bezprzytomnego prawie przywożono. Hypochondryczny protektor sztuk pięknych zajmował się coraz goręcej Lachowiczem, który powoli stracił doły na twarzy i zrobił się kompletnie przystojnym, lecz zesmutniał, spoważniał i złagodniał.

Najciekawsze jednak zmiany zaszły w Zosi. Dośięgła ona obecnie szesnastego roku życia. Ludwik więc odebrał ją z pensji i umieścił w prywatnym domu, garściami rzucając pieniądze na uzupełnienie edukacji. Dzięki dobrobytowi, nowemu otoczeniu i wiekowi, ze szczupłej i bojaźliwej dziewczynki poczęła wyrastać bardzo piękna dziewczina. Kibić jej zaokrągląła się, na śniadej twarzy wykwitł rumieniec, usta nabrały purpurowej barwy, czarne oczy wyrazu i blasku. Okazało się, że dziewczyna ma ogromne zdolności, że lubi muzykę i posiada zawiązek prześlicznego sopranowego głosu. Do nowych warunków przywykła prędko, stała się śmiałą i dowcipną, co jednak nie stłumiło wrodzonej tklivości.

Lachowicz był zachwycony siostrą, młodzież przepadała za nią, a chory na katar żołądka protektor Ludwika, poznawszy się z nią, począł jej mówić „ty“ i całować w głowę.

Odwiedzał ją dosyć często i rozmawiał niekiedy w następujący sposób:

— Proszę cię... Czy nie mogłabyś wystąpić na środek pokoju i ukłonić się tak, jak umiesz?

— Mogę się ukłonić nawet dwa razy, jeżeli to panu robi przyjemność.

I, mówiąc to, kłaniała się z nieporównanym wdziękiem.

— Proszę cię... Czy ty wiesz, że jesteś ładna?...

— Panienki w moim wieku nie powinny o tem wiedzieć; tak przynajmniej mówi pani Skulska.

— Ty jednak wiesz?

— Wiem, ale staram się nie rozmawiać o tem.

Zbity z tropu oryginał robił się poważniejszym.

— Jakżeż tam idą nauki? — mówił, ziewając.

— Ludwiś pyta o to tylko moich nauczycieli.

— A cóż oni mówią?

— Oni mówią przy mnie: „Tak sobie“ — ale panu może powiedzieliby inaczej.

Z ojcem swym Zosia nie spotykała się dotychczas. Na kawalerów nadskakujących jej patrzyła ze zdziwieniem.

Jeden z nich, korzystając pewnego razu z nieobecności pani Skulskiej (w której domu mieszkała), zapytał jej:

— Czy pani kocha kogo?

— Naturalnie.

— A czy wolno spytać... kogo też najlepiej?

— Bardzo trudna odpowiedź! — odparła Zosia.

Frant pochylił się na poręcz krzesła i, patrząc na swoje świeże, lapsoare-rekawiczki, mówił:



— Radziłbym postarać się o przewodnika w sprawach podobnych.

— O takiego pana musi być chyba bardzo trudno! — odpowiedziała Zosia z minką budzącą otuchę.

— Gdzie tam! — wykrzyknął elegant — ja pierwszy jestem gotów...

— Doprawdy?... Gotówby pan zostać moim przewodnikiem?..

— W sprawach, które pani sama uzna za najdrażliwsze i największego wymagające zaufania...

Zosia popatrzała figlarnie, jak pensjonarka na swego pierwszego wielbiciela, a potem rzekła:

— Jeżeli tak, to racz mię pan oświecić... gdzie mogłabym dostać tak ładnych rękawiczek?..

Frant udał bardzo zadowolonego, ale od tego czasu już nie mówił z Zosią o miłości.

Ludwik odwiedzał ją codziennie. Pewnego dnia, gdy grała przy nim na fortepianie, on, słuchając, zwiesił głowę na piersi i siedział tak, głęboko zadumany.

— Co teraz zagrać? — spytała.

Ludwik nie ruszył się.

Zosia pobiegła do niego, położyła mu rękę na ramieniu i, zaglądając w oczy, szepnęła:

— Ludwisiu!... co tobie?

— Nic.

— Możeś ty chory?

— Nie.

— A może ty się o mnie troszczysz?

- O ciebie jestem spokojny — odparł, całując ją.

— Więc o cóż ci chodzi? Wszyscy cię przecież kochają i szanują, masz pieniądze, jesteś sławny...

— Moje dziecko! najwięcej powodów do smutku człowiek nosi w sobie.

— W sobie?... Przecież i ja mam siebie, a jednak jestem szczęśliwa! Jeżeli człowiek może robić to, co chce, nie jest ubogi, ludzie mu dobrze życzą, więc czegoż ma się martwić?

— Wielu rzeczy nie rozumiesz, moja mała siostruniu!...

— Ja już nie jestem mała, ja wszystko rozumiem!... Powiedz mi, co ci jest: ja czuję, że ci pomogę... Ach, Boże... wszystko jestem gotowa zrobić, byleś tylko był wesół...

— A ty czego płaczesz?... — zapytał Ludwik serjo, podnosząc jej główkę.

— Ja nie płaczę! — odparła, hamując łzy, — ale... już wiem, co jest nieszczęście...

— Bodajżeś innych nie znała! — odpowiedział Ludwik, tuląc ją do piersi.

Potem, opanowawszy się zupełnie, począł żartować, zachęcił ją do śpiewania i zupełnie naturalnym i wesołym głosem opowiadał jej różne zabawne historie.

Zosia z początku nie dowierzała tej naglej zmianie, w końcu jednak uspokoiła się i pocieszyła. Nic dziwnego! serce jej było niewyczerpanem źródłem radości, którą cały świat obdzielić mogła. Przy najmniej tak jej się zdawało.

Protector Lachowicza wprowadził go do rozmaitych domów; do jednego z nich, jakoś w końcu

wielkiego postu, wybrał się Ludwik na ostatni wieczór, który miał być wyjątkowo liczny.

Około dziesiątej znalazł istotnie mnóstwo osób, zajętych piciem herbaty i rozmową. Przywitawszy gospodarzy, zbliżył się do kółka znajomych mężczyzn, zajętych robieniem grzeczności jakiemuś hrabiemu, który miał pretensję do Salomonowej mądrości, a na cały ród ludzki spoglądał z bardzo wysoka.

Przedstawiono obu panów. Hrabia raczył poświęcić parę łaskawych wyrazów Lachowiczowi.

— Winszuję sobie, żem pana poznał—mówił hrabia. — Pan ma talent, ja bardzo lubię pańskie rzeczy... Szczególnie podobał mi się szereg szkiców pod tytułem „Wojna“.

— Robił je Grottger — zauważył Lachowicz.

— Ach! prawda... przepraszam! Mam tak umysł zajęty różnemi kwestjami... W każdym jednak razie „Śmierć Barbary“...

— To znowu malował Simler.

— Co za nieuwaga!... — mówił hrabia, pocierając myślące czoło. — Więc, wracając do tunelu anglo-francuskiego, — dodał po chwili do innej osoby — ile wiem, budować go zaczną nie wcześniej, niż za lat kilka.

Opuściwszy roztargnionego hrabiego, Lachowicz dostał się w moc pewnej ładnej wdówki, która, obok niezależnego majątku, posiadała wolne serce i miała wielką ochotę zrobić z obojga ofiarę na rzecz Ludwika.

— Nie widziałam pana blisko już miesiąc! — zaczęła, gdy obok niej usiadł.

— Z wielką dla mnie przykrością — odparł malarz.

— Słowa pańskie nie zgadzają się z tem, co mówią inni.

— Miałżeby mnie kto oczernić przed panią? — spytał Ludwik tonem dramatycznym.

— I bardzo nawet! Głos publiczny oskarża pana o nienawiść dla kobiet.

— Chyba o nieśmiałość... Serce ciągnie mnie do nich, rozum ostrzega o niebezpieczeństwie, a rezultatem tej walki jest rzadkie ukazywanie się w towarzystwach.

Dama pochyliła głowę jak ptaszek i, bawiąc się wachlarzem, odparła:

— W takim razie moje towarzystwo nie powinno być dla pana niebezpieczne. Nie jestem już groźną dla świata; wyrzekłam się walki i zwycięstw.

— Przeczuwałem to, że jesteś pani najokrutniejszą z kobiet, i dlatego prawie nie powinienbym żałować, że pani tak długo nie widział!

Dama spojrzała po sali, a widząc, że niema blisko nikogo, rzekła:

— Niema prawidła bez wyjątku. Kto wie, czy nie zmodyfikowałbym mojej zasady...

— Ażeby igrać z niewinnem sercem, któreby pani u stóp złożono? — odpowiedział Ludwik, patrząc na nią z tragikomicznym wyrzutem.

— Między przedmiotami, składanemi u nóg naszych, trafić się może i taki, który podnieść warto...

— Dla położenia go na stoliczu, jako cacko?

— A może też i dla zrobienia z nim tego, co się robi z małym, pięknym bukietkiem — odparła dama.

— Tak, — rzekł Lachowicz — kilka dni trzyma się go w salonie, a potem wyrzuca za okno...

— Gdybym się nie obawiała pana zepsuć, powiedziałabym... że jesteś pan... niedomyślny!

Z temi słowy wstała i odeszła.

Lachowicz z lekka wzruszył ramionami.

Towarzystwo stopniowo ożywiało się. Kilku muzyków zasiadło po kolei do fortepianu, zaznajamiając obecnych z własnymi kompozycjami, które, aczkolwiek oddawna pleśniały na wydawniczych półkach, niemniej jednak stanowiły nowość dla zebranych.

Artyści deklamowali, a poeci upewniali znajomych, że tylko na najusilniejsze prośby mogliby coś „swojego“ wypowiedzieć, ponieważ mają chrypkę.

Że jednak do najusilniejszych prośb nikt nie okazywał ochoty, kilku zatem wieszczów ograniczyło się mruczeniem pod nosem własnych ustępów, które, ich zdaniem, stanowiły chlubę literatury.

Około jedenastej weszło kilka nowych osób, między którymi Lachowicz z wielkiem wzruszeniem poznał panią Leontynę i jej męża.

— Czy i dziś spotka mnie jakie nieszczęście? — pomyślał, patrząc na piękną damę, ustrojoną w koronki, jedwabie i brylanty.

Nastąpiła ceremonia powitania i rekomendacji,

w czasie której gospodyni domu rzekła do Lachowicza:

— Przedstawię pana pani Leontynie. Bardzo przyjemna osoba!

Lachowicz struchlał, mimo to jednak był przedstawiony.

Po wymianie zdawkowych grzeczności, Leontyna wskazała malarzowi miejsce obok siebie na kozetce, i spytała go półgłosem, z zadziwiającą bezczelnością:

— Zdaje mi się, że miałam przyjemność widzieć pana.

— Chyba na ulicy, albo w teatrze — śmiało odpowiedział Ludwik.

Dama przeciągle spojrzała mu w oczy i mówiła dalej:

— Czy pan zna pana Sielskiego?

— Jest to mój kolega, któremu wiele zawdzięczam.

— Ach! więc panowie jesteście przyjaciółmi?

— Jestem jego dłużnikiem.

— Przypominam sobie, że talent pana Sielskiego robił na mnie niegdyś wielkie wrażenie. Ceniłam go bardzo, ubóstwiałam nieledwie... Nie dziw się pan! jestem parafianką... Z czasem jednak przekonałam się, że pan Sielski jest oryginałem, lubiącym pozować, (niech to nie obraża pańskiej przyjaźni) a dziś widzę, że nie myliłam się. On już nic nie robi i ile wiem hula sobie zagranicą... Jest to do pewnego stopnia mój krewny.

Lachowicz milczał, siedząc jak na torturach.

— Pańskie prace — mówiła dalej — oglądam zawsze z niezrównaną przyjemnością. Ojciec mój nabył „Burzę“ i mnie ją ofiarował. Czy pan da wiarę, że przed tym obrazem siedzę nieraz całemi godzinami?... Nie wierzysz pan?

Uśmiechnęła się i dodała:

— Czy pan wie, dlaczego tu dziś przyszłam?... Jestem otwarta, jak prawdziwe dziecko natury! Oto, powiedziano mi, że pan tu będzie i nie mogłam oprzeć się pokusie pomówienia z panem. Trudna rada, takie już mam usposobienie!... Chętnie nawet pojechałabym do Afryki, ażeby zobaczyć lwa w pustyni. Dobrzy ludzie mówią, że jestem ekscentryczna. Inną już nie będę, chcę żyć... widzieć... Czy pan nie wyjeżdża zagranicę?

— Mam zamiar, ale chyba dopiero na jesieni.

— Przed wyjazdem pańskim zatem będę miała prośbę...

— Jestem do usług...

— Wymaluje pan mój portret?

Lachowicz zmieszał się jeszcze bardziej.

— Nie jestem portrecistą... nie potrafię.

— Czego?

— Połączyć w jednej fizjognomji piękności i elegancji... z pobłażliwością dla początkujących malarzy...

— Jeżeli tak, to czekam pana wkrótce u siebie.

Malarz ukłonił tylko odpowiedział na grzeczność. Nie pamiętał rozmowy, któraby go tak zmęczyła, jak obecna.

Gdy potem odszedł na drugi koniec sali, zrobił mocne postanowienie niemalowania portretu.

Od tej chwili aż do końca wieczoru, los prześladował go albo panią Leontyną, albo jej mężem.

— Wspaniała kobieta! — mówił jeden elegant do drugiego, patrząc na Leontynę.

— Zmienia kochanków, jak rękawiczki — dodał drugi półgłosem.

— Kiedy ją widzę, przychodzi mi na myśl Kleopatra...

— A jednak jeszcze przed rokiem była to kobieta kamienna!...

— Podobno mąż temu winien do pewnego stopnia?

— Nie tyle mąż, ile zmienność jego gustów: ma co miesiąc inną kochankę...

— Czy i wino zmienia również często?

— Wino pozostaje wierny. Co chcesz?... Każdy człowiek musi mieć jakąś stałą zasadę!

W innym salonie Ludwik znalazł czterech starych panów, siedzących jak mumje około stolika i grających w wista. Przy drugim stoliku siedział obok jakiegoś jegomości mąż pani Leontyny, Rudolf, i ziewał.

— Jaka szkoda, że nie mamy kompletu do wista! zauważył jegomość.

— Wiesz pan co?... zagrajmy w pikietę! — krzyknął Rudolf.

I usiedli do kart.

Niebawem zbliżył się do grających przystojny brunet, mówiąc do męża Leontyny:

— Rudziu! pani cię prosi.

— Na honor nie mogę! Dopierośmy grę zaczęli... Ty mnie zastąp, Adasiu.

— Jeżeli ja pana krępuję, zrzekam się praw moich — rzekł partner Rudolfa.

— Nigdy! — odpowiedział Rudolf.—Żona śmiertelnie obraziłaby się na mnie, gdybym towarzystwo pańskie tak nagle opuścił.

Młody brunet uśmiechnął się pod wąsem, wrócił do pani Leontyny z odpowiedzią jej męża. Lachowicz przez ciekawość poszedł za nim.

Na kanapce, między kwiatami pod oknem, siedziała żona Rudolfa z owym brunetem, panem Adamem, żywą z nim prowadząc rozmowę. Lachowicz zbliżył się nieco ku tej stronie, co zobaczywszy kuzynek gospodarza, dwudziestoletni pachnący Arturk szybko przybiegł do niego.

— Pan pewnie mnie szuka? — spytał, poprawiając mankietów.

— A tak! — odparł Lachowicz. — Cóż, byłeś pan dawno na polowaniu?

— Jeszcze w jesieni, panie, polowałem na ptaszki i zabiłem bekasa z takim dziobem!...

To mówiąc, naiwny młodzieniec odmierzył na palcu długość bekasowego dzioba.

— Arturku! — zawołała niespokojnie gospodyni — czy mogę cię prosić?

— Czy pozwoli mi pan na chwilę odejść do kuzynki?...

— O, panie!... — szepnął Lachowicz, rad, że po-

zbywa się myśliwca, który był postrachem gości i utrapieniem obojga gospodarstwa.

Korzystając z okazji, usiadł za dużym aloesem i wysłuchiwał końca rozmowy między panią Leontyną i Adamem.

— Teorje pani do rozpaczy mnie doprowadzają! — mówił Adam.

— Ja też ich innym nie wykładam, tylko sama stosuję — odpowiedziała Leontyna.

— Jest to zabawa, przypominająca osadzanie motyli na szpilce.

— Po cóż się rodzicie motylami? — spytała Leontyna z uśmiechem.

— Więc gdyby pani trafiła na nie motyla, czy zmieniłaby pani swój system?

— Czekałabym na innego, któryby go stałością przewyższył.

— A gdybyś pani znalazła wreszcie ten stopień najwyższy?...

— W takim razie musiałabym mu oddać serce, poprostu dlatego, aby mnie ciągłemi oświadczeniami na śmierć nie zanudził!

— Odtąd będzie pani miała we mnie najnudniejszego towarzysza... — zawołał wesoło Adam.

— A pan we mnie towarzyszkę, która go najstalej będzie... unikała — odparła tym samym tonem Leontyna.

— Ten podobno daleko zajedzie! — pomyślał Lachowicz i wkrótce opuścił zebranie.

10. Jak wyglądają niektórzy narzeczeni.

Jadwiga była majątną sierotą i miała starszą od siebie siostrę zamężną. Po śmierci rodziców pozostałe córki podzieliły się spadkiem w taki sposób, że z dwu wsi, jedna przeszła na własność Jadwigi, druga na rzecz jej siostry.

Jadwiga zimę zazwyczaj przepędzała w Warszawie, lato zaś w swoim majątku, którym rządził szwagier. Wogóle rodzina ta żyła bardzo przykładowie, a członkowie jej kochali się szczerze.

Jadwiga od dwu lat była zaręczona ze swym sąsiadem, panem Witoldem. Był to młodzieniec pracowity, ogładzony, wesoły, a przytem dobry tancerz; zmarli rodzice lubili go, szwagier i siostra protegowali, Jadwiga nie czuła wstrętu, on „przepadał za nią“, — ułożono więc małżeństwo. Ponieważ jednak narieczona nie spieszyła się, a pan młody zbyt nie nalegał, termin więc ślubu odłożono przynajmniej na lat parę.

W owej epoce, kiedy w Warszawie opustoszał parterowy lokal, Jadzia wyjechała na wieś. Siostra przyjęła ją łzami radości, szwagier okrzykiem, narieczony konwencjonalnymi uściskami i ucałowaniem raczki.

Zabawił tego dnia u państwa Janów o godzinę dłużej, wypytywał przybyłej o wiadomości, szepnął, że jest zachwycającą i wrócił do siebie, obiecując, że i tego znowu lata będzie codziennym gościem, na co Jadzia odpowiedziała zaprosinami i uprzejmym uśmiechem.

Jak się z powyższego okazuje, małżeństwo między Jadwigą i Witoldem ułożone nie opierało się na zbyt gorących uczuciach. Sympatyzowali z sobą, „pasowali do siebie“, mieli jednakowe fortuny, gusta i pozycje towarzyskie, mogli się zatem połączyć, tembardziej, że w okolicy ani on, ani ona nie znaleźliby stosowniejszych dla siebie partyj.

Na tych podstawach opierając się, pan Witold nie zwracał uwagi na niejaką zmianę w stosunkach Jadwigi do niego. Nie strzelała razem z nim do celu, nie jeździła konno, nie pływała czółnem po stawie, jak to bywało dawniej. Usuwała z wolna rękę, gdy chciał ją pocałować, unikała szeptów i rozmów samotnych, co starsza siostra starała się jak najczęściej ułatwiać; niekiedy też, bez względu na jego wesołość i gadatliwość, wpadała w zamyślenie.

Widząc to, szwagier, pan Jan, odezwał się pewnego razu do żony:

— Czy ty uważasz, jak Jadwinia zesmutniała?

— Skądże znowu! Spoważniała tylko; ma już przecie rok dziewiętnasty.

— A ja myślę... — ciągnął Jan.

— Cóż tam znowu?

— A może ona zakochała się w kim w Warszawie?...

— Zdaje ci się...

— Niema w tem nieprawdopodobieństwa.

— Ależ zdaje ci się!...

— Może i masz słuszność. Wy się lepiej na tem znacie... — rzekł pan Jan.

Pani Ewa jednak dalej przekonywała męża:

— Co też za szczególne podejrzenia! Czy może być lepszy od Witolda mąż dla Jadzi? Chłopak przystojny, gładki, trochę wprowadzie lekkomyślny... no!... ale z tego się poprawi. Za to ma wieś o miedzę... Nie, to byłaby niedorzeczność!...

W owej epoce między publicznością wielkomięską zjawiała się moda czytania książek poważniejszych. Na czele ruchu tego szły naturalnie niektóre damy postępowe, szeroko rozprawiając o filozofji Comte'a, o Darwinie i Millu. Jadwiga nie była między niemi ostatnią. Ponieważ jednak nie każdą książkę rozumiała, ograniczyła się więc dziełkami popularnemi, jeżeli zaś trafił się w nich jakiś trudniejszy ustęp, pytała o objaśnienie znajomych panów.

Naturalnem jest, że na wsi obowiązki takiego komentatora spadały na pana Witolda, do którego też odwołała się pewnego razu Jadzia.

Chodziło o jakąś kwestję z zakresu fizyki, na którą pan Witold zrobił wielkie oczy.

— Skąd pani to na myśl przyszło?... — zapytał.

— To nie moja myśl! Znalazłam ją we francuskiej Bibljotece filozofji współczesnej.

— Cóż to za dzieło?

— Pan go nie zna?

— Ja? Czy ja mam czas bawić się podobnemi rzeczami! — zawołał, śmiejąc się, Witold.

Ton jego w przykry sposób dotknął Jadzię. Po chwili milczenia rzekła:

— Pan więc niewiele czyta?

— Ach! pani moja, choćbym chciał, nie mam cza-

su. W polu robota, interesów pełno, do sąsiadów także wyjechać trzeba, ażeby człowiek nie zaśnie-dział... Szczerze powiadam, że mi się nie chce na-wet dokończyć bardzo zajmującej powieści, którą zacząłem w zimie...

— Pan chyba tego nie mówi na serjo? — spyta-ła ze zdziwieniem, patrząc w oczy.

— Pojmuję pana i zaraz się wytłumaczę. W szko-łach od klasy pierwszej do siódmej, każdy z nas czytuje mnóstwo romansów. Później, usłyszawszy coś o książkach poważnych, zajmuje się tylko niemi, pogardzając romansami i pozując na uczoność. Pó-źniej dopiero, gdy go znudzą nauki i nieustanne mo-rały, wraca znowu do powieści, żądając od literatu-ry tego tylko, co ona dać może, to jest rozrywki. Pani się to jednak nie podoba, jak widzę?

— Nie powiem ani tak, ani nie — odparła oschle Jadzia. — Ażeby się coś nie podobało, musi być pierwszej zrozumiane; a ja pańskiego poglądu nie ro-zumiem.

Pan Witold dostrzegł niezadowolenie narzeczo-nej i chciał się poprawić.

— Pani! — zawołał z miną napół poważną, napół komiczną, całując Jadzię w rękę. — Dziś jeszcze napiszę do Warszawy, ażeby mi przysłano całą pa-kę uczonych książek, poczynawszy od teologii a skoń-czywszy na weterynarji!...

Mimo to dalsza rozmowa szła im niesporo; Wi-told niezadługo odjechał, ani przypuszczając, że ter-mometr uczuć Jadzi spadł o kilka stopni.

Nadomiar nieszczęścia, serce i imaginacja dzie-

wicy coraz częściej zajmowały się obrazem oddalonego. Niejednokrotnie odczytywała jego oryginalny list i nieraz w czasie samotnych po ogrodzie spacerów marzyła, że w przeciągłym i melancholijnym szmerze drzew słyszy głos jego, pełen skargi i zaklęć gorących...

Był we dworze kilkunastoletni pastuszek, chłopiec wielkich zdolności do robót mechanicznych; pominawszy już, że nikt lepiej od niego nie wykręcał fujarek i nie szył kapeluszów, chłopak ten umiał jeszcze strugać wózki, wiatraki, tartaki, a wszystko swoim jedynym kilkugroszowym cygankiem.

Czy to pod wpływem wrodzonej dobroci, czy wspomnień o dziejach Lachowicza, Jadwisia zainteresowała się chłopcem. Z pastuszka zrobiła go swoim służącym i nauczyła czytać i pisać.

Pewnego dnia, około czwartej po południu pan Witold, przyjechawszy z wizytą, zastał chłopca w pokoju Jadzi z książką w ręku.

— Co ty tu robisz? — spytał.

— A uczę się, proszę jaśnie pana, u panienki.

— U jakiej panienki?

— A u naszej, u panny Jadwigi.

— No, proszę! — zawołał rozdrażniony nieco Witold. — Myślę, że się prędzej kraść nauczysz, aniżeli czytać.

Chłopiec przestraszony wyszedł, a jednocześnie ukazała się na progu pokoju Jadwisia.

— Podziwiam apostołstwo pani!... — rzekł narzeczony. — Ale niestety! te piękne usiłowania, za-

miast przynieść jakąkolwiek korzyść, uczą zwykle próżniactwa i rozzuchiwalają służbę.

— Co to znaczy? — zapytała obrażona Jadwiga.

— Przepraszam, że się wtrącam do nieswoich rzeczy — mówił Witold — jako jednak doświadczeńszy, ośmielam się zrobić uwagę. Zostaw pani naukę tak zwanych dzieci ludu nauczycielom ludowym. Oni są za to płatni...

— Czy niewolno mi bezpłatnie robić tego, co mi się podoba?

— Ależ wolno, po tysiąc razy wolno!... Z drugiej jednak strony, i to pewna, że ten niby mechanik z czasem z pastuszka mógł zostać dobrym fornalem, a następnie karbowym; gdy zaś nauczy się nieco czytać, straci równowagę umysłową i może zostać łotrem...

— Skądże pan wie o tem?... Ja znowu twierdzę, że może zostać wielkim człowiekiem, drugim Stephensonem!.

— Znowu pani egzaltuje! Stephensonowie nie na naszym gruncie wyrastają, nie gwałćmy więc naturalnego porządku rzeczy i pozwólmy zostać na dole temu, co się urodził na dole...

Jadwiga zamilkła; narzeczony zaś zmienił treść rozmowy. Oboje wszakże doznali nie miłego wrażenia.

Nad wieczorem Witold odjechał, przysięgając sobie na przyszłość nie rozpoczynać drażliwych dyskusyj. Zresztą był spokojny, gdyż nie przypuszczał nawet, żeby gniew Jadzi nie rozplynął się jak mgła, wobec jego komplementów i ładnych wąsików.

Pani Janowa, dowiedziawszy się o sprzeczce, rzekła do Jadzi po odjeździe Witolda:

— Moja Jadziu, nie wypada tak dąsać się prawie o nic. Przecież to twój narzeczony...

W odpowiedzi na tę uwagę Jadwiga wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Siostruniu!... koteczku!... uspokój się!... — błagała przestraszona pani Ewa.

— Bój się Boga, w tem coś musi być, ty coś taisz przedemną... Tak się nie godzi!...

Jadzia powoli uspokoiła się, siostra zaś poczęła ją badać:

— Powiedz mi otwarcie!... wszak ty kochasz Witolda?...

Jadwiga milczała.

— Nie odpowiadasz mi?... Cóżby to być mogło? mówiła dalej zaniepokojona siostra. — Wprawdzie najszczerzej pragnę, ażebyście się pobrali, mimo to jednak... Ależ powiedz mi, droga, co ci jest?

Jadwiga mocno zarumieniła się, co nie uszło uwagi siostry.

— Biedny Witold... żal mi go!... — szepnęła pani Ewa. — Jadziu, — dodała głośno, obejmując siostrzyckę. — Jadziu... czy ty kochasz innego?

Jadwiga tym razem zbladła.

— Kto on jest?... — ciągnęła dalej badanie siostra.

— Artysta... — wyjąknęła Jadwiga, tuląc twarz w objęciach pani Ewy.

Trudno było wiedzieć, jakie ta odpowiedź sprawiła wrażenie na pytającej.

— Dobry, szlachetny? — odezwała się po chwili.

— Czy możesz o to pytać?... Wyjątkowo szlachetny, lecz i wyjątkowo nieszczęśliwy...

— Nie rozumiem cię...

— Zrozumiesz, ale... Daj mi pierwszej słowo siostry, że nikomu, ale to nikomu nie powiesz o tem, co ci pokażę...

— Daję ci słowo, biedne dziecko!... — odpowiedziała pani Ewa.

Jadzia знаła charakter pani Janowej, była pewna, że dotrzyma słowa i dlatego bez wahania pokazała jej rękopis Lachowicza. Ukrywana tajemnica ciążyła jej, musiała się z kimś podzielić, a komuż właściwie powierzyćby ją mogła, jeżeli nie zacnej, doświadczonej i kochającej siostrze?

Pani Ewa czytała rękopis z gorączkowym niepokojem. Stopniowo twarz jej wyrażać poczęła trwogę, zdziwienie i niecierpliwość, która w końcu zamieniła się w wybuch gniewu.

— Więc ty kochasz tego człowieka?

Jadzia lekliwie patrzyła na siostrę. Z oczu jej płynęły ciche łzy, które zmiękczyły niechbyt zresztą z natury twarde serce pani Ewy. Pani Ewa mimo to rzekła:

— Moja Jadziu! Już do wyjścia za Witolda namawiać cię nie myślę; sprawa jego stanowczo stracona. Ale posłuchaj mnie. Wiesz, że cię kocham, arystokratką nie jestem; z najniższej klasy człowieka, któryby twoim mężem został, uznałabym za brata. Tu przecież jest zupełnie inna rzecz. Naprzód za syna kryminalnego przestępcy wyjść nie możesz, bobyś sama tego żałowała, a powtóre, jakiż

charakter ma ten pan?... Namietny, dziwaczny... Przyznaje, że sam nie wie czego chce, mówi, że o wzajemności nie myśli... Jadziu... to dzieciństwo, bo nie chcę nawet nazywać tego złym wyborem... Chwilę nierozwagi mogłabyś opłacić długiem cierpieniem. Skąd wreszcie masz pewność, że nie jest on pospolitym awanturnikiem?

— Zbyt surowa jesteś — szepnęła Jadwiga.

— Jestem tylko doświadczona. Pamiętaj, że w takim związku jak małżeństwo, pochodzenie i majątek są to rzeczy drugorzędne, ale charakter i rodzina główne.

— Zostawmy to czasowi — rzekła Jadwiga.

— Zgoda! — odparła pani Ewa. — Przysięgnij mi jednak, że naprzód, nic bez poradzenia się ze mną nie zrobisz, a powtóre, że dla Witolda będziesz grzeczna, jak dotychczas. Prawda, że niewiele wymagam?

— Przysięgam ci!...

Od tej pory pan Witold znowu bywał prawie codziennym gościem, a Jadzia nigdy już z siostrą nie mówiły o Lachowiczu. Nie powiedziała jej nawet jego nazwiska, mizerniała jednak i smutniała coraz bardziej.

— Ej!... Ewciu... Jadzia jest w kimś zakochana, i to w Warszawie! — mawiał pan Jan.

— Pleciesz Bóg wie co! — odpowiadała pani Ewa, wzdychając jednak po kątach.

W późnej jesieni Jadwiga znowu wybrała się do Warszawy. Usłyszawszy o zamiarze wyjazdu, Wi-

told zapytał pana Jana: czy nie należałoby już stanowczo oznaczyć terminu ślubu?

— Daj pokój! — odparł pan Jan. — Daj jej urlop jeszcze na rok. Macie dosyć czasu, niech więc dziewczyna zakosztuje swobody.

Pan Jan mówił to z przekonania, że prędzej lub później rozerwie się związek pomiędzy narzeczonymi. Pan Witold zaś, jako przyzwoity konkurent, zgodził się na wszystko i nie nalegał dłużej. Prawdę powiedziawszy, i tak już nie nudził się w domu.

Cała rodzina razem z narzeczonym odwiozła Jadzię do kolei. Przy ostatniem pożegnaniu pani Ewa szepnęła:

— Pamiętaj o przyrzeczeniu!...

— Bądź spokojna — odparła Jadwiga. — Ale i ty pamiętaj...

— Nikomu ani słówka...

Obie dotrzymały obietnicy i tym sposobem o stosunku między Jadzią a Lachowiczem wiedziały tylko trzy osoby: oni sami i pani Ewa. Reszta rodziny i znajomi nie marzyli nawet o tem, żeby Jadwiga mogła kochać kogoś innego, nie zaś pana Witolda.

Całą zimę przepędziła Jadwiga w Warszawie, nie spotkawszy się ani razu z Lachowiczem. Kochając go coraz silniej, myślała o tem tylko, aby go unikać, a zarazem czuła do niego żal, że jej nie szuka.

— Gdyby pamiętał o mnie, — mówiła — znalazłby sposobność zbliżenia się...

— A gdyby się zbliżył? — szeptał jakiś głos.

— Okazałabym mu, że jego postępowanie jest niewłaściwe, powiedziałabym, że nigdy do niego należeć nie będę, napisałabym do Ewci...

Mimo to żałowała, że go nie spotyka!

11. Co robił Sielski.

Sielski wrócił na wiosnę do Warszawy, po kilkomiesięcznej podróży. Epoka jego powrotu przypadała, mniej więcej, w rok po poznaniu Jadwigi przez Lachowicza, a przeszło w rok po podpisaniu aktu dochowania tajemnicy.

Przez ten czas Lachowicz urósł, Sielski zmalął; tamten zdobył sławę wielkiego artysty, o tym mówiono, że próżnuje; tamten uspokoił się i wyszlachetniał, Sielski zaś popadł w rozdrażnienie, stał się podejrzliwym i w stosunkach niekiedy przykrym.

Najciekawszem jednak było to, że od owej dziwacznej umowy Sielski nie robił prawie nic. Począł on wyobrażać sobie (niewiadomo na jakiej zasadzie), że jego obraz: „Ostatni dzień skazanego“, którego nie wystawił na konkursie i nie mógł pokazywać nikomu, — że obraz ten był arcydziełem.

Doszedłszy do takiej opinii o sobie, uczuł nagle wstręt do pędzla i zamiast malować, począł się truć zwątpieniem i zawiścią.

— Nic już nie zrobię!... -- mówił nieraz. — Ten nędznik zabił we mnie talent, wyssał go na swoją korzyść... O gdybym mógł okazać mój „Ostatni dzień“... choć za rok... za dziesięć lat!...

Uczonemu sama praca wystarcza, dla artysty jednak pewien stopień rozgłosu jest konieczny. Brak tego rozgłosu, zdań krytyki, choćby nie zawsze sprawiedliwej, to wreszcie zapomnienie ogólne — straszliwie nękały Sielskiego. Wyrzucał sobie, że zrobił akt niedorzeczny, przeklinał stosunki z Leontyną i potęgował nienawiść do Lachowicza, nienawiść, do której się nieco wstydu mieszało. Czuł, że postąpił jak dziecko, lecz wycofać się nie miał odwagi.

— Gdyby on miał choć iskierkę uczciwości, on, niby artysta, z pewnością przyszedłby do mnie i zerwał umowę. Wtedy i ja bym mu przebaczył!.. — myślał Sielski.

Zapomniał, niestety! że to nie on komuś, lecz, że jemu raczej miał kto inny przebaczyć.

Każdy plan nowej pracy stawał się dla niego źródłem udręczeń. Niekiedy myślał o samobójstwie, aby tylko zbliżyć chwilę okazania światu swojego utworu; nigdy jednak nie pomyślał o zbliżeniu się do Lachowicza. Wypadek podobny uważałby za hańbę, gorzej niż hańbę: za przyznanie się do głupstwa. Taka jest logika świata.

Wróciwszy do Warszawy, pierwszego prawie dnia spotkał się z Rudolfem, mężem Leontyny.

— Jak się masz! — wykrzyknął Rudolf, całując go bardzo serdecznie w powietrzu. — Gdzieś był? coś widział?

— Byłem we Włoszech, Francji, trochę w Hiszpanji...

— W Hiszpanji?... O, szczęśliwy człowieku!...

Powiedz mi, czy naprawdę te Hiszpanki są tak cudownie piękne?

— Tak sobie.

— Tyś zawsze widzę ten sam, mój Jurciu! Chłodny, przeżyty... No, a powiedz mi, czy są tak nieprzystępne, jak chodzą wieści?...

— Nie przekonywałem się o tem — odparł obojętnie Sielski.

Pan Rudolf machnął ręką i zmienił temat rozmowy.

— Wobraż sobie, jaki mam kłopot. Locia koniecznie chce, aby Lachowicz zrobił jej portret; umówił się nawet podobno. On jednak coś zaczyna kręcić, widocznie droży się, nie przychodzi... Na mnie złożono misję sprowadzenia go, ale ja nie mam czasu... Możebyś mnie wyręczył?

— Nie znam Lachowicza.

— Tem gorzej dla mnie!—mówił Rudolf.—Ale... ale!... Pomiędzy tobą a Locią, widocznie, musi być jakieś nieporozumienie, bo ty u nas nie bywasz, a ona udaje obrażoną. Czy nie mógłbyś mi tego wytłumaczyć?.. Ach! przepraszam cię!... Muszę biec do pani Żanety...

Ścisnął Sielskiego za rękę i zastąpił drogę jakieś damie, która go powitała z uśmiechem.

— Co to znaczy? — myślał zdetonowany Sielski. — Lachowicz ma robić portret Leontyny?... W tem chyba ukrywa się jakaś nowa nikczemność!.

Rozmaite przypuszczenia przechodziły mu przez głowę; najwięcej szans miało to, że Lachowicz

mścić się chce na nim i że użyje do tego pomocy Leontyny.

Uśmiechnął się pogardliwie. Ten rodzaj zemsty najmniej był niebezpieczny, czuł bowiem, że już Leontyny nie kocha, więcej jeszcze: że jej nie szanuje. Gdy był za granicą, zbyt wiele od przyjeżdżających słyszał o niej.

— Ha! może kiedy ta kobieta sama rozetnie umowę i zwolni mnie z przyrzeczenia... Czekajmy!

I utonął w marzeniach o powrocie sławy i o zemście.

Gdy rozgospodarował się już i począł składać wizyty znajomym, doświadczył nowego udręczenia. Gdziekolwiek przyszedł, pytano go: co robi i dlaczego nie posyła na wystawę swoich obrazów?

Na pytania te z początku nie odpowiadał; w końcu jednak, pragnąc raz na zawsze zamknąć usta ciekawym, odparł:

— Zarzuciłem malarstwo, a wziąłem się do rzeźby!

I, dając takie objaśnienia, widząc fizjognomje obecnych, czuł, że go własne wyrazy dławia. Wówczas znowu myślał o zemście.

Pewnego razu wybrał się do cukierni. Pragnął zobaczyć znajomych, dowiedzieć się o zmianach, a może i spojrzeć w oczy znenawidzonemu przeciwnikowi.

We drzwiach spotkał asesora.

— Witam pana! — zaczął asesor. — Wracasz z wielkiego świata.

— A tak!

— Naturalnie z zapasem obrazów!

— Niekoniecznie.

— Jakoś do knajpy naszej powoli ściągają zbiegi — mówił asesor. — Niedawno był Lachowicz... Widziałeś się pan z nim?

— Nie.

— Zmienił się, spoważniał, wyładniał nawet. Niech sobie mówią, co chcą, ja zawsze jednak utrzymywać będę, że talent prawdziwy wcześniej czy później na wierzch wypłyne.

Sielskiemu zdawało się, że każdy wyraz tej rozmowy jest gwoździem, który mu w ciało wbijają.

Gdy weszli z asesorem do sali, knajpujące zgromadzenie wybuchło okrzykami powitań. Sciskano Sielskiego, mówiono mu, że zmizerniał, wypytywano o szczegóły podróży. Wreszcie wszystko wróciło do zwykłego stanu i towarzystwo do przerwanej rozmowy.

— Nie, panowie! — prawil jeden z literatów — inteligencja nasza wobec Europy nie odegrywa tak znowu małej roli. Mamy przecież sławnych przedstawicieli w każdej gałęzi wyższej działalności ludzkiej...

Popierający poczęli przytaczać nazwiska znakomitych lekarzy, inżynierów, podróżników, naturalistów, śpiewaków, a wreszcie i malarzy. W liczbie ich, jako reprezentanta sztuki narodowej, wymieniono Lachowicza.

— O obecnych wprowadzie nie mówi się — wtrącił jeden z adwokatów — mimo to jednak przypominam nazwisko pana Jerzego...

Sielski się oburzył.

— Ja nie należę do osobliwości!

— Owszem, należysz pan, choćby dlatego, że
złożywszy dowody talentu, zaniedbujesz się teraz —
mruknął ktoś.

Był to cios, na który Sielski nic nie odpowiedział.

Wyrezyrował go adwokat.

— Musiałeś pan przywieźć z sobą parę obrazów?

— Nic nie przywoziłem, zarzucam malarstwo! —
odparł gniewnie Sielski.

— Dlaczego?

— Wziąłem się do rzeźby.

Na kilku twarzach zarysowały się uśmiechy, lubiący zaś moralizować adwokat ciągnął dalej:

— To zły projekt!... Nie wierzę, aby przy dzisiejszym stanie sztuki, można było bezkarnie przerywać się z jednej dziedziny do drugiej.

— Nie zapominaj pan o Michale Aniele!... — szepnął ktoś ironicznie.

Znowu kilku uśmiechnęło się.

— Jak oni się nad nim pastwią! — pomyślał literat, pan Roman.

Dziwne zrządzenie losu! Przed kilkunastu miesiącami, w tem samem miejscu, w tem samem towarzystwie, tylko jeszcze w gorszy sposób, żartowano z Lachowicza!...

Sielski opuścił cukiernię zbolący i znużony. Rozumiał on dobrze fatalną zmianę sytuacji, widział, że przeciwnik triumfuje zupełnie i że o zgnębieniu go mowy być nawet nie może.

Przeczuwał, że gdyby wśród zebrania tego od-

czytał nawet akt, zrobiony z Lachowiczem, wyśmianoby go i potępiono.

Uwaga ta jednak, zamiast skłonić do jakiejś krytyki własnych uczuć i postępowania z Lachowiczem, zwiększyła tylko nienawiść.

— Lachowicz ma szczęście i widocznie intryguje przeciw mnie! — myślał. — Muszę się bronić!...

Na ulicy Sielski usłyszał chód pośpieszny. Obejrzał się i poznał literata Romana, który gonił go za dyszany.

Przywitali się po raz drugi. Sielski ciekawy był, czego chce od niego znakomity powieściopisarz *in spe*; Roman zaś zastanawiał się, w jaki sposób powiększyć może zawartość swego katalogu, nie obrażając Sielskiego.

— Panie Jerzy! — zaczął literat — wiem, że pan żartujesz, mówiąc o porzuceniu malarstwa.

— Powiedziałem to całkiem serjo. Nikt już nie zobaczy moich obrazów.

— Panie Jerzy, — ciągnął literat — ja przecież także jestem artystą, a choć prac moich nie widziało jeszcze, zbieram jednak materiały i czuję... Pan wiesz co?... Oto czuję, że pan nie mogłeś się wyrzec swojej specjalności. Kto raz dotknął pióra albo pendzla, kto raz wstąpił w szranki sztuki, tego od niej żadna siła nie oderwie, chyba śmierć!

— Mówisz pan, jak bohaterowie starych romanów — zauważył Sielski.

— Nie, panie; ja mówię, jak człowiek, który ma poczucie artystyczne, który sam jest artystą. Dodam więcej: pan musisz wrócić do pendzla, bo zmar-

nowanie takiego talentu, jak pański, byłoby zbrodnią...

To mieszanie się do jego interesów w każdym innym razie obraziłoby Sielskiego. Teraz jednak słuchał wymówek cierpliwie, a nawet z pewnym rodzajem wdzięczności. I nic dziwnego! Mówiono mu przecież o jego talencie, w który świat przestawał już wierzyć, nie widząc dowodów.

— Tak, panie! — ciągnął literat, zapalając się dźwiękiem i potoczystością własnych frazesów. — Społeczeństwo takie, jak nasze, musi mieć wielkich uczonych, techników, poetów, architektów, malarzy wreszcie, których sława rozchodziłaby się po całym świecie. Tym tylko sposobem złożymy dowody żywotności.

— Żal mi bardzo, — przerwał Sielski — że do liczby tych znakomitych należeć nie mogę.

— Dlaczego? może zacząłeś pan gardzić sztuką?

— Fakty zbijają pańską hipotezę...

— Może oszołomił pana majątek? — ciągnął nieubłagany literat. — O, panie, dziś z każdego stanowiska można wznieść się nad ogół. Ja, panie, ja... gdybym nie był powieściopisarzem, zostałbym... no! czem pan chcesz? — Powroźnikiem, fryzjerem, cieślą i spodziewam się, że przy niezłomnej energii zostawiłbyś ślad po sobie. Lituję się zatem nad bogaczami, którzy pogardzają jakąkolwiek pracą, a tembardziej sztuką...

— Ależ ja oddawna mam niezależny majątek — przerwał Sielski.

— Tak, sztuką... której oni, dzięki swej niezależności materialnej, powinni być kapłanami.

Umilkł pan Roman, czekał bowiem na zarzuty przeciwnika, aby na nich właśnie okazać potęgę swej wymowy; widząc jednak, że Jerzy nie odzywa się, sam stworzył zarzut, aby nie pozbawiać się nieźrównanej przyjemności argumentowania.

— Może czujesz pan upadek sił?... To złudzenie!... Ileż razy ja, ja, panie, sądziłem, że do niczego już nie będę zdolny, lecz mimo to, dzięki wytrwałości, nie zeszedłem z właściwej drogi.

Sielski miał wszelkie prawo odpowiedzieć, że on sam i wielu innych uważają pana Romana za blagiera i że zejście z tej drogi byłoby poniekąd zasługą... Grzeczność jednak nasunęła mu inne zdanie; rzekł więc:

— Nie, panie; nieszczęśliwie odgadujesz pan przychyny mego próżniactwa.

— Rozumiem! — zawołał literat, zatrzymując się na środku ulicy i biorąc Sielskiego za guzik palto. — Obawiasz się pan konkurencji... No, ale któż na takie rzeczy uważa!

— Jakiej konkurencji? — zapytał rozdrażniony malarz.

— No, niby... tego... Lachowicza. Jest to wprowadzie olbrzymi talent, walka z nim trudna, ale... Pojmujesz pan, że dla dobra kraju potrzebne są niekoniernie pierwszorzędne talenty...

Sielski aż syknął, usłyszawszy takie słowa pociechy.

— Jesteś pan pierwszorzędnym nudziarzem, panie Romanie! — zawołał zirytowany. — Domysły pańskie nie mają podstawy... Niewątpliwie musi być jakaś przyczyna mojej beczynności, no, ale o niej dowiesz się pan innym razem...

— Przrzekasz mi pan? — zawołał zachwycony literat.

— Z największą chęcią! — odparł Sielski.

Nastąpiła znowu chwila milczenia.

— Tajemnica! — szepnął Roman. — Domyślałem się jej... Mam ją nawet do pewnego stopnia w ręku...

— Co?... pan?... — krzyknął Sielski.

— Tak, ja! — odpowiedział chłodno Roman. — Wchodzą do niej: błękitna maska, Lachowicz, jakiś starzec...

Niebezpieczeństwo wydało się Jerzemu tak wielkiem, że w oka mgnieniu ochłonał i, zebrawszy całą przytomność umysłu, rzekł:

— Cóż znowu za powieściopisarskie brednie uczepiły się pańskiej wyobraźni! Jaki zły duch podszeptał panu plotkę, za którą obraziłbym się, gdyby mnie nie rozśmieszała...

Literat znowu stanął na chodniku i, przeszywając go wzrokiem, odpowiedział z namaszczeniem:

— Panie! ja jestem powieściopisarz realista, to zatem, co wiem, wiem zawsze z niezawodnego źródła. Inaczej, typy moje i wątek intrygi byłyby pozbawione życia i prawdy.

Ścisnął Sielskiego za rękę i odszedł, pozostawiając go w osłupieniu.

Jerzy jak błędny wrócił do siebie, napił się wo-

dy, oblał głowę i długi szereg najdziwaczniejszych myśli streścił w następujący sposób:

— Roman jest widocznie ślepem i głupiem narzędziem Lachowicza, który nie powiedział mu nic, a może wreszcie jakaś bajkę... Ten starzec przekonywa mnie, że literat nie wie nic, w każdym razie jednak, muszę to uważać za cios, który mi przygotowuje ten łotr z innej strony...

Szatan widocznie dolewał oliwy do ognia.

Nieustanne i niedyskretne pytania znajomych: dlaczego pan nie maluje?... co pan teraz maluje?... często, choć może nie zawsze umyślne, wzmianki o zgasłych lub gasnących talentach sprzykrzyły się wreszcie Sielskiemu. Przestał składać wizyty, natomiast jednak chętnie przepędzał wieczory w teatrze.

Otóż, zdawało się, że pewnego razu, nie patrząc nawet na afisz, kupił bilet i trafił na Trubadura. Operę tę znał ze wszystkich scen europejskich, a wreszcie z katarynek; mimo to poszedł, nie mając nic lepszego do roboty.

Los przecież tym razem zrobił mu niesłychanie miłą niespodziankę, umieściwszy w łoży parterowej, tuż obok jego krzesła, młodą, niepospolicie piękną panią.

Sielski począł się jej przypatrywać nader pilnie, podziwiał śniadą płeć, ciemne włosy, czarne oczy, uśmiech nie dający się opisać, a wreszcie niesłuchany wdzięk i żywość. Niekiedy zdawało mu się, że młodzianka brunetka jest ptakiem, który lada chwila zerwie się i kędyś uleci.

Najwięcej jednak uderzało go to, że ruchliwe rysy nieznajomej przypominały mu kogoś. Chwilami czuł wstręt i obawę. Powoli jednak przykre wrażenia zeszyły na drugi plan, nie przestając go jednak drażnić.

W tych warunkach oklepana muzyka Trubadura potężne robiła na nim wrażenie. Rozumiał ją, odtworzał w sobie uczucia, ożywiające każdą z postaci: miłość, ból, nienawiść... Zdawało mu się, że młoda dziewczica rozplywa się w melodjach opery, że tym sposobem wypełnia mu całą duszę i potracą o wszystkie jej fibry, złe i dobre...

Opera się skończyła, nieznajoma znikła, lecz Siel-ski słyszał ciągle dźwięki i widział obraz panny. Rozmarzył się, zapomniał, że już przecie nie jest studencikiem i, nucąc w duchu *Miserere*, z rozkoszą i bólem jednocześnie wyobrażał sobie ostatnie swoje pożegnanie z nieznajomą, której nigdy nie witał...

Była to jedyna chwila przyjemna, jakiej od roku doświadczył.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

9/3.



*BIBLIOTEKA TYGODNIKA
ILLUSTROWANEGO TOMXXXI*

BOLESŁAW PRUS
(*ALEKSANDER GŁOWACKI*)

P I S M A

DUSZE W NIEWOLI

*NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW TYGODNIKA
ILLUSTROWANEGO—GEBETHNER I WOLFF, WARSZAWA*

BOLESŁAW PRUS
(ALEKSANDER GŁOWACKI)

DUSZE
W NIEWOLI

POWIEŚĆ
TOM II

WYDAWNICTWO REDAKCJI TYGODNIKA
ILLUSTROWANEGO, WARSZAWA, UL. ZGODA 12



Wszelkie prawa przdruku i przekładu zastrzeżone

TECZOTRZA WŁ. ŁAZARSKIEGO. WARSZAWA.

12. Wypadki ludzkie.

Faktem jest, że natężenie nawet bardzo silnych i trwałych uczuć ulega zmianom. Po wielkich burzach następuje apatia, po niej — spokojność przynajmniej powierzchowna. Kipiące niedawno serce okrywa się pewnym rodzajem skorupy, pod którą jednak rozlegają się co czas jakiś głębokie wstrząśnienia.

Niekiedy jesteś zupełnie wesoły i swobodny, nasycaś się teraźniejszością, dziwisz się, jakim sposobem przeszłość obchodzić cię mogła, gdy nagle odzywa się echo wspomnień, niby odgłos dalekiego grzmotu. Pytasz: skąd pochodzi to zjawisko? pilnie oglądasz własną duszę i dostrzegasz w niej... pewien rodzaj przykrego dreszczu, coś nakształt fal na drzemiącej wodzie, którą niewiadomo kto zamącił.

Niewiele także potrzeba do wywołania nowego wybuchu: jakiś sen, twarz podobna, nazwisko, okoliczność, wśród których znajdowaliśmy się niegdyś, słowem: lada drobiazg — burzy dotychczasową równowagę i spycha człowieka na manowce niespokojnych i dręczących marzeń.

Lachowicz rok blisko nie widział Jadwigi i po-

padł w obojętność. Były chwile, że go nie obchodziła, że nie poszedłby za nią nawet do drugiego pokoju. Gdy myślał wówczas, że nieznajoma może wyjść zamaż, wzruszał ramionami. Niekiedy wma-
wiał w siebie, że umarła, i nie czuł żalu.

Dziwił się tylko, że mógł tak egzaltować i nie-
dorzeczny list napisać; rumienił się na wspomnienie
jego treści i dziękował Bogu, że nie położył przy-
najmniej swego nazwiska.

— Jakiż ja jestem dzieciak! — mówił. — Widocz-
nie awantury Sielskiego przyprawiły mnie o pewien
rodzaj obłędu.

Zdawało się, że już jest wszystko między nimi
skończone, gdy nagle — spotkał na ulicy Jadwigę
i spokojność uciekła. Znowu zaczął tęsknić, szaleć
i znowu gotów był drugi, jeszcze gorętszy, list do
niej napisać.

Ponieważ człowiek zbyt długo nie może bawić
się jednym rodzajem marzeń, lecz ciągle postępuje
naprzód, — więc i Lachowicz postąpił. Przestał my-
śleć o samobójstwie, a natomiast jął zastanawiać
się nad sposobami bliższego poznania Jadwigi.

— Muszę się z nią ożenić! — myślał.

W takim nastroju ducha, wybrał się w odwiedzi-
ny do swego hypochondrycznego protektora i po
krótkim wstępie zapytał go:

— Wszak pan pamięta historję mego życia?

— Naturalnie!... naturalnie!... Bardzo ciekawa...
Czy chcesz mi ją drugi raz opowiedzieć?

— Wie pan, że jestem dzieckiem motłochu?

— Dlatego masz genjusz: dzieci arystokracji,

oprócz skrofulów, nic z sobą na świat nie przynoszą.

— Wie pan też — ciągnął Lachowicz — że ojciec mój był w więzieniu?

— To bagatela! Znam ludzi, których ojcowie, dziadowie i oni sami wreszcie powinni stale mieszkać w więzieniu. Ja nawet, jak mnie widzisz, nie wiem, dlaczego się uchował... Aaa.. oh... Ale do czego to prowadzi?

— Chciałbym się żenić! — odparł stanowczo Lachowicz.

— Czyś zwarzował?... — krzyknął starzec: — sprzykrzył ci się spokój w domu, wzdychasz do pantofla i rogów?...

— Szczerze panu mówię.

— A ja ci szczerze mówię, żeś półgłówek — przerwał zirytowany starzec. — Rozumiem, że ci może być przykro teraz, bo nie masz jeszcze lat trzydziestu, ale przetrzymaj tylko do czterdziestki, a Bogu podziękujesz, kościół wybudujesz, żeś takiego głupstwa nie zrobił. Na mnie patrz, jaki jestem szczęśliwy, że nie mam młyna w domu!...

Ponieważ hypochondryk począł ziewać, co było znakiem, że się udobruchał, Lachowicz więc zapytał:

— Jak pan sądzi, czy bez względu na moje stosunki rodzinne, mógłbym znaleźć żonę?...

— Sto żon... Ale co ci po własnej, kiedy możesz bałamucić cudze?... Mężatki szaleją za tobą!

— Ale kobietę uczciwą i, jak to mówią, z dobrego domu?

— Z pałacu nawet, księżniczkę dostaniesz, gdy zechcesz. Ja sam znam trzy hrabianki, stare panny które pójdą za ciebie z pocałowaniem ręki.

— Już jestem zajęty! — odpowiedział z uśmiechem Ludwik.

— O! — mruknął stary. — A jakże się nazywa ta...

— Nazwiska nie wiem, nie mówiłem z nią nawet.

— A to dobrze, bo akurat mogłeś trafić na gryzetkę.

— Jestem o to spokojny.

— No, kiedy jesteś spokojny, — mówił znowu, oburzając się, starzec — to się żeń!... O cóż ci chodzi?... Po co mnie pytasz o radę?... Może chcesz, ażebym cię oświadczył?

— Może i o to będę prosił.

— Ha!... Jesteś pełnoletni, masz rozum, brnij zatem!... Mogę nawet być ojcem chrzestnym twoich dzieci, które prawdopodobnie urodzą się idiotami. Żeń się, żeń!...

Wysłuchawszy tych opinij, Lachowicz wyśmiewał w duchu swoje dotychczasowe skrupuły i postanowił oświadczyć się nieznanym. Na drugi dzień znowu jednak wpadł w zwątpienie i potępiał swoją, jak nazywał, bezczelność...

Tymczasem przyszedł mu nowy pomysł do obrazu, począł więc malować, a że robił szybko i całemi dniami, w parę tygodni ukazał się na wystawie nowy utwór.

Była to antyteza „Ostatniego dnia skazanego“, a zarazem odpowiedź na twierdzenie Jadwigi, że

zbrodniarz snąć nie miał rodziny i dlatego został występny.

Główną figurą nowego obrazu pod tytułem: „Na łonie rodziny“ był ranny w piersi i konający żołnierz włoski. Leżał widocznie na własnej pościeli i we własnej chacie, w której znać jeszcze było ślady świeżej walki. Żona rannego z gestem rozpaczry rzuciła mu się do nóg, zgrzybiały ojciec z osłupieniem patrzył na półmartwe rysy dziecka, do izby tłoczyli się przerażeni sąsiedzi. Lecz żołnierz nie widział ich.

Najciekawszem jednak było dopełnienie. Oto w drugim oknie, jakby z poza mgły niebieskawej, widać było zdziwioną i łzami zalaną twarz dziewczyny, ubranej w popielatą burnus, błękitną suknię i czarny kastorowy kapelusz. Pod oknem zaś, już w izbie, siedział jakiś człowiek z głową pochyloną i obliczem zasłanionem rękoma. Gdyby kolor i sposób ułożenia włosów upoważniały do jakichkolwiek wniosków, możnaby sądzić, że był to portret Lachowicza, jak znowu trudno było nie spostrzec rażącego podobieństwa między dziewczyną z obrazu a Jadwigą.

Hypochondryk pierwszy zobaczył nowe dzieło. Przetarł parę razy binokle, siadał, wstawał, a wreszcie mruknął:

— A niechże cię diabli wezmą!

I o dziwo! ucałował Lachowicza, który nieprzyzwoite wykrzykniki starego przyjaciela cenił wyżej nad wszelkie pochwały.

I przed tym obrazem zatrzymywały się tłumy,

a krytyka poświęciła mu parę oddzielnych artykułów, chwalać całość, lecz potępiając jej dopełnienie. „Co znaczy ta dama, która patrzy przez okno? — wołali — a wygląda tak, jakby w czasie bitwy, toczącej się nieledwie we wsi, wyszła na spacer?...“

Sielski tak nienawidził Lachowicza, że wogóle nie oglądał jego utworów; nie poszedł więc i tego obejrzeć. Nie wszyscy jednak podzielali ten wstręt do dzieł mistrza. Panna Jadwiga naprzykład, usłyszawszy o oryginalnym obrazie, poszła obejrzeć go, z dziwnym jakimś niepokojem w duszy, przeczuwając, że obraz ten stosuje się do niej, a może i odegra ważną rolę w ich wzajemnych stosunkach.

Rzuciwszy okiem na płótno, odrazu zrozumiała jego znaczenie. W oczach jej zakreśliły się łzy; była wzruszona, zachwycona i zdecydowana na krok stanowczy.

Podeszła dama, w której towarzystwie Lachowicz poznał Jadzię przed rokiem, była bardzo kontenta.

— Widocznie podsłuchał nas wtedy, pamiętasz, Jadziu? — rzekła dama. — Muszę jednak wyznać, że nie można się zemścić w sposób delikatniejszy.

— Przecież na mnie chyba mścić się nie potrzebował — odparła Jadzia.

— Tak, ale na mnie!... I dlatego nie wymalował mnie obok ciebie, za co bym się wcale nie gniewała.

Zajęta wyłącznie oglądaniem obrazu, poważna dama nie miała czasu zwracać uwagi na swoją to-

— W każdym jednak razie, niech pani o tem nikomu nie mówi — rzekła Jadwiga.

— O tym obrazie?... Ależ wszyscy go widzą na wystawie!

— Nie, nie o obrazie, tylko o naszym szczególnem spotkaniu. Nie mam przyjemności znać osobiście pana Lachowicza, pojmuję więc pani...

— Czy możesz mnie o tem ostrzegać?... — odparła dama z wyrzutem, drżąc na samą myśl o tem, coby pan Witold mógł przypuścić!...

I podobne spotkanie zdarzyło się pod jej okiem!... Rzecz wprawdzie sama przez się była niewinna. szanowna dama jednak, znając świat, postanowiła jak grób milczeć o wypadku.

Czy zrobiła tym sposobem dobrze, czy źle?... Trudno zgadnąć.

Jadzia tymczasem myślała zupełnie o czem innem. Lekkomysłny pan Witold, obok artysty, wydawał jej się bardzo malutkim. Obraz zrobił na niej głębokie wrażenie.

Ułożyła sobie pewien plan, który dziś jeszcze postanowiła wprowadzić w wykonanie.

Między liczną rodziną miała dalekiego kuzyna, który, wcześniej straciwszy ojca i matkę, prawie wychował się w domu jej rodziców. Skutkiem tego, stosunki między Jadzią a jej kuzynkiem były bardzo serdeczne. Jakiś czas sąsiedzi przypuszczali, że z dwojga tych dzieci będzie małżeństwo; złożyło się jednak inaczej. Kuzynek wyjechał w świat, skończył akademię sztuk pięknych w Monachjum i został malarzem; Jadzię zaręczono z Witoldem warzyszkę.

Ile razy kuzynek był w Warszawie, tyle razy odwiedzał Jadwigę, bawił ją lub przekomarzał się, lecz zawsze okazywał jej wiele życzliwości. Od roku jednak z górami kuzynek zarzucił malarstwo, włóczył się bez celu zagranicą, a gdy wrócił, bywał u Jadwigi rzadko i jakiś nie swój. Ludzie mówili, że hula. Jadwiga wierzyła temu trochę, lecz wierzyła też, że jej kuzynek jest człowiekiem prawym, rozsądnym i że ją kocha jak siostrę.

Ten to kuzynek miał się stać głównym czynnikiem jej planu. Ponieważ sam był malarzem, musiał więc znać krajowych malarzy, a między nimi i Lachowicza. Od niego zatem dowie się Jadwiga bliższych szczegółów o Lachowiczu, on go do jej domu wprowadzi, on wreszcie pokona skrupuły pani Ewy.

— Lachowicz to człowiek wyjątkowo zacny — myślała Jadzia — to charakter wzniosły!... W życiu jego musi być wiele stron pięknych, a gdy o nich dowie się siostra, wówczas...

Uśmiechnęła się, nie kończąc nawet swej myśli i — tego samego wieczoru wysłała bilet do kuzynka.

Około ósmej służący zameldował:

— Pan Sielski!

— Jurcio! — zawołała Jadwiga, wybiegając na spotkanie gościa.

Jerzy był owym kuzynem, który miał Lachowicza zapoznać z Jadwigą, obalić skrupuły pani Ewy, słowem, skojarzyć małżeństwo!...

Jerzy i Jadwiga przywitani się bardzo serdecznie.

— Śliczny z ciebie kuzynek!... pamiętasz o mnie!... — zawołała Jadzia, serdecznie ściskając go za rękę.

— Bywałbym po trzy razy na dzień, kuzynko, gdybyś mnie zawsze tak witała! — odparł Sielski.

— Ach, niewdzięczniku!... Więc już zapomniałeś nawet o tem, że cię zawsze tak witam?

— Co każesz, kuzynko?...—pytał dalej Jerzy, siadając obok Jadwigi; — sędzę, że nie wezwałaś mnie bez interesu.

Jadzia udała obrażoną.

— To tak?... — rzekła: — więc nie przypuszczasz nawet, żem się stęskniła do ciebie?... Ha! kiedy tak, więc dobrze! Mam interes... Musisz mi... kupić abonament na operę włoską...

— Z całą przyjemnością.

— Niedość na tem. Musisz za każdym razem chodzić ze mną do teatru.

— Wszystko rozumiem! — zawołał, śmiejąc się, Jerzy. — Potrzebujesz opiekuna do łoży i poczynasz tęsknić do mnie. Mniejsza o to. Będę się nawet starał o cukierki za każdym razem, byle tylko pan Witold nie wyzwał mnie na pojedynek!

Jadzia zrobiła grymas wcale nie pochlebny dla pana Witolda.

Tegoż wieczoru, po herbacie, gdy poważna gospodyni domu odeszła, Jadzia spytała nagle:

-- Dawno byłeś na wystawie sztuk pięknych?

— Przed rokiem! — odparł sucho Sielski.

— Ja byłam dziś i wyobraź sobie, że na jednym z obrazów rodzajowych zobaczyłam... swój portret!

— Nic dziwnego! Zbyt jesteś piękna, aby który

z malarzy nie starał się zapomocą twoich rysów podnieść wartość swego obrazu.

— Pochlebco! — zawołała Jadzia, uderzając go zlekka paluszką po rękę.

— Jeżeli mnie bijesz, potłucz także wszystkie lustra, które ci to samo codzień mówią — rzekł Sielski.

Po chwili zapytał:

— Któż cię sportretował?

— Ani się spodziewasz! Najzdolniejszy malarz w Warszawie... naturalnie po tobie.

Jerzego mrowie przeszły. Nie chcąc jednak okazać wzruszenia, spuścił oczy i spytał powtórnie:

— Któż mianowicie?

— Ten pan... No ten, który dostał nagrodę konkursową za *Ostatni dzień skazanego*... — odparła Jadzia, udając, że chce sobie przypomnieć nazwisko.

— Aha!

— Jakże się on nazywa?

— Lachowicz!... — mruknął Jerzy.

Jadwigę uderzyło to.

— Co tobie, Jurciu? — spytała go niespokojnie. Sielski wybuchnął.

— Szkoda, — zawołał — że twoje rysy znalazły się na obrazie tego nikczemnika!...

Mówiąc to, Sielski był tak rozdrażniony, że nie mógł spostrzec strasznej zmiany, jaką słowa jego wywołały. Jadzia zbladła, zacisnęła ręce... Więc siostra nie omyliła się. Jej nadzieje strasznie były zawiedzione.

Gdy Jerzy ochłonał i Jadzia już opanowała siebie, spokojnie, choć cichym głosem, zapytała:

— Więc mówisz, że ten pan Lachowicz...

— Jest nikczemnikiem!

— Nik... czem... nik!... — przesylabizowała Jadzia.

— Czy cię to dziwi?

— Nie, ale ja myślałem, że...

— Że co?

— Już nie wiem co! Aha! Myślałam, że taki mistrz nie może być złym człowiekiem.

— I omyliłaś się.

— O, tak!... omyliłam się.

Gdy Sielski wyszedł, powtórzyła jeszcze raz:

— Omyliłam się!

I w parę dni później, siedząc nad jakąś robotą, obok swojej opiekunki, szepnęła także:

— Omyliłam się.

— Nic nowego — odpowiedziała dama. — Ty zawsze się mylisz, ponieważ co innego robisz, a o czym innym myślisz.

Jadzia podniosła na nią oczy.

— Czy pani co mówi? — spytała.

— No, już nic!... Szczęśliwy ten pan Witold... Muszę do Ewci napisać!...

Jadwiga drgnęła, twarz jej rozjaśniła się, jakby w tej chwili przyszło jej na myśl rozwiązanie trudnego zagadnienia.

Jakoż wieczorem napisała list do siostry i szwagra, donosząc im, że jest bardzo zmęczoną, że ją

nudzi Warszawa. List ten kończył się następującym dopiskiem:

„Jeżeli wam się podoba, możecie oznaczyć dzień ślubu z panem Witoldem. Trzeba raz skończyć!...“.

— Patrzaj, Ewciu! — wykrzyknął pan Jan, odczytawszy dopisek. — Jadzia się zgadza na wesele, a ja myślałem, że Witold dostanie odkosza!

Pani Ewa pokręciła głową. Niemniej jednak dzień ślubu oznaczono w jesieni.

W parę dni po bytności Jadwigi na wystawie, przyszedł do Lachowicza pewien jego znajomy z propozycją nabycia obrazu.

— Jakto, więc go dla siebie chcesz kupić? — spytał Ludwik.

— Eh! nie... Jestem tylko proszony o pośrednictwo.

— Przez kogo?

— Wspomniano mi wprawdzie o tajemnicy, która jednak tobie musi być wiadoma.

— Nic nie wiem! — zapewniał go Lachowicz.

— Jakto, naprawdę nie domyślasz się, kto kupuje obraz?

— Ależ ani odrobiny, daję ci słowo!

— No, jużci Sielski: któżby inny? — odparł pośrednik.

— A on poco kupuje mój obraz?

— Nie udawaj! nie udawaj!... Wymalowałeś przecież portret jego kuzynki...

— Co mówisz?...

— Naturalnie! Ta dama za oknem jest jego jakąś daleką krewną. Na imię jej — Jadwiga.

Lachowiczowi przywidziało się, że pokój począł krążyć dokoła. Usiadł, chwilę odpoczął i rzekł.

— Nie sprzedam obrazu!

— A niechże cię! — zawołał gość. — Tom się spisał!... Właśnie też Sielski prawie błagał mnie, ażeby ci nie mówić, że on kupuje.

— Kiedy tak, to weź... Ale pieniędzy nie chcę.

— Znowu awantura! Obrazisz go tym sposobem... On widocznie nie chciał prezentu, skoro mnie do ciebie wysłał.

Nic już nie odpowiedziawszy na to, Lachowicz wziął pieniądze i napisał upoważnienie do odebrania obrazu.

Ludwik posiadał jeden cenny przymiot: sprężystość duszy, która ze szczególną siłą uwydatniała się w nieszczęściu.

Zrozumiał on, że jeżeli mógł kochać ze słabemi choćby widokami wzajemności jakąś pannę Jadwigę, to już kuzynka Sielskiego była dla niego bezpownotnie stracona. Przeczynał dalej, że obraz, który miał się stać punktem wyjścia dla bliższych stosunków, stał się powodem jego nieszczęścia. Sielski musiał go przedstawić Jadwidze w najczarniejszych kolorach, ona — uwierzyła i naturalnie okazała list, z którego dziś oboje się śmieją... Fakt kupna obrazu przez Jerzego był tylko manifestacją niechęci, wzgardy i naigrawania się z jego zawiedzionych nadziei...

— Otóż to są ideały nasze! — szepnął Lachowicz, myśląc z goryczą o zawodzie, który go spotkał w poszukiwaniu przyjaźni i miłości. — Ha!

moja w tem wina — dodał. — Nie trzeba było poddawać się głupim marzeniom!

Pogląd ten, jeżeli nie wywołał, to przynajmniej stał się współczesnym dwom zjawiskom. Najprzód, uspokojeniu się Lachowicza, a powtórę — zniechęceniu do świata. Uspokoił się, poznawszy, że to, do czego wzdycha, było snem nigdy nieurzeczywistnionym; zniechęcił dlatego, że rodzaj ludzki znowu zdobniał mu jakoś w oczach.

Mimo to wszystko jednak talent jego nie cofnął się, ani zatrzymał w rozwoju, czerpiąc siły nawet w zawodach i boleści.

Nie domyślał się, że w tym czasie cierpi ktoś inny, i że znowu dwie ludzkie dusze popadły w niewolę — fałszywych domysłów i powszechnie przyjętych opinij. W oczach Jadwigi człowiek, napiętnowany wyrazem „nikczemny“, nie zasługiwał na to, aby się nim dłużej zajmować. Lachowicz znowu sądził, że w jego położeniu niepodobna już zrobić żadnego kroku naprzód, nawet dla sprawdzenia tego, czy jego domysły o Jadwidze są prawdziwe...

13. Sielski uwolniony.

Ze wszystkich dochodów niestałych, jakimi rozporządza warszawskie towarzystwo dobroczynności, największe zawsze płynęły z loteryj fantowych, które też w życiu naszego miasta niepospolitą odegrały rolę.

Ubogich mamy takie mnóstwo, że dla utrzymania ich ofiary czystego miłosierdzia wydolać już nie

moga. Ciągłe kwesty po domach i deklamacyjne odezwy w pismach robią wprawdzie swoje, ale to nie wystarcza. Należało więc dla wydobycia pieniędzy obmyślić jakiś energiczniejszy środek i, wyeksploatowawszy litość, poruszyć inne jeszcze uczucia, których tyle posiada serce ludzkie.

Wszelkie społeczeństwo składa się, jak wiadomo, ze „śmietanki“ i „serwatki“. Otóż dla reprezentantów jednej i drugiej kategorii loteria stała się doskonałą przynętą.

Ludzie zamożni, w naszym kraju przynajmniej, skazani są na przymusowe próżniactwo. Kierować nawą ludzkości nie mogą, drobniejszem zajęciem pogardzają, muszą więc z konieczności ziewać lub wyczekiwać jednej z tych rzadkich chwil, która bez wielkiego zachodu i szkodliwego zużycia sił umysłowych stawia ich odrazu na świeczniku. Loterja jest właśnie jedną z chwil takich. Dla wsławienia się przy tej sposobności, nie trzeba ani wielkich cnót obywatelskich, ani żelaznej pracy, ani fachowego ukształcenia. Dość ofiarować jakiś fant, sprzedawać bilety, lub kręcić kołem, w które wsypano losy, aby być drukowanym, podziwianym, oglądanym — słowem: budzi zazdrość w gawiedzi.

A jakąż doskonałą wędką była loteria dla warszawskiego ludku!...

Jedni, należący do kategorii osób „źle ubranych“, szli jak na dziwowisko do ogrodu, który w ciągu 360 zwykłych dni był dla nich hermetycznie zamknięty, z wyjątkiem chyba wieczorów lub ulewnego deszczu. Drudzy, miłośnicy wrażeń, którym nie wy-

starcza ani światło miejskich latarni, ani melodie katorynek, biegli do ogrodu, aby skąpać plebejuszowskie dusze w chaosie muzycznym, wytwarzanym przez kilka orkiestr, tudzież w potokach światła kolorowych latarni i ognia sztucznych. Inni spodziewali się znaleźć hałas i ciżbę, i pragnęli skorzystać z możliwości wydeptywania trawników, tudzież potracania bliźnich. Lubownicy świeżych kwiatów cieszyli się nadzieją, że wśród natłoku uda im się uszczknąć jakąś gałązkę bzu, pączek róży, albo tulipan... Złodzieje kieszonkowi znowu przypuszczali bardzo rozsądnie, że nie tylko przepatrzyć będą mogli większą ilość portmonetek, niż zwykle, ale że nadto, skromnym datkiem dla cierpiącej ludzkości potrafią zmasać jakąś cząstkę swoich powszednich grzechów.

Każdy zresztą siedł tutaj z więcej lub mniej wyraźnie manifestującą się nadzieją, że za swoje czterdzieści groszy, przy opiece losu, wygra fant wartości przynajmniej kilkuset rubli. Dla takiej sumy warto nie tylko zapłacić wejście i kupić parę biletów, lecz nadto i zadłużyć się na kilka złotych, byle Pan Bóg zesłał dość naiwnego wierzyiciela!

Do tego ogromnego tłumu dodajmy garść emerytów, którzy muszą wypić sakramentalną porcję wody, garść nie mających środków do objechania Łazienek we własnym powozie elegantów i elegantek, które skutkiem tego muszą codzień przejść główną aleję ogrodu, a wreszcie — garść lowelasów, którzy nawet z grobów powstać gotowi dla zajrzenia w oczy kilku tysiącom ładnych kobiet, —

a będziemy mieli pojęcie o natłoku, ruchu i dochodach, wytwarzanych przez loterie fantowe, których podobno już nic nie zdoła zastąpić.

Tegoroczna zabawa nie różniła się niczem od innych jej podobnych. Naprzód municypalność wezwwała przez pisma poświęcających się dla ogólnego dobra obywateli — na sesję do magistratu. Następnie te same pisma ogłosiły nazwiska cenniejszych fantów i szlachetnych ofiarodawców. Później, znowu te same pisma zawiadomiły niecierpliwą publiczność, że w dniu dzisiejszym pewna liczba s'erot z ochronek różnych wyznań zajęła się zwijaniem biletów i rzucaniem ich do kół, które wobec takich a takich świadków starannie zapieczętowano. Później sprostowano drukarskie pomyłki w nazwiskach i tytułach osób, które raczyły przyjąć obowiązki sprzedawania biletów i gospodarowania w namiotach. W końcu — zapowiedziano loteryję na sobotę, — „jeżeli niebo nie zechce przeszkodzić zabawie przez spuszczenie potoków deszczu“.

Deszcz nigdy nie zawodził loterji, więc spadł w sobotę, dając dziennikom powód do pisania artykułów o zdumiewającym związku, jaki istnieje między loteryją a niepogodą, i o odłożeniu zabawy na czwartek. Ponieważ zaś i we czwartek deszcz padał, loteryja przeto odbyć się nie mogła i rzeczywiście odbyła się dopiero w następną sobotę.

Od rana ogród uległ tak szczelnemu zamknięciu, jak forteca w czasie oblężenia, naturalnie—dla tych śmiertelników, którzy nie mieli szczęścia należeć do grona gospodarzy. Tłumy osób stały pod bramami.

Jedni prosili, aby ich puszczono tylko „na kufelek wody“; drudzy przysięgali, że biegnąc do umierających krewnych wybrali najkrótszą drogę przez ogród, i że odźwierni wiele mieć będą kłopotu, jeżeli ich nie przepuszczą. Gromada gapiów ciekawie zaglądała przez kraty, pragnąc zobaczyć, jak też w dzień wyglądają fajerwerki.

Nareszcie około drugiej zebrały się orkiestry, a po ich wejściu otworzono bramy dla „szerszej publiczności“, która niebawem poczęła się tłoczyć do ogrodu, jak pielgrzymi do cudownego miejsca. Muzyka zagrała, puszczono fontanny, a członkowie, przeznaczeni do obracania kół loteryjnych, poczęli spełniać swoje filantropijne posłannictwo.

Nad wieczorem w przybytku zabawy zrobiło się ciasno. Wszystkie ławki były zajęte przez ludzi, których fizjognomje okazywały, że gotowe są w obronie swoich miejsc położyć życie. Około głównego wodotrysku i namiotów z fantami uformowały się zatory. Wszystkie aleje wypełniły ruchome tłumy, nad którymi unosił się tuman kurzu, sięgając ponad szczyty najwyższych drzew.

Rozmawiano, śmiano się, krzyczano, a nadewszystko: ciągniono losy. Młodzi eleganci wygrywali parasolki i kompletne ubiory damskie. Jakiś fryzjer wygrał butelkę wody kolońskiej własnego wyrobu i natychmiast chciał z niej zrobić prezent, lecz chętnego do przyjęcia ofiary nie znalazł. Największe lustro dostało się pewnemu garbuskowi, co widzów przypравиło o wesołość, a właściciela o zły humor.

Najbardziej pożądaną fanty, jak: dwie krowy, żniwiarka i amerykański wózek, oczekiwały jeszcze wybrańców fortuny. Przysięgaby można, że w kilkunastotysięcznym tłumie nie było osoby, któraby do jednego z nich nie wzdychała obok wielu takich, któreby wszystkie przyjęły.

Sielski, samotny i znudzony, przyszedł do ogrodu około szóstej: Z trudem przebrnął parę głównych alei, zajrzał do cukierni, gdzie przekonał się, że z powodu natłoku niczego nie dostanie, a wreszcie zobaczywszy w jednym z namiotów znajome panie, wziął (według prawideł dobrego tonu) jeden bilet loterii i położył na stole pięć rubli.

Przy kole, wśród ciżby, spotkał się oko w oko z piękną brunetką, którą widział w czasie przedstawienia Trubadura. Spotkanie to zelektryzowało go, szczególnie, gdy się przekonał, że jest poznany, i że śniadą twarz panienki oblał rumieniec.

Nieznajoma była w towarzystwie jakiegoś starego i wiecznie ziewającego jegomościa, damy, która już zapomniała o wieku średnim, i dwóch młodzieńców, z których każdy był bardzo zadowolony z siebie i bardzo niezadowolony ze swego towarzysza.

„Wielbiciele!... — pomyślał Sielski i uczuł wstręt do obu.

— Pewny jestem, że pani marzy w tej chwili o krowach, — rzekł jeden z wiecznie uśmiechniętych elegantów do nieznajomej, która trzymała bilet w ręku.

— Wcale nie! — odparła panienka.

— A to dziwne!... — zawołał młodzieniec. — Te-

raz przecie wszyscy tylko o krowach mówią i myślą...

— Niech pan powie, że teraz i zawsze myślą o krowach wszystkie — mleczarki i cielęta...

— Zosiu! — zgromiła ją dama w wieku poważnym, gdy tymczasem apatyczny jegomość i drugi młodzieniec zdawali się nie posiadać z radości.

Nareszcie Jerzy dosięgnął koła, lecz ponieważ panienka stała tuż za nim, cofnął się i, zdejmując kapelusz, rzekł:

— Niech pani raczy ciągnąć!

— Nie chcę panu psuć losu... Niech pan będzie łaskaw! — odparła śmiało nieznajoma, bardzo miłe patrząc na Jerzego i rumieniąc się powtórnie.

Jerzy wydobył bilet, a rozwinawszy go, przekonał się, że jest pusty.

— Niech pan się pocieszy przysłowiem: „Nieszczęście do gry...” i tak dalej! — odezwał się uprzejmy członek od korby.

Zkolei losowała nieznajoma, lecz także wydobyła pusty bilet, wybuchając przytem wesołym śmiechem.

— I pani radzę pocieszyć się w taki sam sposób! — rzekł powtórnie członek, któremu stanowisko i wiek poważny nadawały poniekąd prawo robienia młodemu podobnego rodzaju uwagi.

Człowiek, któremu pozwolonoby przejrzeć serca osób stojących obok namiotu, dziwneby w tej chwili dostrzegł w nich uczucia. Przekonałby się, że filantrop jest niewymownie dumny i zadowolony z siebie, że ponury Sielski nie rozgniewał się

za jego dość swobodny dowcip, że dwaj młodzieńcy szczerze pragnęli rozszarpać Sielskiego i filantropa, i że ładna brunetka po raz pierwszy w życiu doznała jakiegoś szczególnego niepokoju. Czuła, że jej coś drgnęło w piersiach...

Sielski także doświadczył niespodzianego wrażenia. Zdawało mu się, że we wnętrzu jego istoty leży coś nakształt popiołów. Smutne te resztki nazywały się niegdyś miłością dla Leontyny. Obecnie uczuł, że czarne oczy nieznajomej pod owymi popiołami zatliły nową iskrę... Wszystko to jednak trwało zaledwie chwilę. Nieznajoma razem ze swem towarzystwem znikła w tłumie, a iskra przygasła. Mimo to Sielski rozmarzył się.

— Zabawne uczucie! — myślał. — Ta cyganecka przypomniła mi czasy studenckie, kiedy to człowiek każdą kobietę uważał za anioła.

I, odzyskawszy dobry humor, drwił z samego siebie. Mimo to, począł błdzić w tłumie i poszukiwać nieznajomej, pytając w duchu: czy doświadczyłby znowu tego przelotnego, lecz miłego uczucia, gdyby po raz drugi spojrzał jej w oczy?...

Wczasie przechadzki zetknął się z najmniej spodziewaną osobą.

Był to pan Rudolf, mąż Leontyny.

Rudolf zdawał się być zmieszany i niespokojny. Ucałował Sielskiego w oba policzki, a potem bolejącym głosem wykrzyknął:

— Cóż, już wiesz o nieszczęściu?...

— Jakiem? — spytał zdziwiony Jerzy.

— Jakto, więc nic nie wiesz?...

— O czym?... Nie rozumiem cię.

— Ach!... Chodźmy gdzieś nabok, opowiem ci wszystko!... — mówił pan Rudolf. — Wiesz co, możebyśmy wyszli z ogrodu?

— Nie mogę... Czekam na kogoś.

— Rozumiem! Jakaś młoda i niewinna osoba naznaczyła ci schadzkę?... Jeżeli zechcesz, zaproszę was oboje na kolację. Przy moich kłopotach koniecznie potrzebuję rozrywki, towarzystwa osób wesołych. Inaczej wpadnę w rozpacz i w łeb sobie strzelę!

— Powiedźże, co się stało? — nalegał Sielski.

— Co się stało!... Opowiem ci, ale wejdźmy do najbezлюдniejszej alei. Gdyby gdzie w okolicach Pragi leżała pustynia Sahara, wziąłbym dorożkę, zawiózłbym cię i dopiero tam wszystkobyś opowiedział.

Sielski nie wiedział, czy Rudolf żartuje z niego, czy mówi na serjo. Spojrzał mu badańczo w oczy, lecz przekonał się, że twarz jego nosi ślady zmartwienia, naturalnie tyle, ile skłonny mógł być do zmartwienia człowiek, do pana Rudolfa podobny.

Gdy weszli pod mur, przylegający do ulicy Niecałej, pan Rudolf rzekł:

— Wiesz, że ojciec Loci umarł...

— Umarł?...

— Tak!... Serce mu pękło ze zgryzoty.

— Cóż znowu?

— Wczoraj odbył się pogrzeb, na którym z powodu zajęcia, mimo najszczerzej chęci, być nie

mogłem. Ale za to we wszystkich dziennikach ogłoszę nekrolog. Zaczny człowiek!

— Umarł! — szepnął z głębokim smutkiem Jerzy.

— Locia naturalnie nie o tem nie wie — ciągnął pan Rudolf.

— Gdzież jest? — spytał bezmyślnie Sielski.

— Jakto, nie wiesz? Ty chyba z ludźmi nie żyjesz?... Chyba gdzieś na Podlasiu byłeś!

— Cóż to jest?

— No, to jest, że Locia uciekła z Adamem!... Okropny człowiek!... Gdyby mi delikatność nie nakazywała jej oszczędzać, wyzwałbym go na pojedynek i zabiłbym jak dzieciola!

Wykrzyknik ten nie był wcale przechwałką; pan Rudolf bowiem zarówno odznaczał się szaloną odwagą i celnością w strzelaniu, jak lekkomyślnością i rozpustą w życiu.

— Uciekła tydzień temu, — mówił dalej mąż — nie powiedziawszy mi ani słówka... Mnie, który byłem jej najserdeczniejszym przyjacielem...

Sielski słuchał go osłupiały. Cała orkiestra najsprzeczniejszych uczuć zagrała w nim w tej chwili.

— Nie!... W naszym kraju nie można bez skompromitowania się być liberalnym mężem — ciągnął Rudolf. — Jakiś czas sądziłem, że ta kobieta nie zrobi mi wstydu, licząc na to, że dawna miłość dla ciebie...

— Tylko mnie do tego nie mieszaj! — wtrącił stłumionym głosem Jerzy.

— Dlaczego cię nie mam mieszać, kiedy wiem, że się naprawdę w tobie kochała, że nawet bywała u ciebie...

— Co?...

— No, no!... nie wypieraj się, — upomniął go Rudolf. — Wiem wszystko z najlepszego źródła, bo od niej samej.

— Więc ona ci mówiła? — zapytał gwałtownie Sielski.

— I mnie i wszystkim swoim przyjaciółkom, naturalnie pod największym sekretem. To też dziś kobiety w całej Warszawie twierdzą, że twoja obojętność zgubiła ją. Ja jednak nie mam do ciebie pretensji!

Słuchając tego, Jerzy począł się prawie obawiać o swój rozum.

— Po twoim wyjeździe, — mówił Rudolf — związała stosunki z Adasiem, który, jak widzę, był mniej skrupulatnym, czy kapryśnym, niż ty. Kokietowała też tego znakomitego Lachowicza, ale to skończony safandula! Nareszcie uwieńczyła dzieło ucieczką, zabijając tym sposobem dwu ludzi: swego ojca i mnie, który nie śmiem teraz w towarzystwie kobiet oczu podnieść. Żebyś wiedział, jakie nikczemne plotki o mnie kursują z tego powodu... Ach!... No, ale bądź zdrow! Muszę iść do pani Ludwiki. Gdyby nie ona, powiesiłbym się z rozpacz!

To powiedziawszy, pan Rudolf ścisnął za rękę Jerzego i szybko pobiegł ku alei głównej.

Sielski wrócił do świadomości i pierwszą myśl,

która mu przemknęła przez głowę, streścił w wyrazach:

— Jestem wolny!...

Słowa te powtórzył kilka razy z niewymownem uniesieniem. Był wolny od zobowiązania, umowa z Lachowiczem już upadła, mógł malować, mógł obrazy swoje ukazywać całemu światu, a nade wszystko mógł zemścić się nad Lachowiczem!

Myśląc o tem, błakał się znowu wśród natłoku rozbawionej publiczności, nie widząc różnokolorowych latarni, nie czując ścisku, nie uważając, że już noc zapadła. Dopiero potężny huk zbudził go z odrętwienia. Zapalono właśnie fajerwerki.

Gdy się rozejrzał dokoła, spotrzegł, że stoi obok głównego wodotrysku, który w tej chwili sztuczniemi oświetlono ogniami. Syczały i pękały race, pryskały szmermele, a ogród, mała część nieba nad nim i ogromny tłum ludu, wszystko to kąpało się w purpurowych, zielonych lub olśniewającej białości płomieniach.

Jerzemu przyszły na myśl szopkowe legendy o piekle i pod wpływem gorączkowego rozdrażnienia zdawało mu się, że on sam jest triumfującym demonem, a Lachowicz zwyciężonym potępieńcem, który wśród potoków światła zlatuje w przepaść hańby, z piedestału wielkości, przywalony śmiechem ciżby...

— Zemszczę się!..., jestem wolny!... — powtarzał Sielski,

14. Przesilenie.

Następny ranek przyniósł zdrowsze nieco myśli Jerzemu. Zemsta nad Lachowiczem, którą wczoraj widział wśród potoków krwi i ognia, przybrała teraz spokojniejsze i bardziej określone formy. I dziś pragnął zabić przeciwnika, lecz tylko moralnie; zostawiał mu życie, lecz chciał go pozbawić sławy znakomitego artysty, która, według jego opinii, wspierała się na bladzie i braku konkurencji.

Ileż to razy mówili przyjaciele Jerzego, że jedynym niebezpiecznym dla Lachowicza współzawodnikiem mógł być tylko Sielski! Na nieszczęście, Sielski przestał malować, cofnął się z placu, na którym obecnie wróg jego laury zbiera. Ale dziś skończyły się już triumfy, współzawodnik wystąpi, a rzekoma sława Lachowicza rozproszy się, jak mgła!

Ułożywszy taki plan zemsty, Jerzy zgóry już cieszył się powodzeniem. Już widział tłumy, podziwiające jego obrazy i czytał recenzje, potępiające Lachowicza, któremu gotów był nawet wspałałomyślnie przebaczyć wszystko, upokorzywszy go pierwaj.

W ciągu kilku dni wydobył z paki swój „Ostatni dzień skazanego“, dał mu świetne ramy złożone i odwiózł na wystawę, z gorączkowym niepokojem oczekując skutków. Przed obrazem jego nie zatrzymywały się tłumy, a krytyka przyjęła go bardzo chłodno. Mówiono, że pan Sielski ma wprawę,

lecz że nie odznacza się pomysłowością. Ktoś przypomniał sobie, że jeszcze przed kilku laty radził panu S., ażeby porzucił pendzel i wziął się do innego fachu. Na dobitkę któryś z krytyków porównał pracę Sielskiego z odpowiednim obrazem Lachowicza i przepowiedział, że pan S. może zrobić z czasem wielkie postępy.

Znajomi wreszcie, którzy niedawno tak natarczywie zapytywali Jerzego: dlaczego zarzucił malarstwo, dziś milczeli, albo prawili mu strasznie wypłowiałe komplementy...

Słowem, rozczarowanie było zupełne i Sielski rozumiał, że gust publiczności w ciągu kilkunastu miesięcy uległ ogromnej zmianie. Lecz kto temu winien?

— Naturalnie, że Lachowicz! — odpowiadał z nienawiścią Jerzy. — On zmusił mnie do bezczynności, on spaczył mój talent...

W rzeczywistości jednak przyczyna zawodu Jerzego była inna, ta mianowicie, że obraz jego malał wobec dzieł Lachowicza, którego drzemiający dotąd genjusz, pod wpływem powodzenia i rozgłosu, zbudził się i wzbił ponad współczesnych.

Uznanie własnej bezsilności w tej walce jeszcze bardziej rozjątrzyło Jerzego. Słuchając wyłącznie podszeptów nienawiści, w przeciwniku swoim widział samo złe, w sobie tylko dobre. On był szlachetny, on był skrzywdzony, Lachowicz zaś podły i krzywdziciel.

Nie mogąc ani na chwilę przypuścić, że przeciwnik mógł być człowiekiem genjalnym, wierzył ra-

czej w to, że sam cofnął się w sztuce. Ta nieszczęsna umowa złamała mu skrzydła, zabiła w nim ducha!...

Niekiedy sumienie przypominało mu, że sam przecie narzucił Lachowiczowi cyrograf, że sam się związał. Ale on odpychał te myśli. Natomiast bardzo chętnie zastanawiał się: jakimi też, naturalnie niegodziwemi, środkami potrafił Lachowicz otumanić krytykę i publiczność?

Jerzy szybko zapadał w chorobę moralną. Gdyby mu wówczas podsunęto dwa przypuszczenia: jedno, że Lachowicz jest człowiekiem ogromnego talentu, drugie, że za sprawą djabła dorobił się rozgłosu, — Sielski przychyliłby się do drugiego. Całe dni przepędzał na marzeniach o zemście i pewnem jest, że gotów był nie cofnąć się przed żadnym środkiem, któryby mu posłużył do znękania przeciwnika.

W czasie tej strasznej walki podrażnionej miłości własnej z urojeniami, Sielski postarzał się i wynędzniał. Ukazywał się między ludźmi rzadko, niemniej jednak dostrzeżono w nim zmiany fizyczne i moralne i poczęto szeptać. Jedni twierdzili, że Jerzy chory jest na suchoty, drudzy — że się martwi ucieczką Leontyny, inni wreszcie (a ci najbliżsi byli prawdy), — posądzali go wprost o zazdrość.

Lachowicz potrosze wiedział o wszystkim, lecz nie zwracał na to uwagi. Ucieczka Leontyny nie dziwiła go, zjawienie się obrazu Sielskiego nie rozgniewało. Zbyt wiele miał własnych kłopotów. Trapiła go najprzód miłość dla kobiety, która była

w tak bliskich stosunkach z jego wrogiem; trafił go wreszcie, w sposób nierównie dokuczliwy, chory starzec, który coraz więcej pił, coraz szybciej zbliżał się do zupełnego obłąkania i coraz więcej, mimo najtroskliwszej opieki, wymykał się do miasta, skąd niekiedy policja go sprowadzała.

Zdesperowany Ludwik począł na serjo rozmyślać o wysłaniu starca zagranicę, do zakładu dla obłąkanych. Gdyby był sam, skandale chorego, a nawet nieporozumienia z sądem mniejby go obchodziły; ale miał dorastającą siostrę, na której niewinną głowę świadome czy nieświadome wybryki starca spadałyby całym ciężarem!

Z drugiej jednak strony: czy godziło się oddawać do szpitala warjatów człowieka, który jeszcze warjatem nie był? Sprawa podobna łatwo mogła się rozgłosić, a wówczas powiedzianoby, że wstydząc się ubogiego ojca, który niegdyś siedział w więzieniu, wyrodny syn chce go żywcem zagrzebać w szpitalnej celi!

Lachowicz wahał się, drżał na myśl o katastrofie, lecz zapobiec jej nie mógł. Niekiedy pragnął, aby to, co się ma stać, stało się prędzej, trudno było jednak przyspieszyć naturalny bieg wypadków.

Nareszcie katastrofa, którą niejasno przeczuwał i której się obawiał — nadeszła. Piorun padł z tej strony, która była najmniej prawdopodobną, — lecz i najmniejbezpieczną zarazem.

Jakoś w kilka tygodni po loterii fantowej, pewnego dnia nad wieczorem odebrał Lachowicz przez posłańca następującą kartkę:

Piśmo!

P. Ludwik Lachowicz raczy przyjść do mieszkania niżej podpisanego *w interesie własnym, nie cierpiącym zwłoki*.

J. Sielski.

Adres mieszkania znajdował się u dołu kartki, cały list pisany był ręką drżącą, widocznie pod wpływem silnego wzruszenia.

Lachowicz zmieszał się. Nie obchodził go brutalny ton pisma, lecz sam fakt jego istnienia. Co znaczy ten interes własny, nie cierpiący zwłoki, który zmusił Jerzego do odnowienia z nim stosunków?...

W tej chwili przyszła Lachowiczowi na myśl Jadwiga. Może ona pragnie go zobaczyć?... Ale w jakim celu?!... Naturalnie w tym, aby mu rzucić w oczy list, który jej podłożył.

W następnej chwili miejsce Jadwigi zajęło wspomnienie obrazu, na którym ośmielił się zrobić jej portret, a który teraz znajdował się w ręku Sielskiego...

Zkolei coraz to dziwniejsze przypuszczenia snuły mu się po głowie; żadne wprawdzie nie utrzymało się, lecz wszystkie dręczyły go i napełniały obawą. Wkońcu pomyślał, że najlepiej zrobi, gdy nie pójdzie do Jerzego, lecz wyśle mu kartkę w podobny sposób zredagowaną; lecz znowu po chwili projekt ten oburzył go:

— Alboż jestem zbrodniarzem, a Sielski moim sędzią, żebym się bał stanąć przed nim? — pomyślał.

Ostatnia ta uwaga obudziła w nim energję. Czuł, że w stosunkach ze swym przeciwnikiem, prócz listu, napisanego do Jadwigi, nie ma sobie nic do wyrzucenia. Sielski mógł się obrazić, któż mu jednak broni wyzwać go na pojedynek?...

Prawie w tym samym czasie literat Roman odebrał bardzo grzeczny list, w którym Sielski obiecywał mu dać świetny materiał do powieści, jeżeli natychmiast do jego domu przyjść zechce. Powieściopisarz bez namysłu schwycił za kapelusz i łaskę i pocwałował do mieszkania Jerzego.

Mieszkanie to znajdowało się na parterze, przy jednej z mniej odwiedzanych ulic i składało się z saloniku, dwu pokojów, tudzież przedpokoju i ciemnej komórki.

— Witam pana! — wykrzyknął zdyszany literat, wpadając do Sielskiego. — Biegłem, jak chart, ażeby się ani chwili nie spóźnić.

Jerzy przywitał go, poczęstował papierosem i, posadziwszy w dużym fotelu, rzekł:

— Czy będziesz pan mógł poświęcić mi godzinę czasu?

— Trzy godziny!... całą dobę! — upewnił go Roman.

Sielski przeszedł się po pokoju, a znakomity literat zauważył, że gospodarz jego jest ogromnie wzburzony. Okoliczność ta źle oddziaływała na humor powieściopisarza.

— Przypominasz pan sobie — mówił Sielski — naszą rozmowę o powodach mojej beczynności?

— O, pamiętam! pamiętam!...

— Obiecałem panu wówczas, że może będę mógł kiedyś dać objaśnienie...

— To bardzo ciekawe! — wtracił Roman, kręcąc się w fotelu.

— Przedewszystkiem tedy, przyznaję panu, że jego domysły co do przyczyn mojej beczynności były poniekąd słuszne!...

— A co! czy nie mówiłem?... — wykrzyknął ucieszony literat.

— Przyznaję, że do intrygi, której padłem ofiarą, należała dama w błękitnej masce, Lachowicz i... pewien starzec, jak obecnie.

— Dramat! — szepnął pan Roman, poprawiając się na fotelu, który w tej chwili był dziwnie twar-
dy i niewygodny.

— Przyznaję wreszcie, że w dniu ostatniej maskarady zeszłego roku dama w błękitnej masce była u mnie, o czem zresztą wie już całe miasto.

— Panie! — krzyknął literat — przysięgam na honor, że ja o pani Leontynie nikomu nie powiedziałem... Co większa, dopiero od kilku tygodni wiem od jej męża, że ona i błękitna maska były jedną osobą!... Ja jestem bardzo dyskretny, panie Jerzy!

— Wierzę panu, wierzę! — odparł Sielski z uśmiechem. — Dodam jednak, że to, co pan dziś usłyszysz i zobaczysz, możesz całemu światu ogłosić... Będę panu nawet wdzięczny!...

— I zobaczę? — szeptał przerażony literat. — Panie Sielski! uwolnij mnie pan od tej nieprzyjemności... Nie lubię dramatów!

— No nie obawiaj się pan, niema czego! — uspokajał go Sielski.

Ton ten ubódł literata.

— Ja się nie obawiam, panie Sielski, — rzekł z powagą — tylko... nie lubię awantur!

— Dla takiego materiału — przerwał Jerzy — warto być świadkiem awantury. To, co pan zobaczysz, możesz opisać w powieści, w komedji, a nawet w wiadomościach bieżących... Wyświadczysz mi pan nawet przysługę, zrobiwszy z tego dziennikarski użytek.

Roman pierwszy raz w życiu zakipiał.

— Zostaje, panie! — wykrzyknął — ażeby pana przekonać, że się awantur nie lękam. Ale, panie... jeżeli panu o rozgłos chodzi, to racz się udać do kogo innego, bo ja, panie, daję słowo honoru, panie, nic nikomu o tem, co zobaczę, nie wspomnę!... Ja, panie, nie jestem plotkarzem, tylko... literatem i umiem, panie, cenić swoje stanowisko!

Powiedziawszy to, Roman z wielkim impetem rzucił się na fotel. Potem podniósł oczy na sufit i począł gwizdać przez zęby.

W tej chwili wszedł Lachowicz.

Obaj przeciwnicy, stanawszy na środku pokoju, zmierzyli się wzrokiem, bladzi, milczący... Wreszcie Sielski zmienionym głosem rzekł.

— Proszę siąść!

Po takim przywitaniu na twarz Lachowicza wystąpiły czerwone plamy. Nie rzekł jednak ani słówka i usiadł.

Jerzy tymczasem wyszedł do drugiego pokoju,

zabawił tam parę minut, wypił szklanekę wody i wrócił z jakimś papierem w rękę, który podał literatowi, mówiąc:

— Racz pan odczytać.

Pan Roman był zielonawy; ponieważ jednak należał do ludzi, którzy, wlaższy w awanturę, umieją utrzymać się na wysokości stanowiska, rzekł zatem:

— Domyślam się, że papier ten obchodzić musi pana Lachowicza i uważam za właściwe spytać: czy pan Lachowicz zgadza się na to, ażebym ja przeczytał?

— Bardzo proszę! — odparł zagadnięty.

Roman czytał:

„Ażeby nie robić niebezpiecznej konkurencji malarzowi Ludwikowi Lachowiczowi, obowiązuję się nikomu nie okazywać znakomitego obrazu p. t. „Ostatni dzień skazanego“. Wzamian za to tenże Lachowicz obowiązuję się nie zdradzić przed nikim wiadomej mu tajemnicy, dotyczącej honoru kobiety“.

Następowały nazwiska i data.

— Czy to jest własnoręczne pismo pańskie? — zapytał pan Roman Ludwika.

— Tak! — odparł Lachowicz.

Literat złożył papier, nie wiedząc, co mu w tej chwili robić wypada: śmiać się, czy płakać?

— Teraz rozumiesz pan, panie Romanie, dlaczego przez półtora roku nie malowałem? — spytał Sielski.

— Niebardzo...

— Domyślasz się pan powodów mego chorobliwego usposobienia, moich dziwactw, mego... mego upadku!... — wyjąkał.

— Sądziłbym, że akt podobny należałoby ze stanowiska humorystycznego... — wtracił nieśmiało Roman.

Wzrok Sielskiego był prawie obłąkany, twarz mu pałała; cały drżał jak w febrze.

— A teraz powiedz pan, — ciągnął dalej — czy taki, jak ja, niewolnik ma prawo do zemsty, skoro piękną krępujące go więzy?...

Roman patrzył na niego zdziwiony, lecz nie odpowiedział nic.

— Ach, milczysz pan!... — wykrzyknął Sielski. — Chciałbyś mi może prawić o szlachetnem przebaczeniu uraz, o wspaniałomyślności?... Nic z tego!... Przez półtora roku, które dla niego było pasmem triumfów, a dla mnie zgryzot, żyłem tylko nadzieją zemsty! Dziś mam ją w rękę i nie opuszczę sposobności.

O uspokojeniu upojonego nienawiścią szaleńca myśleć nawet nie było można. Roman czuł to.

— A teraz ty mnie posłuchaj, panie Lachowicz! — rzekł znowu Jerzy. — Mieszkam, jak widzisz, na dole... Wychodzę niekiedy na spacer i okna nie zamykam... Zły to zwyczaj, tym razem jednak błogosławię go...

Przerwał zadyszany; kilka razy odetchnął głęboko i mówił dalej:

— Dziś, kiedy powróciłem do domu, zastałem w drugim pokoju jakiegoś pocztowego pijaka, któ-

ry mi, zapomocą mego własnego noża, biurko wyłamywał...

— Mój ojciec!... — krzyknął Lachowicz, zrywając się na równe nogi.

Roman skamieniał.

— Tak!... twój ojciec!... — ciągnął niemiłosierny triumfator. — Twój ojciec!... sam mi to powiedział...

— Gdzie on jest?...

— Śpi obecnie w komórce, z której niema wyjścia, i czeka na lokal w więzieniu! Najwyżej za pół godziny przyjdzie policja...

Lachowicz padł na krzesło, a Roman szepnął:

— Panie Jerzy!... żart za daleko posunięty... Nie godzi się...

— Nie godzi się aresztować złodzieja? — zawołał Sielski, wybuchając śmiechem. — A godziło się brać w niewolę duszę ludzką?... Godziło się zgangrenować ją tak, żeby jedyną dla niej rozrywką była myśl o zemście?... Godziło się upodlić człowieka?...

Lachowicz ochłonął i odezwał się już prawie spokojnym głosem:

— Słuchaj, Jerzy!... Zrobisz, jak zechcesz, ale pierwszej zastanów się nad tem, co ci powiem. Zgóry ostrzegam, że nie myślę cię prosić o litość; pragnę tylko objaśnić kilka faktów...

— Słucham! słucham!... Mamy czas... — odparł szyderczo Sielski.

— Człowiek ten, mój ojciec, — mówił Lachowicz — był raz w więzieniu, potem zebrał, wresz-

cie rozpił się i dziś jest prawie obłąkany. W życiu mojem odegrał on smutną rolę, ponieważ codziennie gotów był zrobić to, co dziś zrobił. Kiedym był ubogi, on pochłaniał cały mój zarobek, on był przyczyną, żem musiał znosić od ludzi tysiące upokorzeń, między którymi do najmniejszych należały długi, zaciągane u ciebie... Robiłem, co mogłem, aby jego od więzienia, a nazwisko od powtórnej hańby uwolnić! Czy jednak myślisz, że dbałem tylko o siebie?... Nie! Mam młodą siostrę, którą sam prawie wychowałem, a która niewinna temu, że jej ojciec jest szaleńcem!... O nią mi chodziło, dla niej cierpiałem i przez pamięć o jej przyszłości przebaczałem nawet tym, którzy, jak ty... policzkowali mnie moralnie!... Pokazałeś panu Romanowi tę zabawną umowę, między nami zawartą, którą pisałem własnoręcznie. Ale czyś powiedział mu o tem, żeś mnie zmusił do napisania jej?... Mówisz, żem przez półtora roku trzymał w niewoli duszę twoją, żem w tobie talent zabił? A czy moja dusza nie jest od kilku lat w niewoli i czy ty sam nie jesteś jednym z ogniw tych kajdan, które ją opasały? Ale mniejsza o to! Mój ojciec okradł cię, oskarż go więc... Ja się z pewnością mścić nie będę, ponieważ muszę siostrę uratować od hańby...

Niezamknięte drzwi przedpokoju otworzyły się. W sieni słyszać było stapanie kilku ludzi i brzęk pałasza; na progu sali ukazał się jakiś mężczyzna w cywilnem ubraniu.

Roman wpił ręce w fotel, a Lachowicz blady, lecz spokojny, wystąpił na środek pokoju i chciał

coś powiedzieć. W tej chwili jednak Sielski usunął go na bok i szedł do przybyłego:

— Przebacz pan, żem go niepotrzebnie fatygowałem. Przez roztargnienie zostawiłem w kąpielni zegarek i posadzałem mego służącego. Ale zegarek się znalazł...

— A my jesteśmy już niepotrzebni! — dokończył nieznamy z dwuznacznym uśmiechem. — Na drugi raz jednak polecam się pamięci pańskiej...

Nieznamy wyszedł. Stapania i brzęk pałasza rozległy się znowu i stopniowo ucichły na ulicy...

— Panowie! — odezwał się po chwili głęboko wzruszony Roman. — Myślę, że obaj jesteście uczciwymi ludźmi i że powinniście sobie podać ręce!

Ale przeciwnicy nie odpowiedzieli nic na to wezwanie. Sielski, milcząc, wziął świecę, wyjął z kieszeni klucz, i wszyscy trzech poszli do komórki.

Teraz dopiero w panu Romanie człowiek począł ustępować miejsca literatowi, i znakomity powieściopisarz zadał sobie pytanie w duchu: czy nie nadszedł już czas do wydobycia katalogu i zapisania w nim kilku spostrzeżeń?

Tymczasem Sielski otworzył drzwi komórki i podniósł świecę do góry. Blask jej padł na starca, który w najodleglejszym kącie siedział na podłodze skurczony tak, że głową dotykał prawie kolan.

Literackie instynkty Romana znowu pierzchły. Gdy starzec podniósł głowę, Roman poznał w nim owego żebraka, któremu przed półtora rokiem dał na wódkę i którego Lachowicz prawie gwałtem porwał z ulicy. Literat uczuł w sercu wielką litość

na widok tej tak nędznej i strasznie zmienionej postaci ludzkiej.

Istotnie, ojciec Lachowicza był tylko cieniem samego siebie. Sina prawie twarz jego zapadła się, włosy przerzedziły się jeszcze bardziej, oczy były jakieś mętne i obłąkane...

Przez kilka chwil w komórcie panowało grobowe milczenie. Młody Lachowicz był zgnębiony, a Sielski począł doświadczać wyrzutów sumienia. Zaprawdę! nie godziło się do zemsty używać podobnego narzędzia...

Ochłonawszy nieco, Ludwik zbliżył się do ojca i rzekł:

— Chodźmy!...

Starzec chciał się podnieść, lecz znowu upadł na ziemię. Gdy syn pomógł mu wstać, przeszedł z wolna komórkę, trzęsąc się i nie patrząc na nikogo. Ludwik podał mu rękę, i tak wyszli obaj na ulicę.

Sielski zamknął komórkę, zgasił świecę i zamyślony przeszedł się parę razy po pokoju. Widocznie toczył z sobą jakąś walkę...

Po chwili wybiegł z mieszkania bez czapki i, dopędziwszy obu Lachowiczów, szepnął do Ludwika:

— Przebaczysz mi kiedy?...

Przeciwnicy uścisnęli się pierwszy raz w życiu serdecznie.

Gdy Sielski wrócił do mieszkania, zastał literata nad katalogiem.

— Panie! — zawołał Roman. — Ależ ten stary jest skończonym warjatem i gotów jutra nie doczekać...

— Tak... on jest bardzo wynędzniały — odparł Sielski.

W kilka tygodni potem ojciec Lachowicza umarł, a w parę dni później Ludwik rzekł do siostry:

— Zosiu! ojciec już nie żyje...

Zosia rozplakała się i upadła bratu na szyję, mówiąc:

— Tyś moim ojcem i matką!...

Oboje byli na pogrzebie, po którym Ludwik opowiedział historję lat ostatnich, nie wspominając jednak o stosunkach z Sielskim i katastrofie, która poprzedziła śmierć starca. Nie chciał on kłaść opisem występków dziewiczej duszy, ani obciążać hańbą pamięci ojca w oczach córki.

Dla dopełnienia obrazu, jako ciekawą ilustrację charakteru narwanego, lecz uczciwego literata, przytoczymy list napisany przez niego do Lachowicza:

„Szanowny Panie!

Uważam za właściwe donieść panu, że przy wiadomej mu rozmowie w mieszkaniu S. nie byłem, nic nie słyszałem i nic nie pamiętam. Sądzę zatem, że zarówno mnie, jak i Jerzemu zrobisz prawdziwą przysługę, wygładzając (ile to możliwe) z pamięci swej smutne fakty, po których najmniejszy ślad nawet zostaćby nie powinien.

Szczery przyjaciel

Roman“.

15. Gorzkie owoce.

W usposobieniu Jadwigi zaszła wielka zmiana. Usłyszawszy z ust Sielskiego, że ten, którego potajemnie kochała, jest nikczemnikiem, wpadła w chorobę, zwaną rozczarowaniem, szczególnie niebezpieczną w jej wieku.

Nie można powiedzieć, aby nie słyszała nic o ludziach złych i występnych; dotychczas jednak występki miał dla niej wartość abstrakcyjną. Znała go ze sceny, albo z książek, nie zaś z osobistego doświadczenia; brzydziła się złem, ponieważ przyzwyczajono ją do tego od dziecka, lecz na tem kończyło się wszystko.

Teraz dopiero, uwierzywszy słowom Sielskiego, uczuła się skrzywdzoną i w całym znaczeniu pojęła praktyczną wartość złego. Ten, którego kochała, był niegodny, oszukał ją, zranił jej serce... A zdawał się być tak nieszczęśliwym i szlachetnym!

Jedna zmiana wywołała tysiąc innych. Złe najdrobniejsze olbrzymiało w jej oczach, rodzaj ludzki zniżył się. Poczęła wszędzie podejrzewać fałsz i przewrotność; poczęła nienawidzić to, co nie zasługiwało na wzgardę, wyśmiewać to, co mogło być godne szacunku, wątpić wreszcie o wrzystkiem, o wszystkich, z wyjątkiem chyba osób najbliższych.

Stan ten nie mógł trwać długo, niemniej jednak w skutkach okazał się fatalny: przyspieszył bowiem małżeństwo, które dotychczas, pod wpływem

zdrowszych poglądów na życie, do nieokreślonego terminu odsuwała.

— Na co czekam? — myślała Jadwiga — Witold niewątpliwie ma swoje złe strony, lecz ma i dobre, nadewszystko zaś... nikt nie zarzuci mu nikczemności. Idealnym mężem nie będzie, ale gdzie dziś szukać ideałów!... Lubi się bawić, nie będzie mi żałował pieniędzy na stroje i wyjazdy, ja zaś będę panią w domu... Bierzmy od życia to, co jest możliwe, gdyż inaczej możemy je zmarnować...

Myśląc tak, płakała.

W połowie września braterstwo Janowie i narzeczony pan Witold przybyli do Warszawy. Ślub odbył się po cichu, poczem państwo młodzi wyjechali na wieś. Od tej chwili dla Jadwigi było już wszystko skończone.

Tymczasem Lachowicz, w kilka dni po pogrzebie ojca, wyjechał z Zosią za granicę, skąd powrócili dopiero po upływie półtora roku, w zimie.

Ludwik myślał o Jadwidze często, lecz bez żadnej nadziei. Wprawdzie niechęć między nim a Sielskim już nie istniała, stosunki przecież nie poprawiły się, zmiany bowiem podobne wymagają dłuższego czasu. Wprawdzie główny ciężar życia jego leżał już w grobie, niemniej jednak pozostały fatalne wspomnienia.

Przypuściwszy nawet, że Sielski nie czuł już do niego antypatii, że chciał dotychczasową niesprawiedliwość wynagrodzić, — lecz czy mimo to Jadwiga wyszłaby za niego?... Miałże się Lachowicz oświadczyć, miałże mu powiedzieć: „Poprzyj mo-

ją sprawę u Twojej kuzynki!“ Lecz czy wówczas między nimi dwoma nie stanąłby cień człowieka, który okradł Sielskiego...

Wszystkie te okoliczności żywo stały w umyśle Lachowicza, odpychał więc marzenia o związku z Jadwigą. Czas zapewne zatarłby jedno, zmniejszył drugie i wkońcu możeby skojarzył małżeństwo; na nieszczęście jednak, czas ten był za krótki, a fakty szybko biegły.

W epoce, kiedy Lachowicz powrócił z siostrą do Warszawy, przyjechał tam pan Witold z żoną. Czy Jadwigę ciągnęły zabawy, czy wspomnienia?... Trudno zgadnąć. W każdym razie państwo Witoldowie otworzyli dom na wielką stopę i przyjmowali liczne i wesołe towarzystwo.

Dla Jadwigi nastał teraz czas nowej przemiany. Przed rokiem, z wysokości uczuć i poglądów idealnych, spadła w przepaść pesymizmu, obecnie poczęła się wznosić do poziomu, na którym stoją ludzie zwykli. Do męża swego nie miała ani wstrętu, ani osobiwej sympatji; on także niewiele się nią zajmował. Z niedawnych rojeń i smutków śmiała się dziś; natomiast jednak poczęła gustować w licznych i ożywionych zebraniach i przepadała za tańcami.

Jerzy spostrzegł to, dziwił się i niejednokrotnie wspominał, że ta namiętna manja tańczenia może mieć złe następstwa. Na wszystkie przecież jego uwagi odpowiadała mu stale:

— Cóż chcesz?... taniec jest jedyną moją rozrywką, upaja mnie!

— Ale może ci zaszkodzić.

— Ach! zaszkodzić... W takim razie, umierając, powiem sobie, żem przetańczyła życie. A i to coś warte!

— Przetańczyć życie?... smutna rzecz! — zauważył Sielski.

— Wolałbyś więc, ażebym je przeplakała?...

Jerzy potrosze odgadywał, że stosunki kuzyny z jej mężem nie należą do najrozkoszniejszych. Ostatni więc argument zamknął mu usta.

Po powrocie Lachowicza, Sielski spotkał się z nim na ulicy. Kilkunastomiesięczny rozdział i namysł uspokoiły ich; zawiązała się dość serdeczna rozmowa, w końcu której Sielski rzekł:

— Chciałbym ci złożyć wizytę...

— Czekam jej niecierpliwie — zawołał Ludwik.

— Właśnie teraz mieszkam razem z siostrą, będzie ci więc miał kto robić honory...

Rozeszli się bardzo zadowoleni. Sielskiego cieszyło, że dawny przeciwnik nie czuje do niego żalu. Lachowiczowi zaś przyszło na myśl, że na tej drodze zbliży się może do Jadwigi, a może!...

W parę dni potem Jerzy dotrzymał obietnicy i odwiedził Ludwika.

— Przepysznie mieszkasz — zawołał gość. — No, i mówić tu, że u nas sztuka nie popłaca!...

— Przed dwoma laty miałem takie same dochody, a jednak mieszkalem gorzej — odparł Ludwik. — Cały sekret leży w tem, że obecnie nie artysta, lecz kobieta gospodaruje u mnie.

Jerzy chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle o wszy-

stkiem zapomniał. We drzwiach salonu ukazała się Zosia, owa brunetka, którą widział w teatrze i na fantowej loterji.

— Pan Sielski... Moja siostra Zofja... — zarekomendował Lachowicz.

Sielski złożył głęboki ukłon, lecz nie mógł się zdobyć nawet na najbardziej oklepany frazes. Zosia go jednak wyreczyła:

— Bardzo mi przyjemnie poznać osobiście pana, którego znam już z opowiadań brata. Ludwik często wspominał o panu, jako o swoim kasjerze w ciężkich czasach...

Mówiła to głosem tak naturalnym i serdecznym, że Sielski zmieszał się jeszcze bardziej. Jakto, więc w epoce, kiedy on nienawidził i lżył Lachowicza, Lachowicz pamiętał tylko o jego usługach?

Powoli jednak oprzytomniał, choć sumienie gorzkie robiło mu wyrzuty.

— My zresztą do pewnego stopnia jesteśmy już znajomymi — mówiła Zosia. — Spotkałam pana raz na loterji fantowej... Ale pan pewnie tego nie pamięta?...

— Owszem, pani! pamiętam bardzo dobrze... — odparł Jerzy, czując dziwne ciepło w okolicy serca.

— Spotkaliśmy się przy ciągnięciu losów — objaśniała Zosia Ludwikowi. — Pan Sielski chciał, ażeby losowała przed nim, ja zaś wolałam drugie miejsce. No!... i przegraliśmy oboje... — dokończyła ze śmiechem.

Ludwik zamyślony słuchał jej jednym uchem.

Za to Sielski stanowił bardzo uważne i zachwycone audytorjum.

Rozmowa, zaczynająca się od wspólnych wspomnień, ożywia się łatwo. To też Jerzy i Zosia, po upływie kilkunastu minut, byli już dobrymi znajomymi, tak dobrymi, że Sielski postanowił wybać nieco młodą osobę.

— Jakże pani czas spędza w Warszawie po powrocie z zagranicy? — spytał.

— Wybornie!... Mam dużo zajęcia około naszego gospodarstwa. Ludwik dostarcza mi mnóstwa książek, a przytem uczy mnie rysować.

— Wątpię jednak, ażeby te prace zastąpiły towarzystwo... — wtrącił Sielski.

— O, i towarzystwo mamy liczne! Bywają u nas różni panowie, młodzi i starzy, i kilka dam...

Jerzy, usłyszawszy o młodych panach, uczuł się mniej zadowolony.

— W takim razie — rzekł — obawiam się, że nowe znajomości mogą być mniej przyjemne?

— Ja zaś sędzę, że niekiedy mogą być przyjemniejsze od dawnych...

Sielski bystro spojrzał jej w oczy.

Aie Zosia odzyskała już zimną krew i odparła z wyrazem niezrównanej niewinności:

— Naturalnie! Pan wie, że nowość zawsze bawi.

Tym razem zarumieniała się jeszcze bardziej, czując, że zbyt gorliwie naprawia swą nieostrożność.

Tym sposobem godzina zeszła im, jak chwilka. Wypadało wyjść. Sielski wstał z krzesła i pożegnał

młodych gospodarzy, którzy go z nieudaną szczerością prosili o częstsze wizyty.

— Bardzo dobrze — odparł Jerzy — ale w takim razie będę państwa prosił o wzajemność. Nie posiadam wprawdzie rodziny, lecz mam kuzynkę, którą Ludwik zna tak, jak ja panią do dzisiejszego dnia znałem. Zrobił nawet jej portret z pierwszego rzutu oka...

— Czy podobna? — zawołała Zosia. — A nie mi o tem nie mówiłeś?...

— Stało się to zupełnie przypadkowo! — objaśnił Ludwik niepewnym głosem.

— Pragnę więc — mówił dalej Sielski — ażeby przypadek ten posłużył nam do zawarcia bliższych stosunków. Kuzyna moja wprawdzie mieszka stale na wsi, obecnie jednak bawi z mężem w Warszawie i każdą zimę ma zamiar tu przepędzać.

Ludwikowi, gdy to usłyszał, czarne i żółte płatki przebiegły przed oczyma.

Sielski zaś mówił dalej:

— A więc spodziewajcie się państwo wkrótce nowych gości. Tymczasem sam ich będę zastępował jak najczęściej.

Gdy Sielski pożegnał ich i wyszedł, Zosia, klaszcząc w ręce, zawołała:

— Ach! jak to dobrze!... Dopiero będziemy mieli przyjemne towarzystwo!...

— Podobał ci się Sielski? — spytał Ludwik, patrząc w ziemię.

— Wiesz co, że mi się podobał!... Najprzód, jest bardzo miły, a nawet... przystojny. Powtórę jest

ukształcony i rozsądny... Dalej — jest malarzem, tak jak i ty, co go bardzo podnosi w moich oczach — no — a wreszcie... Jest on jakiś inny, niż ci wszyscy młodzi, których widziałam dotychczas...

— Jakiś inny! — szepnął Ludwik.

— Cóż to znaczy?... Czy się źle wyraziłam?... — spytała zapłoniona Zasia.

— Nie mówię, że źle... Sądzę tylko, że ci się *bardzo* musiał podobać?

Zosia nie odpowiedziała nic, lecz pobiegła szybko do okna oglądać kwiaty.

Brat nie uważał na to: doświadczył w tej chwili uczuć skazańca, który, zasnawszy z niejakimi wątpliwościami co do swego przyszłego losu, ocaknął się nagle na szafocie!

Jerzy był zachwycony. Podziwiał szlachetność Lachowicza i piękność jego siostry, a nadewszystko dziękował Bogu za natchnienie go uczuciem wspaniałomyślności w chwili, kiedy los tych dwojga ludzi znajdował się w jego ręku.

— Cobym zrobił, — szepnął z trwogą Sielski — gdybym Zosię, zamiast w salonie jej brata, spotkał w izbie sądowej, obok oskarżonego przeze mnie ojca?...

Pod wpływem wspomnień o miłej brunetce, Jerzy czuł w sercu coraz większą litość nad obłąkanym, a dziś już nie żyjącym starcem, i wyrzucał sobie niesprawiedliwe postępowanie z Lachowiczem. Przysięgał również, że zrobi wszystko, aby wynagrodzić krzywdy, wyrządzone Ludwikowi, i pozyskać jego przyjaźń.

W taki to sposób zmieniają się ludzkie uczucia!
Tego samego dnia poszedł Jerzy do Jadwigi.
Zastał ją, wybierającą się znowu na bal.

— Jakto — zawołał — więc i dziś będziesz tańczyła?

— Powiedziałem ci już, że chcę przetańczyć życie! Wy, mężczyźni, macie wino, karty i zakazane miłości, my tylko taniec...

— Argument niezły, — przerwał Sielski — mnie jednak w tej chwili bardzo nie przypada do gustu.

— Czy miałeś zamiar namawiać mnie, abym prowadziła życie klasztorne?

— Wcale nie. Chciałem tylko namówić cię do związania stosunków z dwiema osobami, z którymi, jak sędzę, nie będziesz miała sposobności zetknąć się w dzisiejszych towarzystwach.

— Któż to taki? — spytała Jadwiga, patrząc w lustro.

— Zdziwisz się, gdy ci powiem, — odparł zmieszany nieco Jerzy.

— No — przecież?...

— Lachowicz z siostrą...

Jerzy nie śmiał oczu podnieść na Jadwigę, nie zauważył więc, że zbladła.

— Który to Lachowicz?... odezwiała się wreszcie Jadwiga.

— Ten, który wymalował twój portret...

— Jakto, on? Wszakże tak niedawno jeszcze nazywałeś go nikczemnikiem?... Dobrze pamiętam ten wyraz!

Sielski był zgnębiony.

-- Droga kuzynko, — rzekł — wyznaję, żem się omylił. Dziwny zbieg okoliczności rzucił bardzo niekorzystne światło na jego charakter... ale teraz poznałem go lepiej...

Jadwiga, siedząc nieco bokiem do Jerzego, pochyliła głowę i skubała palcami chustkę.

— Czy ta siostra jest ładna?...

— O, prześliczna! — zawołał Sielski. — Wesoła, rozmowna, dowcipna... Będziesz mi wdzięczna za tę znajomość.

-- Nie będę...

— Dlaczego?

— Ponieważ jej nie zrobię.

--- Cóż znowu?...

— Mówisz, że omyliłeś się raz, nazywając pana Lachowicza nikczemnikiem; któż mi więc zaręczy, że się nie mylisz teraz?

— Ależ, Jadziu, przekonasz się.

— Dziękuję za tego rodzaju próby!

Jerzy zirytował się.

— Kochana kuzynko! — zawołał. — Skrzywdziłem mimowoli człowieka w twojej opinii i dziś chcę to wynagrodzić. Widzę jednak, że upór kobiety jest wyższy nad dobre postanowienia.

— Traktujesz mnie, jak pensjonarkę, — upomniała go Jadwiga -- a zapominasz, że już jestem mężatką... — dodała z gorzkim uśmiechem.

— O, wiem o tem, że jesteś mężatką!... Dajesz mi to codzień do poznania. Zmieniłaś się bardzo, tak pod względem gustów, jak i uczuć...

— Cha! cha! — śmiała się Jadwiga.

— Doprawdy, Jadziu, boli mnie to — mówił rozdrażniony Sielski. — Prawie nie poznaję ciebie...

...Szydzisz z rzeczy poważnych i wogóle łżej niż dawniej zapatrujesz się na życie...

Jadwiga wstała z twarzą pałającą.

— Ty mi to mówisz?... — rzekła słumionym głosem. — Ty mi zarzucasz lekki pogląd na życie?... Zapytaj więc swego sumienia, kto z nas jest lekkomyślniejszy: czy ty, który p r z e z o m y ł k ę nazywasz człowieka nikczemnikiem, a po roku odwołujesz, czy ja... która... lękam się stosunków z tym... Lachowiczem i jego siostrą!

I, powiedziawszy to, wybuchła płaczem.

— Jadziu!... co tobie? — wykrzyknął Sielski, chwytając ją za rękę.

A potem, jakby go nowa myśl oświeciła, spytał drżącym głosem:

— Tyś dawniej znała Lachowicza?

Jadwiga w oka mgnieniu zapanowała nad sobą.

— Znałam trzy prawidła, — rzekła — które we mnie wpojono od dzieciństwa. Pierwsze, że nie należy potępiać bliźnich bez dowodów; drugie, że trzeba unikać ludzi, mających złą sławę; a trzecie... Trzecie, że nie dobrze kłócić się z kobietami!... — dodała z uśmiechem.

Potem, podawszy mu rękę, wyszła do swego pokoju.

Sielski był kompletnie odurzony i, jakby odpowiadając na jakieś przypuszczenie, rzekł do siebie:

— To niepodobna!... sam muszę być tajemnie

zakochany, skoro wszystkich o skrytą miłość posądzam!

Obawy jego do reszty rozproszył pan Witold, który wszedł w tej chwili.

— Powiedz mi, mój drogi, — spytał Jerzy — co to znaczy, że Jadzia jest teraz jakaś nieswoja?...

— Po czem poznajesz?

— Jest drażliwa, egzaltowana, łatwo się gniewa... —

— Skłonna do płaczu... Czy tak?... — dopowiedział Witold, wybuchając śmiechem.

— No, tak! — potwierdził Jerzy.

— Dowiesz się o tem w lecie! — odparł wesoło szwagier.

— Acha!... — zawołał Jerzy, machnąwszy ręką, i zupełnie uspokojony wrócił do siebie.

Pan Witold tymczasem powitał żonę i miał sposobność przekonać się, że Jadzia tego wieczoru była kapryśniejsza, niż zwykle.

— Myślę, duszko, — rzekł Witold, zaczynając rozmowę, — że możesz się już ubierać.

— Nie pojadę! — odpowiedziała Jadwiga krótko.

— Jak chcesz! ja jednak pojadę...

Gdy był już ubrany i kazał zajechać powozowi, panna służąca doniosła mu, że pani kończy toaletę.

— A zatem jedziesz, Jadziu? — spytał mąż.

— Naturalnie!... Cóżbym tu sama robiła?

Siadła do powozu w dość spokojnym humorze, lecz gdy konie stanęły przed bramą, rzekła nagle do męża:

— Wiesz co... Namysliłam się i wrócę do domu!

— Nie bądź-że dzieckiem! coś ludzie o tem pomysła?

— Stanowczo wracam! — odparła — słaba jestem, głowa mnie boli, czuje się rozdrażniona...

— No... wysiądź! Gdy wejdiesz na salę, wnet ozdrowiejesz.

— Jeszcze raz powiadam ci, że nie wysiądę, i proszę, ażebyś nie wspominał nawet o mnie.

Mąż, widząc, że nie przekona jej, dał za wygraną i sam poszedł na bal, rozkazując stangretowi odwieźć panią do domu. Gdy konie zawróciły, Jadzia upadła na siedzenia powozu, zanosząc się od płaczu.

Po kilku dniach jednak znowu znalazła się na balu, i od tego czasu rzucała się w wir zabaw z gorączkowym zapałem. Tancerze byli nią zachwyceni, lecz wielbiciele, zrażeni chłodem, jaki w przyjmowaniu hołdów okazywała, mówili, że pani Jadwiga ma serce... w nogach!

16. Co wyrabia miłość z ludźmi.

Z krótkiego i tragicznego łańcucha stosunków, jaki istniał między Jadwigą i Lachowiczem, Sielski znał tylko dwa ogniwa. Jednem był portret Jadzi, zrobiony przez Lachowicza, drugim jej wybuch, spowodowany wiadomością, że Jerzy chciał ich zapoznać z sobą.

Bystrego i życzliwego obserwatora fakty te mogłyby wprowadzić na drogę zbliżonych do prawdy

domysłów. Sielski przecież, jakkolwiek życzliwy, bystrym obserwatorem nie był i zadawała się bardzo prostem tłumaczeniem niebardzo zwykłych wypadków. Nie dziwił się, że Lachowicz wymalował portret osoby, którą zobaczył na ulicy, — Jerzy bowiem sam robił to niejednokrotnie. Uniesienie Jadwigi było nieco osobliwsze. Witold je przecież w wystarczający sposób objaśnił.

Do rozwikłania więc subtelnej tajemnicy, Sielski nie posiadał żadnych danych, a nadewszystko — swobodnego umysłu, który teraz w sposób niesłychanie despotyczny opanowała Zosia.

Widывał ją po kilka razy na tydzień i tonął — jak mucha w miodzie. Codzień odkrywał w niej nowe zalety, a gdy już wszystkie poznał, począł odkrywać coraz wyższe ich stopnie.

Ponieważ stare grzechy odzywać się lubią w sumieniu, niekiedy więc przypominał sobie panią Leontynę i — wstydził się. Istotnie, co za porównanie! Tamta była kokietka, ta niewinna i naiwna, jak kwiat. Tamta imponująca, ta skromna i uległa. Tamta wreszcie miała lat dwadzieścia osiem, ta osiemnaście!

W taki to cudowny sposób zmieniło się żebracze dziecko pod wpływem starannego wychowania i miłości braterskiej. Mnóstwo podobnych skarbów w zawiązkach tarza się wśród barłogu, — nie wszystkie jednak wychodzą na jaw, nie wszystkie mają sposobność rozwinąć się...

W domu Lachowicza, Sielski bywał teraz bardzo częstym gościem. Wizyty jego kłopotaty

wprawdzie Ludwika, lecz nie niepokoiły. Często też odchodził do swej pracowni, która obok salonu leżała, zostawiając Zosię i Jerzego samych.

Ufał on prawości Sielskiego i taktowi Zosi, a nadewszystko nie chciał ciągłym nadzorem zaostreć stosunku.

Niejednokrotnie też powtarzał w duchu:

-- Co ma być — będzie!...

Sielski przypuszczał, że Zosia ma dla niego sympatię; na nieszczęście jednak, pewności nie miał żadnej. Trudno mu było zbadać tę naiwną panienkę.

-- Pewnego razu, w czasie pogadanki we dwoje, rzekł:

-- Mam zamiar wyjechać do Ameryki.

— Kiedy? — zapytała Zosia, robiąc wielkie oczy.

— Może w czerwcu, a może... Nie wiem jeszcze kiedy...

Zosia posmutniała.

— Ciekawy jestem — dodał Jerzy — czy też pani będzie mnie jeszcze pamiętała, gdy wrócę?

-- Ach! niech pan nie żartuje!

-- Więc pani uważa to za żarty?

-- Naturalnie!... jakieżby to smutny był dzień, w ciągu którego choć raz nie widzielibyśmy pana...

— Acha! — pomyślał Jerzy — mam cię, ptaszku!...

A potem, powściągając uśmiech zadowolenia, spytał:

-- Więc żałowałaby mnie pani troszeczkę?

-- Rozumie się! Dopiero od czasu, jak pan u nas

bywa, mam z kim rozmawiać o tem... com widziała zagranicą.

Triumfujący uśmiech zamarł na ustach Jerzego.

— Więc pani tylko dlatego zabrania mi jechać do Ameryki?

— Ależ ja nie zabraniam! — odparła Zosia. — Żal mi tylko przyjemnego pańskiego towarzystwa... Zresztą może i lepiej, że pan w tym roku pojedzie do Ameryki, ponieważ Ludwiś ma zamiar zrobić to samo za lat parę. Dopiero będziemy mieli o czem mówić po powrocie!

— Śpi dusza, jak w puchu!... — pomyślał Jerzy, mocno niezadowolony z rezultatu swoich badań.

Zosię znowu badania te gniewały.

— Co on sobie myśli? — pytała w duchu. — Co znaczy ten jego jakiś wyjazd do Ameryki? Czy sądzi może, że będę płakała po nim?... O, i zaraz!

Ściśle rzecz biorąc, kto wie, czyby nie płakała? Nie ulega wątpliwości, że Sielski ją obchodził, że za niego jednego skwitowałaby ze wszystkich innych znajomości. Gdyby nie był taki ciekawy, gdyby tak podstępnych nie rzucał jej pytań, nie kryłaby się ze swoją sympatją. Ale to badanie niepokoiło ją i skłaniało do ostrożności. Im Sielski badał natarczywiej, tem instynkt Zosi głośniej wołał na nią, aby się ukrywała z uczuciami. Dlaczego?... Nikt jej tego nie objaśnił, i za nicby też nikogo nie spytała o to.

Niebawem wątpliwości Sielskiego wzrosły jeszcze bardziej. W kilka dni po owej rozmowie

przyszedł na wieczór, i nadspodziewanie zastał męskie towarzystwo. Był tam apatyczny protektor Lachowicza i jacyś dwaj młodzi mężczyźni.

Sielski doznał przykrego rozczarowania.

Naprzód stary hypochondryk zapalał dla niego wielką przyjaźnią i prawie nie puszczał od siebie, a powtórę, ile razy Jerzy miał chwilkę wolną i chciał przemówić do Zosi, tyle razy przeszkadzało mu młodzi goście: pan Józef i pan Alfons.

Tego wieczoru spotkało go wiele goryczy i wiele przygód. Jerzy dostrzegł, że Zosia równie słodko patrzy i równie łaskawie rozmawia z nim, jak ze starym hypochondrykiem i dwoma młodzieńcami. Pocieszał się jednak nadzieją, że za to chętniej przyjmować będzie jego usługi.

Pole do nich otworzyło się niebawem. Zosia chciała usiąść, i wnet wszyscy kawalerowie skoczyli do krzeseł. Pan Alfons i pan Józef chwycili jedno, lecz mimo to, podali je prędzej, niż Jerzy swoje. Zosia siadła na krześle, podanem przez Jerzego. Sielski triumfował.

Nieco później, stary hypochondryk prosił Zosię, aby zaśpiewała. Wnet rączy jak jelen pan Józef ustawił świece na fortepianie, a pan Alfons wyszukał nut, z widocznym zamiarem przewracania kartek. Urzeczywistniając swój plan, stanął przy fortepianie z ręką w pogotowiu i zapytał:

— Czy pani pozwoli?

— Jeżeli pan łaskaw, to będę prosiła o znalezienie mi Traviaty, — odparła Zosia.

Pan Alfons rzucił się do szukania Traviaty, któ-

rej jednak znaleźć nie mógł. Zosia tymczasem, nie czekając na niego, zagrała parę akordów.

— Chce więc, ażeby jej nuty przewracał! — pomyślał Jerzy i pewnym krokiem posunął się ku fortepianowi.

— Czy mogę prosić pana Józefa o przewracanie mi nut?... — spytała Zosia, nie patrząc nawet na Sielskiego.

Jerzy osłupiał, pan Alfons zrobił „minę“, a pan Józef spojrział na obu z triumfem.

Wypadek ten był ciosem dla Sielskiego. Stracił humor nieborak i postanowił dosiedzieć do końca wieczoru, jak sowa.

Ale Zosia, skończywszy śpiewać, niby niechcący zbliżyła się do niego i, korzystając z ogólnej rozmowy pozostałych gości, rzekła półgłosem:

— Dlaczego pan taki... nie w humorze?

Pieszczotliwy głos jej rozbroił Sielskiego. Mimo to, postanowił się zemścić i odparł obojętnie:

— Głowa mnie trochę boli.

— Doprawdy? — spytała Zosia, przymilając się.

— Istotnie tak jest.

— Jaka nagła choroba — mówiła dalej z uśmiechem. — Czy nie sądzi pan, że jednak możnaby znaleźć na nią lekarstwo?...

Sielski już nie udawał chorego.

— Możesz mnie pani uleczyć jednym słowem!... — rzekł trochę za gorąco.

— Czy tak? Jakież to?...

— Prostym rozkazem — odparł Sielski namiętnie.

-- W takim razie ka ę panu podać herbaty z cytryną.

I odeszła, a potem oczekując na herbatę, poczęła wesoło rozmawiać znowu z panami Józefem i Alfonsem.

Sielski, tak ochłodzony, pozostał na swem miejscu, mocno żałując, że Warszawa nie jest Turcją, a on sułtanem. Niezawodnie zabroniłby poddanym swoim pić herbaty z cytryną, a w dodatku panom Alfonsowi i Józefowi kazałby głowy poucinać.

Utrapienie jego wzrosło jeszcze bardziej, gdy go Zosia naprawdę poczęstowała przyobiecane lekarstwem, i gdy dwaj młodzieńcy, z trudną do opisaną beczelnością, usiedli przy stole, jeden po prawej, drugi po lewej stronie pięknej gosposi, nieustannie narzucając się jej z usługami.

Około dziesiątej hypochondryk począł głośno ziewać. Okoliczność ta goryczą napęłniła serca dwóch młodzieńców i Sielskiego, który jednak usiłował być wesołym, nie chcąc w jednym szeregu stawać ze swymi donyślnymi, a tak serdecznie pogardzanymi rywalami.

Ponieważ ziewania starego dziwaka poczęły przybierać charakter demonstracyjny, Sielski wziął kapelusz do ręki.

Dwaj młodzieńcy zrobili to samo, a pragnąc do reszty znękać Sielskiego, poczęli zasypywać Zosię na dobranoc bardzo gwałtownymi komplementami.

Biedny Jerzy czuł się tak nieszczęśliwym i upokorzonym, że stanawszy skromnie za nimi, z budu-

jąca cierpliwością czekał, aż na niego przyjdzie kolej pożegnania...

Zosia jednak nie spieszyła się, i dopiero gdy tamci byli już na progu przedpokoju, zbliżyła się do Sieskiego i, podając mu rękę, ze złośliwym uśmiechem spytała:

— Cóż, dobra była herbata?...

I, powiedziawszy to, pobiegła do starego hypochondryka.

Teraz dopiero spadł Jerzemu kamień z serca. Więc to był obrachowany figiel z jej strony?... No, kiedy tak, to już dobrze, chociaż --- mogłoby być trochę lepiej! Przynajmniej on sam nie gniewałby się za to...

Tymczasem panowie Alfons i Józef wyszli na ulicę, pełni otuchy. Sądząc z ożywionych ruchów ich kapeluszków, Jerzy przypuszczał, że są bardzo zadowoleni i w duchu wyśmiewał ich ślepą zarozumiałość.

— Jednak ona żadnemu z was nie dokucza! --- pomyślał. — Odtąd możecie podawać jej krzesła i przewracać nuty...

Po odejściu trzech konkurentów, Zosia oddaliła się do swego pokoju. Wtedy hypochondryk wystąpił na środek salonu i, patrząc z pod oka na Lachowicza, zawołał:

— Oho... ho!...

— Rozumiem! — rzekł Ludwik z uśmiechem: --- chcesz mi pan nawymyślać?...

— Naturalnie! — krzyknął starzec, chowając rękę

ce do kieszeni. — Kto słyszał, ażeby taka młoda dziewczyna nie miała kobiecego towarzystwa?

Ludwik spoważniał.

— Sam to czuję, ale cóż mam robić? ożenić się?

— Głupi projekt.

— Innej rady nie widzę.

— No, więc jeżeli nie widzisz, to ja ci ją podam: weź starą Skulską do domu.

-- Myślałem już o tem -- mówił zakłopotany malarz; -- ale czy ona zechce?

— Dlaczego nie ma chcieć? Kobieta bez obowiązków, lubi małą...

Wskutek tej rozmowy, po upływie kilku dni pani Skulska sprowadziła się do Lachowicza. Jerzy skamieniał, gdy wszedłszy do salonu, zobaczył obok Zosi jakąś poważną damę, z robotą w ręku.

— Państwo się nie znają? — spytała Zosia. — Pan Sielski... pani Skulska.

— Aaa!... — rzekła dama z ukłonem, majestatycznie spoglądając na Jerzego.

— Zdaje mi się, że już miałem przyjemność widzieć panią dobrodziejkę — odparł Sielski, kłaniając się aż do ziemi.

— Być może — rzekła dama.

— Miałem honor spotkać raz panią w Saskim ogrodzie.

— Ja tam bywam dosyć często.

Suche odpowiedzi zacnej matrony wcale nie dodały energii Sielskiemu. Złorzeczył w duchu damie i czuł pewien rodzaj pretensji do Zosi za to, że jej gdzie nie wyprawiła... Lecz Zosia nie tylko nie my-

ślała odgadnąć tych tajemnych życzeń, a tembardziej zastosować się do nich, lecz jeszcze, jakby na przekór, kręciła się ciągle około damy i robiła jej mnóstwo przysług.

Po półgodzinnej, nader bladej rozmowie, Sielski rzekł:

— Czy panie pozwoli mi zapalić papierosa?

— Bardzo chętnie! — odparła z pośpiechem Zosia.

Pani Skulska, milcząc, surowo spojrzała na Jerzego, który szybko schował do kieszeni już wydobytą papierośnicę.

— Pan nie pali? — spytała zdziwiona Zosia.

— Domyślam się, że pani dobrodziejka dymu nie znosi — rzekł, zwracając się do pani Skulskiej.

Oblicze „pani dobrodziejki” wyjaśniło się.

— Ależ, niech pan pali, bardzo proszę — mówiła pokonana już stara dama.

Pierwsze lody pękły i Sielski powtórnie papierośnicę wy dobył. Wtem traf!... fosfor padł mu na rękę.

— Ach, Boże! — krzyknęła Zosia — co też pan zrobił!

— Mocno się pan sparzył? — spytała troskliwie podeszła dama.

— Trochę... nic... — upewniał Sielski, dziękując niebu za wypadek, który spowodował wykrzyknik Zosi.

Zgodnie z prawidłem o miłości bliźniego, obie damy poczęły się krzątać około okaleczonego młodziana. Pani Skulska chciała mu zaaplikować do

palca gałganek, lecz Zosia, uprzedziwszy ją, przylepiła mu kitajkę.

— Zawsze jednak radziłabym panu udać się do doktora — zauważyła pani Skulska.

— Dlaczego? — spytała Zosia niespokojnie.

— Oparzenia takie bywają czasem niebezpieczne. Nieraz czytałam w „Kurjerze“, że osoby sparzone fosforem traciły rękę, a nawet życie...

Sielski, pragnąc wyzyskać objaśnienia damy i niepokój Zosi, zrobił minę ponurą.

— W każdym razie, — rzekł — niepewność skończy się prędko...

— Cóż to znaczy? — spytała Zosia, bojaźliwie patrząc mu w oczy.

— Jutro o tej porze — ciągnął Jerzy melancholijnie — albo będę zupełnie zdrow...

— Albo? — przerwała Zosia.

— Umrę! — zakończył.

Zosia parsknęła śmiechem.

— Cha, cha... — zawołała. — A to prędko chciałby się pan pozbyć kłopotów doczesnych. Upewniam pana jednak, że nic z tego nie będzie, choćby nawet doktor nie zobaczył tej okropnej rany. Może się pan nie fatygować do niego, na moją odpowiedzialność...

Sielski poznał za późno, że zrobił kapitalne głupstwo i stracił humor. Był zaś bliski rozpacz, gdy wkrótce potem ukazali się w salonie dwaj młodzieńcy, powitali Zosię więcej niż serdecznie, a pani Skulskiej ucałowali rączki.

— Zginałem! — pomyślał Jerzy, ślubując w du-

chu, że nadal i on będzie całował ręce poważnej damy.

Wracając do domu, pod wpływem świeżego i chłodnego powietrza począł się zastanawiać nad sobą.

— Co ja robię? — mówił. — Co się ze mną stało?... I to ja, w którym kochała się jedna z najmniejbezpieczniejszych lwic w Warszawie, popełniam dziś takie dzieciństwa?... Ale co począć! — dodał po chwili. — Zosia jest jeszcze dzieckiem prawie. Mamże jej mówić o miłości, mam ją kokietować i stać się nikczemnym w oczach brata, który mi zaufał?

Uwagi te wytrzeźwiły go; postanowił sprawę traktować poważnie i nadewszystko pogadać z Lachowiczem.

Wybrał się więc do niego zaraz na drugi dzień w nastroju uroczystym.

Łatwiej mu jednak było powziąć zamiar, niż go wykonać. Opuścił wprawdzie swoje mieszkanie pełen stanowczości i nadziei, ale w drodze już przyszły mu na myśl rozmaite wspomnienia. Owe pożyczki, umowa „o duszę“, tysiączne inne upokorzenia, których nie szczędził Ludwikowi, a wreszcie wypadek z jego ojcem — wszystko to żywo stanęło mu przed oczyma.

— Co pocznę, — szepnął Sielski — jeżeli on zechce się teraz mścić?...

Pytanie to stało się dla niego punktem zwrotnym. Jerzy wstrząsnął się i znowu odzyskał śmiałość.

— Nie, on tego nie zrobi! — rzekł półgłosem.

Od pewnego czasu zaszła w Sielskim taka wielka zmiana, że nie tylko nie czuł niechęci do swego niegdyś przeciwnika, nie tylko ufał mu i szanował go, ale nadto, nie zdając sobie z tego sprawy, wierzył, że Lachowicz jest zdolny do poświęcenia swoich uczuć i interesów dla szczęścia innych. Ta właśnie myśl, w niejasnej jeszcze i jakby przeczućowej formie tkwiąca w duszy Sielskiego, natchnęła go odwagą do oświadczenia się o rękę Zosi jej bratu, którego krzywdził po tysiąc razy i w najdotkliwszy sposób.

Nie chcąc spotkać Zosi, Sielski wszedł do pracowni Lachowicza, którego zastał przy jakimś nowym obrazie. Gdy się przywitali, rzekł:

— Kochany Ludwiku!...

Lecz potem nagle spytał:

— Dawno zacząłeś malować ten obraz?

Niespodziewany przeskok w mowie, zmiana głosu i bladość twarzy Sielskiego uderzyły Lachowicza. Odwrócił głowę i spojrzał mu w oczy tak, jakby przez nie do głębi duszy chciał sięgnąć.

To spojrzenie, przejmujące, lecz uczciwe, badawcze, lecz i sympatyczne, znowu ośmieliło Jerzego. Zdawało mu się, że Lachowicz jest jedynym na świecie człowiekiem, któremu, jako rozumnemu i dobremu przyjacielowi, może powiedzieć wszystko.

— Kochany Ludwiku, — zaczął znowu Sielski — domyślasz się zapewne, o czym chcę z tobą mówić?...

Lachowicz ani potwierdzał, ani zaprzeczał. Milczał.

— Domyślasz się zapewne powodu moich częstych wizyt u ciebie? — mówił błagalnym głosem Jerzy.

Ludwik milczał.

— Chcę cię prosić o rękę twojej siostry!... — zakończył i machinalnie nisko uklonił się Ludwikowi.

— Czy wiesz, — odczuwał się Ludwik, bystro patrząc na twarz Sielskiego, — że siostra moja przed ośmiu laty była żebraczką?...

Twarz Sielskiego zajaśniała radością.

— Mój drogi! — zawołał, chwytając Lachowicza za rękę, — cóż mnie to obchodzi?... Gdyby dziś była również biedną, jak wówczas, czułbym się jeszcze szczęśliwszym...

— Wierzę ci — przerwał Lachowicz; — ale świat może być mniej wyrozumiałym.

— Co tam świat!... Zresztą powiem ci coś. Nasza rodzina była także bardzo uboga. Podobno nawet jeden z moich dziadków służył za karbowego...

Ludwik uśmiechnął się.

— Daj pokój! — rzekł. — Dziadkowie twoi byli senatorami...

— Gdzież tam, to inni Sielscy!... — żywo zaprotestował Jerzy, lecz, opamiętawszy się, dodał: — Zresztą przypuśćmy, że tak jest: w takim razie ja tylko zasługuję na politowanie. Arystokracja zwyrodniała, jak ci wiadomo...

— Niewiadomo mi — przerwał z uśmiechem Ludwik.

— No, myśl, jak chcesz, lecz powiedz prędzej: czy mnie przyjmiesz za brata? — prosił niecierpliwie Jerzy.

— Zapomniałeś o naszym ojcu — wtrącił poważnie Lachowicz.

Sielski rozgorączkował się.

— Słuchaj, Ludwiku! przysięgam ci, że gdyby żył ojciec, prosiłbym go o rękę twojej siostry, czuwałbym nad nim z wami razem...

— Dosyć! — rzekł Lachowicz, podając mu rękę. — Ja osobiście nic nie mam przeciw twojej deklaracji.

Sielski rzucił mu się na szyję.

— Dziękuję ci, mój drogi!... Więc już naprawdę nie czujesz do mnie żalu?... Jakiś ty szlachetny!...

— Powoli! powoli!... stawiam przecież warunek...

— Tysiąc warunków...

— Nie, jeden tylko: ażeby Zosia przez jakiś czas nic o tem nie wiedziała. Widzisz, to jeszcze prawie dziecko...

— Gdybyś wiedział, jak ją kocham!... A co gorsza, nie mam żadnej pewności co do jej sympatji dla mnie.

Ludwik uśmiechnął się.

— Zostaw to czasowi.

Jerzy znowu go uściskał, mówiąc niespokojnie:

— Rozumiem to, ale widzisz, ci dwaj młodzi...

— Ach! oni... — szepnął Ludwik lekceważąco.

Nastąpił nowy wylew czułości ze strony Sielskiego.

— No, więc dobrze! — mówił Jerzy. — Kiedy

tego chcesz, nie zdradzę się ani słowem, ani ruchem... Czy jednak pozwolisz mi, abym zobaczył pannę Zofję? — dodał po chwili nieśmiało.

— Dobrze.

Sielski wybiegł do salonu, a Ludwik pomyślał:

— Otóż i nowe jarzmo wynalazł sobie, szczęściem lżejsze od innych.

I usiadł przy stalugach dziwnie smutny.

Zosia tymczasem przywitała Jerzego, który, zobaczywszy ją, zawołał:

— Ach! moja panno Zofjo...

I niespodzianie przycisnął do ust jej rączkę...

— Co to znaczy? — spytała Zosia, oblewając się rumieńcem.

Ale Sielski nagle stracił odwagę.

— Ludwik prześliczny obraz maluje... — kończył już w innym tonie.

— Czy tak? — spytała udobruchana nieco, chociaż serce jej biło gwałtownie.

— Jaki to ogromny talent! — mówił gorączkowo Sielski — jaki to genjusz...

— Czy naprawdę? —

— A jaki on szlachetny, jak ja go kocham!...

— To dobrze... to bardzo dobrze, że pan kocha Ludwika! — szepnęła.

Jerzy wziął ją za obie ręce i, patrząc na nią miłośnie, spytał:

— Ale czyż mi wolno kochać... tylko Ludwika?...

Zosia zlekka cofnęła rączki, kto wie, może dlatego, że właśnie w sąsiednim pokoju rozległ się szmer i weszła do salonu pani Skulska.

Jerzy oprzytomniał i usiadł opodal na krzeselku, mówiąc sobie w duchu:

— Dosyć tego!... muszę przecie dotrzymać obietnicy Ludwikowi.

17. Jadwiga.

Po rozmowie z Lachowiczem Sielski znacznie się uspokoił, poznawszy, że najważniejsza przeszkoda — niechęć brata, nie zepsuje mu względów u siostry. Odtąd w stosunkach z Zosią nie popełniał już wybryków, obecność pani Skulskiej nie gniewała go, a nawet dla panów Alfonsa i Józefa stał się nieco pobłażliwszy, mówiąc w duchu, że porównanie z nimi wyjdzie mu tylko na korzyść.

Zosia też spoglądała na niego coraz przychylniej, a pani Skulska poradziła mu w sekrecie, aby się godzin pilnował:

— Nie uwierzy pan, jak Zosię to drażni, kiedy pan o zwykłej porze nie przychodzi! — mówiła dama. — Kręci się po pokoju, zagląda w okna, gniewa się... Ale o tem cicho!

Jerzy rósł, jak na drożdżach. Miłość jego stopniowo przechodziła w namiętność; bo też i Zosia, co prawda, należała do osób płci pięknej, za którymi mężczyźni szaleją. Prócz sniadej cery i czarnych, ognistych oczu, zdradzających wulkaniczny temperament, posiadała ona ogromny zapas sił i życia, które jej przydomek „djabelskiej piękności“ zjednały. To też „znawcy“ stawali na ulicach, patrząc na nią, gdy przechodziła, i wróżyli, że z tej

prześlizycznej panienki wyrośnie bardzo prędko jedna z najpiękniejszych kobiet w Warszawie.

Jakoś w końcu karnawału w domu Lachowicza zauważono, że Sielski zesmutniał i parę wizyt opuścił. To też, gdy pewnego razu przyszedł smutniejszy i mizerniejszy, niż zwykle, Ludwik przy kobietach zapytał go:

— Czyś chory, Jerzy, że tak niewyraźnie wyglądasz?

Zosia z niepokojem spojrzała na Sielskiego.

— Ja jestem zdrowy, — odparł Jerzy — ale kuzynka moja, Jadwiga, ciężko chora.

Ludwik pobladał i odwrócił się do okna. Zosia dostrzegła to, zamyśliła się, a potem spytała:

— Cóż jest pańskiej kuzynce?

— Zapalenie płuc. Karnawał zrobił jej to...

— Zapalenie płuc nie zawsze jest niebezpieczne dla osób młodych — wtrąciła pani Skulska.

— Daj Boże, aby pani miała rację! — odpowiedział Sielski. — Tymczasem jednak jest źle...

Ludwik wyszedł do swojej pracowni.

Odtąd, ile razy odwiedził ich Sielski, Zosia wypytywała go o przebieg choroby. Lachowicz wówczas wsuwał się nieznacznie do salonu, słuchał relacji, a potem znowu znikał.

W tym czasie stracił apetyt, przestał malować, i całymi dniami chodził niespokojnie po swej pracowni, lub siedział przy stoliku z głową opartą na ręku. Raz w tej postawie zaszła go Zosia znienacka i zobaczyła, jak pisał ołówkiem na papierze, wśród mnóstwa zygzaków, następne wyrazy:

„...Chora... chora... Jadzia... zapalenie płuc... chora...“ I tak bez końca!...

Teraz z kolei pani Skulska dostrzegła, że Zosia zamyśla się, mizernieje i po nocach nie sypia.

— Kocha się biedactwo! — mówiła stara dama.— Ha! gdyby nie te smutki młodych panien i kawalerów, nie mielibyśmy potem wesel...

Po upływie kilku tygodni Sielski doniósł, że Jadwiga po zapaleniu płuc wpadła w galopujące suchoty, a w parę dni później nad wieczorem, jakiś człowiek przyszedł do Lachowicza z listem.

Ludwik, rozerwawszy kopertę, przeczytał, co następuje:

„Chora bez nadziei siostra moja, Jadwiga, pragnie pomówić z panem. Przyjeżdż pan natychmiast, błaga cię o to w imię miłości bliźniego — Ewa N.“

List ten nie zdziwił Lachowicza, myślą był on nieustannie przy łożu chorej, i jakiś głos wewnętrzny szeptał mu, że ją jeszcze zobaczy przed śmiercią.

Nie mówiąc ani słowa, rzucił zmięty list na stół i szybko wybiegł z posłańcem. W chwilę później weszła do pokoju Zosia, a dostrzegłszy list, schwyła go i odczytała.

— Wszystko teraz rozumiem!... — szepnęła z boleścią.

Jadzia od kilku dni już prosiła pilnującej ją siostry o wezwanie Lachowicza; pani Ewa jednak nie mogła się zdecydować na krok ten, według jej opinji, wysoce nieprzystwoity. Dziś dopiero stan

chorej i rzewne jej błagania przemogły nad skrupułami.

Ubrana w czystą bieliznę, leżała Jadzia na łóżku, co parę godzin zapadając w sen niespokojny, mającąc, lub dopytując się: czy Lachowicz nie przyszedł?

Gdy zaś na progu stanął posłaniec, dając znak pani Ewie, krzyknęła:

— Proś!... proś!...

Lachowicz wszedł sztywny i blady, jak lunatyk. Gdy spojrzał na Jadzię, chwilowa nadzieja rozbudziła się w jego sercu. Zwiódł go blask oczu, uśmiech i gorączkowe rumieńce na białej jak śnieg twarzy.

Pani Ewa, ukłoniwszy się, milcząc, wskazała mu krzesło naprzeciw łóżka, a gdy Ludwik siadł, Jadwiga odezwała się:

— Panie! pan już przebaczył Jerzemu, wszak prawda?...

— Czy możesz pani pytać mnie o to! — odparł bezdźwięcznym głosem.

— Widzi pan, — mówiła chora — to mój krewny... mimo całą żywość charakteru, ma bardzo dobre serce... A zresztą nie chciałabym, ażeby został nieszczęśliwy...

Chwilę odpoczęła, a potem mówiła dalej:

— Wierz mi pan, on najmniej winien temu, co się stało... On pańską siostrę bardzo kocha!... Mój Boże... jakbym ją chciała poznać...

Błyskawica oświeciła umysł Ludwika. To Siel-

ski przyczynił się do jego nieszczęścia i do obecnego stanu Jadwigi!...

Chora zaczęła majaczyć.

— Muszę jechać do Włoch... mówiła szybko. — Witold ciągle gospodaruje... Ten wół już drugi raz złamał nogę...

Po kilku minutach jednak ocknęła się i rzekła z uśmiechem:

— Tak mi się coś śni... Nie umarłabym, nie zobaczywszy pana. Siostra przyrzekła, że pański list włoży mi do trumny... Prawda, Ewciu?...

Pani Ewa, połykając łzy, skinęła głową.

Teraz opanował chorą niepokój.

— Podnieście mnie!... — zawołała. — Jak tu duszno!...

Lachowicz i siostra poskoczyli do niej, lecz dała im znak, że już niczego nie chce

Potem kilka minut wpatrywała się w Lachowicza i, wyciągnawszy do niego rękę, szepnęła:

— Takam senna!...

Przymknęła powieki, z których stoczyły się dwie łzy. W tej samej chwili Ludwik dostrzegł, że twarz jej zmieniła się tak, jakby cień na nią padł...

Ukląkł przy łóżku, oparł twarz na ciepłej jeszcze ręce i wyjąkał:

— Boże!... mój Boże! jakim ja nieszczęśliwy!...

Pani Ewa wybuchnęła głośnym płaczem.

Po chwili Ludwik uczuł, że ktoś trąca go w ramię, odwrócił głowę i spostrzegł nieznanego człowieka, który, wyprowadziwszy go do drugiego pokoju, rzekł profesorskim tonem:

— Nie należy płakać obok dopiero co zmarłych. Oni słyszą...

— Któż pan jesteś? — spytał go Lachowicz.

— Doktor, panie.

— Acha!...

I po tym wykrzykniku, wyszedł, nie żegnając się z nikim i nie patrząc. Gdyby nie to, przekonałby się, że Sielski był w tym pokoju, wszystko widział i słyszał.

Gdy Ludwik wrócił do domu, Zosia, spojrzawszy na niego, krzyknęła:

— Co tobie jest?...

— Nic.

— Tyś był u Jadwigi! Czy?...

— Już umarła! — rzekł Ludwik. — Na świecie niema nic wiecznego...

Usiadł na kanapie, wziął drżącą dłoń siostry w swoje ręce i począł mówić głosem jednostajnym, jak kołatanie zegaru:

— Widzisz... kochałem ją!... Sama się kiedyś dowiesz, że do osoby obcej można być tak przywiązanym, jak do najbliższej. Na nieszczęście, zapomniałem, że takim, jak ja, nędzarzom, kochać nie wolno...

Było to jedyne zwierzenie, jakie zrobił przed siostrą. Tym razem jednak Zosia wiedziała więcej, niż przypuszczał. Przed kochającym okiem nie ukryły się cierpienia brata, reszty zaś dopowiedziała jej wyobraźnia. Czuła ona, że w stosunku Sielskiego do Ludwika jest coś fałszywego; przyjaźń ich wydawała się zbyt świeżą. Skombinowawszy wre-

szenie wszystkie drobne poszlaki, doszła do wniosku, że to Jerzy winien był nieszczęściu, które Jadwigę i Ludwika spotkało.

Opanowały ją jakaś gorycz i wstyd. Nie mogła wyobrazić sobie, co zrobi, gdy jeszcze raz zobaczy Sielskiego, a jednocześnie chciała go widzieć i zapytać o coś.

Stopniowo ostatnie to pragnienie wygórowało nad innemi i odmienny kierunek nadało jej myślom.

— Gdyby Sielski był sprawcą złego, czyżby go Ludwik przyjmował?... — pytała.

Lecz z drugiej strony jakiś tajemny głos szeptał jej, że istotnie Sielski był winien.

Zosia nie była marzycielką i decydowała się szybko.

— Zapytam go! — pomyślała. I czekała tydzień, drugi i trzeci w nadziei, że wątpliwości jej będą rozstrzygnięte. Lecz Sielski nie przychodził.

Lachowicz powoli także się uspokoił po okrutnem wstrząśnieniu i ze spotęgowaną energią malował po całych dniach. Stary hypochondryk, dostrzegłszy nową a wspaniałą robotę, począł odwiedzać go częściej.

Siedzieli tak obaj całemi godzinami wśród głębokiego milczenia. Lachowicz malował, a protektor jego przypatrywał się dziełu. Niekiedy strzelał palcami; kłął straszliwie, a wówczas Lachowicz przypominał sobie o nim i witał go.

Zatopiony w pracy, Lachowicz stłumił swoją boleść i zapominał o wszystkim, nie wyłączając Sielskiego; pamiętał o nim jednak ktoś inny.

Pewnego razu Zosia rzekła do brata:

— Pan Sielski musi być chory?

— Czy tak?... — spytał, jakby obudzony ze snu.

— Domyślam się tylko... Już miesiąc, jak u nas nie był... — dodała ciszej, pochylając twarz do haftu, który trzymała w ręku.

Wzmianka ta rozrzewniła Lachowicza. Popatrzał tkliwie na pomieszaną siostrzyczkę i wyrzucał sobie, że o nią nie dba.

— Ileż smutku i niepokojów narobić jej musiał mój egoizm! — pomyślał.

Tego dnia pierwszy raz od kilku tygodni wyszedł do miasta. W powietrzu czuć było oddech wiosny, śnieg topniał...

Ludwik nie zastał Sielskiego w mieszkaniu, zostawił więc bilet. Na drugi dzień Jerzy przyszedł do niego, znowu jak niegdyś, do pracowni.

Był mizerny, dziki jakiś, rozgorączkowany... Lachowicz, spojrzawszy na niego, zdziwił się.

— Tyś chory?... — rzekł. — Dlaczego nie napisałeś do nas?...

— Przyszedłem cię pożegnać! — szepnął Sielski.

Ludwik cofnął się i patrzył na niego, jak na szaleńca.

— Wiesz już wszystko — mówił Sielski — i ja wiem również — wszystko. Ale przysięgam ci, że m się dowiedział zapóźno!...

— Co to jest?... — zapytał Ludwik.

— Byłem przy śmierci Jadzi i wtedy dopiero przekonałem się, com uczynił... Był czas, że m się

uważał za zbyt uczynnego na świecie, dziś zaś widzę, że nawet szkodliwy...

Mówił to spokojnie, patrząc w ziemię.

— Siadź-no! — przerwał Lachowicz.

Usiedli. Lachowicz wsparł obie ręce na kolanach i, ostro patrząc mu w oczy, spytał:

— Co myślisz zrobić?

— Wyjeżdżam... Nie jestem godzien twojej siostry...

— Któż ci to powiedział?

— Sumienie moje. Kto się stał przyczyną nieszczęścia innych, sam nie może być szczęśliwym!...

Lachowicz wstał, przeszedł się po pokoju i rzekł znowu:

— Powiedz mi szczerze, czy żaden inny powód nie wpłynął na twoje postanowienie?

— Żaden inny. Alboż winą moją nie wymaga ciężkiej pokuty?

— Więc to się u ciebie pokutą nazywa?...

Sielski chciał odpowiedzieć, lecz zamilkł.

— Pokuta?... — pytał dalej Lachowicz. — Co ona zmazuje i kogo wynagradza?... Czy wskrzesi Jadwigę?... Zastanów się, człowieku! jakieś ty zadośćuczynienie wymyślił, które zatruje życie tobie, Zosi i... mnie wkońcu.

— Nie zapominaj, — odrzekł Sielski — że ja cię spotwarzyłem... Czy rozumiesz?... spotwarzyłem cię przed Jadwigą, która skutkiem tego, kochając ciebie, innemu oddała rękę.

Lachowiczowi usta drżały, twarz mieniła się; mimo to, nie uległ boleści.

— Mówiłeś o mnie do swojej kuzynki to, co ci się zdawało prawdziwem — przerwał Sielskiemu. — Uprzedzenie i namietność, a bardziej jeszcze pozory zaślepiły cię... Lecz cóż z tego za wniossek?... Według mnie jeden tylko, ten mianowicie, że nie należy ulegać nadal złudzeniom, lecz pełnić rzeczywiste obowiązki.

Sielski patrzył na Ludwika, jakby nie rozumiejąc tego, co słyszy. Wreszcie odezwał się cicho i bojaźliwie:

— Przebacz mi to, co ci powiem, ale ja... nie wiem nawet, jakie w tej chwili są moje obowiązki...

— Być szczęśliwym i uszczęśliwiać innych — odparł Lachowicz.

— Więc... nie wypędzasz mnie?... Oddasz mi swoją siostrę?...

— Oddam!

— A ja ci życie moje oddam — zawołał gwałtownie Jerzy, chwytając go za rękę.

Lachowicz, nie mówiąc nic, wprowadził Sielskiego do salonu, udał się potem do pokoju Zosi i po chwili przywiódł siostrę.

— Zosiu! — rzekł — pan Sielski, jak widzisz, jest zdrów...

Zosia ukłoniła się Jerzemu.

— A teraz — ciągnął dalej Ludwik — powiem ci, że pan Sielski prosi mnie o twoją rękę...

Zosia bardzo zbładła, Jerzy ledwie oddychał.

— Spodziewam się, Zosiu, że nie masz nic przeciwko temu?

Nie odpowiedziała.

— No, moje dziecko, — mówił brat — sądzę, że *tak?*...

— Chciałabym pomówić z panem Sielskim... — rzekła Zosia cicho.

Twarz Sielskiego zrobiła się żółtą.

— Owszem, mów...

— Panie... czy pan nigdy nie zrobił krzywdy memu bratu?...

Usłyszawszy te słowa, obaj mężczyźni struchleli.

— Widzi pan... — mówiła Zosia, ośmielając się stopniowo — widzi pan... Ale niech mi pan przebaczy moje pytanie! Nie zrobiłabym go komu innemu, ale tak wiele mi zależy na życzliwości pańskiej... Przytem, nie wiem dlaczego, jestem jakoś dziwnie niespokojna... To przywidzenie, wiem — ale... chciałabym się pozbyć go...

Mowa jej wywołała straszny zamęt w duszy Sielskiego. Raz, zdawało mu się, że Lachowicz odegrał z nim potworną komedję, to znowu, że umarli powstałi z grobów, aby go przez usta tego dziecka oskarżyć i potępić. Gdyby stał w tej chwili nad przepaścią, rzuciłby się w nią, aby tylko nie słyszeć pytań Zosi i nie czuć rozpacz, której doświadczał.

Tymczasem Ludwik opamiętał się i z gniewem zawołał:

— Przyznam się, Zosiu, że nie wiem, skąd tak dziwne myśli przychodzą ci do głowy?...

Ale ona, patrząc na Jerzego, mówiła:

— Pan nic mi nie odpowiada?... Pan mnie nie chce uspokoić?...

— Owszem, chcę! — odparł Sielski prędko. — Istotnie jestem winien... skrzywdziłem brata pani!...

Teraz Zosia uczuła ból w sercu. Spoglądała kolejno to na brata, to na Sielskiego.

— Wszakże go kochasz? — zawołał Ludwik, podchodząc do siostry.

Zosia wstrząsnęła głową.

Ludwik ścisnął pięść i, machnąwszy nią gniewnie, zawołał:

— Ha!... złe dzieci!... możecież wy mnie tak dręczyć?...

— Ludwisiu! — błagała go siostra.

— Czy ty wiesz, — mówił do niej — czy ty wiesz, że Sielski ojca naszego uratował od hańby?

Zosia rozplakała się.

— Dosyć! — przerwał Sielski. — Wiem, że miłość i niechęć, to złe sąsiedztwo... Uspokój się, pani!... Ja odchodzę i wrócę wtedy dopiero, kiedy mnie pani uznasz godnym siebie. Bądźcie zdrowi!...

To powiedziawszy, wyszedł.

— Stój! — zawołał Lachowicz, wybiegając za nim.

— Nie wstrzymuj mnie, Ludwiku — rzekł Sielski spokojnie. — Gdybym nie miał nadziei, gdybym nie czuł, że nie jestem tak zły... powiadam ci... w łebbym sobie strzelił. Ale z drugiej strony wiem, że muszę zmazać wiele błędów... Reszty czas dokończy.

— Niewolnicy! niewolnicy!... — mruknął Lachowicz i, powróciwszy do siostry, powtórzył: — I tyś niewolnica!

Zosia zanosila się od płaczu.

— No... powiedz mi, — mówiła wśród łkań — czy mogę kochać ciebie i tego, który cię szczęścia pozbawił?...

— Alboż ja ci robię wymówki? — odparł brat. — Mówię tylko, że wy wszyscy jesteście niewolnikami waszych przywidzeń, kaprysów, uczuć... Wszyscy wzdychacie do szczęścia, rozprawiacie o obowiązkach, a nieustannie psujecie to szczęście i lekceważycie obowiązki. Niewolnicy!... niewolnicy!...

18. Żywi i umarli.

Minęła wiosna i przechodziło lato.

W życiu Lachowicza i jego siostry niewielkie zaszyły zmiany. Zosi przybyło wdzięku, Ludwikowi kilka siwych włosów, obojgu zaś ubył — jeden znajomy.

Dotychczas nie wspominali o Sielskim. Zosi nie wypadało mówić o nim, Ludwik był zatopiony w pracy, a jeżeli kiedy pomyślał o Jerzym, czuł zakłopotanie.

— Co tu robić? — mówił do siebie. — Pierwszy krok z mojej strony do niego wyglądałby na narzucanie się... Nie jestem pewny, co Zosia myśli o nim, a przytem on sam spalił za sobą mosty. Postanowił ułagodzić żal jej, czekać, aż ona go wezwie, tymczasem zaś faktów jak niema, tak niema...

Raz stary hypochondryk rzekł do Lachowicza:

— Uważasz... Warto by pomyśleć o mężu dla Zosi, wprowadzić dziewczynę w świat...

— Jeszcze czas! — odparł Ludwik, i na tem się skończył projekt.

Mimo to, postanowił wybadać Zosię.

Sposobność zdarzyła się niebawem.

Pewnego wieczoru siedzieli z siostrą na balkonie, wychodzącym na ogród. Był już koniec lata. Słońce skryło się za widnokrąg, oblewając rzadkie chmury purpurą i złotem. Znużone ptaki zwoływały się do gniazd, młoda matka w otwartem oknie naprzeciw nuciła dziecku pieśń wieczorną; napoty drzemiący wiatr kołysał do snu listki, których dni były już policzone.

Tu i owdzie w mieszkaniach ubogich pracowników poczęły błyskać światełka i kilka gwiazd zamigotało na niebie.

Zosia, oparta na krawędzi balkonu, zadumana, utkwiała oczy w tej części widnokregu, której nie zasłaniały gmachy miasta. Na pięknej jej twarzy rozlał się wyraz jakiejś rzewnej tęsknoty.

— O czem myślisz? — spytał jej Ludwik półgłosem.

— Myślę — odparła zwolna, — kto też za lat kilkadziesiąt będzie patrzył na te drzewa, domy, a może tylko na gwiazdy?...

— A nie zastanawiasz się też kiedy nad bliższą przyszłością?... Nad tem, co ty sama będziesz robiła za lat kilka?...

Zosia nie odpowiedziała nic.

— Pozwól, — ciągnął dalej Ludwik — ażeby w tej chwili przypomniał ci jeden wypadek...

Zosia poruszyła się niespokojnie i odwróciła nieco twarz od niego.

— Widzisz, moja siostrzyczko, z Jerzym postąpiliśmy źle i, pod pozorem jakiejś mniej więcej urojonej krzywdy, wyrządziliśmy mu rzeczywistą.

— Mój Ludwisiu!... — szepnęła cichym głosem, lecz nie dokończyła frazesu.

— Muszę ci powiedzieć to, co myślę — mówił brat. — Jerzy jest szlachetny człowiek, kocha cię... Ty zaś wypędziłaś go prawie...

— On sam odszedł.

— Cóż miał zrobić innego?

— Odszedł w celu przekonania mnie, że moja niechęć dla niego nie ma podstawy, że *omyliła się*... — odpowiedziała Zosia z ironicznym naciskiem.

— Żeś się ty pomyliła, — odparł Ludwik — za to ja ci ręczę, ale i on się omylił. Postanowił widocznie zdobyć twoje przywiązanie nie wizytami, lecz czynami. Na nieszczęście, nie łatwa to rzecz.

— Czy tak?... — spytała przeciągle Zosia.

— Naturalnie!... Cóż bo on ma robić dla przypodobania się z odległości!... Turnieje już nie istnieją, za twoją szarfę zatem walczyć nie może. Z niebezpieczeństwa żadnego ani mnie, ani ciebie, ani kogokolwiek bądź zresztą nie ocali, bo dziś o nie trudno. Jego zaś czyny szlachetne, jakie prawdopodobnie spełnia, z natury rzeczy muszą być ukrytymi. Cóż mu więc pozostaje?

Zosia chwilę pomyślała, a potem głosem stanowczym rzekła:

- Nie mówmy już o tem.
- Dlaczego? — spytał brat.
- Nienawidzę go!... — odparła.

Ludwik patrzył na nią zdumiony. Ona wyprostowała się, podniosła głowę do góry i mówiła rozdrażniona:

— Czy myślisz, żem go zapomniała?... Nie!... Przypomina mi go każdy pokój, w którym był, każde krzesło, na którem siedział... Nieraz, gdy słyszę stapanie albo głos obcy, drżę, myśląc, że to on przyszedł... Niekiedy widzę go we śnie i budzę się ze strachem...

Chwilę odpoczęła.

— Ale, czy myślisz, — mówiła dalej — że w macjzeniach moich spotykam go samego?... Nie!... Towarzyszą mu zawsze dwie osoby: ty i ta biedna ofiara, którą zabił...

Ludwik zerwał się z krzesła.

— Przysięgam ci, — zawołał — że na moje nie-szczęście złożyło się wiele przyczyn, między któremi jego błąd stanowił najmniejszą. Zresztą, dajmy już temu pokój!... Umiesz, jak widzę, wywoływać duchy, z których ciebie opanował najgorszy, bo nienawiść; szczerze pragnąłem zakończyć nasze niepokoje, lecz zamiast tego...

Przerwał nagle i wyszedł wzburzony.

Od tej pory nie mówili już o Sielskim, choć Ludwik niejednokrotnie zastanawiał się nad osobliwym rodzajem nienawiści, jaką Zosia ku niemu pałała.

Skończył się październik. W dzień Wszystkich

Świętych, Zosia, powróciwszy z kościoła, rzekła do brata:

— Jutro Zaduszki. Czy nie pojechalibyśmy na cmentarz?

— Prawda — odparł Ludwik. — Jadzia tam jest...

— I nasz ojciec... — wtrąciła półgłosem Zosia.

Lachowicz bardzo się zmieszał. Od dnia pogrzebu nie był na mogile ojca. Tłumaczył go do pewnego stopnia wyjazd zagranicę i późniejsze gorączkowe życie. Z tem wszystkiem jednak grób ojca pozostał zapomniany...

Zosia w wypadku tym była najmniej winna.

W ciągu życia zetknęła się z ojcem raz tylko, i to na krótko, potem zaś nie widziała go aż do dnia śmierci. Łatwo zapomnieć tych, których się prawie nie znało.

W dzień Zaduszny Lachowicz z siostrą byli zrana na nabożeństwie żałobnem, po południu zaś około czwartej pojechali na cmentarz.

Już na ulicy Dzikiej dostrzegli zwiększony ruch pieszy i konny. Bliżej rogatek pojedyncze dorożki i luźne gromadki osób poczęły się skupiać. O kilkanaście kroków dalej, trzeba już było zwolnić jazdę, ulicę bowiem wypełniły dwa szeregi powozów, jadących i wracających, a chodniki zajęła ciżba ludzi.

Pod samemi rogatkami, piesi i jezdni utworzyli jedną zbityą, czarną masę, wśród której niepodobna już było ruszyć się. Lachowicz wyszedł z siostrą i zwolna począł torować ścieżkę wśród tłumu.

Po lewej stronie ulicy, pod parkanami, z poza

których wyglądały „nagrobki do nabycia“, ukazywał się dość zresztą rzadki szereg żebraków, pragnących widocznie wyzyskać pierwsze porywy chrześcijańskiej pamięci o zmarłych. Nowicjusze ci jednak zawiedli się, pobożni bowiem z powodu pośpiechu nie zwracali na nich uwagi. Były to dopiero przednie strażę, główna bowiem armja dziadowska uszykowała się wzdłuż cmentarnego muru.

W teje okolicy zobaczyć było można jedyną w swoim rodzaju wystawę. Tu Włoch wędrowny ulokował się z koszykiem gipsowych posążków. Dalej przekupka jabłek i pierników rozbiła swój stragan. O kilkanaście kroków za nią, sprzedawano żółte kanarki papierowe w małych klateczkach, dalej bukiety i wieńce sztucznych kwiatów, dalej pierniki i obwarzanki, potem znowu jabłka, następnie wieńce metalowe, i tak bez końca.

Odstępy między przekupniami wypełniały gromady żebraków, stojących, klęczących lub siedzących. Ta trzymała w ręku paciorki, ów kij lub kulę. Obok niewidomego siedział kaleka bez nóg, obok zgrzybiałego starca — młodzieniec, który miał nogę uschlą. Ani jeden nie był zdrow, każdemu czegoś brakowało, każdy surdut i spódnica okryte były plamami i łatami; każda twarz brudem. Niektórzy wyciągali do przechodniów pokurczone ręce, inni gliniane miseczki, puszek od sardynek, albo skorupy żółwie.

Wszyscy oni i wszystkie błagali o jałmużnę, przypominali zmarłych, mówili pacierze, lub śpiewali pieśni nabożne.

Po drugiej stronie ulicy stoi szereg większych i mniejszych domków, mieszczących w sobie bawarję, w których wszystkie miejsca zatłoczone tak, że wejść nie było podobna.

— Między publicznością, jak zwykle, przemagały liczbą kobiety w ciemnych i mniej ciemnych strojach. Tłoczono się i popychano, nawoływano tych, którzy zaginęli w tłumie, rozdawano jałmużny. Kupowano ofiary na groby, wreszcie rozmawiano i śmiano się. Nic dziwnego: rodzaj ludzki nie składa się przecież z automatów, nakręconych w jednaki sposób.

Zamęt i hałas jeszcze bardziej powiększyły się w bramie. Tu już trzeba było zapomnieć o całości sukni, a natomiast torować sobie miejsce przemocą.

Na cmentarzu wszystkie aleje były pełne osób, dążących w różnych kierunkach. Jedni oglądali pomniki, inni porządkowali groby, ozdabiali je kwiatami i ustawiali kagańce. Obok klęczącej kobiety w żałobie, na żelaznych poręczach nagrobków gimnastykowali się mali chłopcy; obok płaczących — śmiano się i gawędzono wesoło.

Były nagrobki wspaniałe, których nie miał widać kto ozdabiać, a nawet odwiedzać; były i niepokazne groby, przy których tłum się modlił. Trafiało się, że ten i ów przewietrzył grób rodzinny, niewiadomo czy dla chwały Bożej, czy przez pamięć o tem, że kiedyś sam tu spocznie na wieki.

Ruch ten oszołomił Zosię; Lachowicz jednak nie zwracał nań uwagi. Myśl Ludwika zajęta była cał-

kowicie ojcem, który spał wśród tego miasta umarłych, zapomniany przez syna...

Gdzieś niegdzie pomiędzy pysznymi nagrobkami widzieć można było tu i owdzie jakąś zapadłą, zaniedbaną mogiłę, na której dogorywały resztki spróchniałego krzyża. Wówczas Ludwik mówił do siebie:

— Taki to i jego grób!...

Serce, jakby zbudzone z letargu, ścisnęło mu się boleśnie, nad gwarem tłumu górował szept sumienia:

— Mógłżeś go zapomnieć?... Z kimże bardziej na świecie, niż z nim byłeś związany?... On był sprawcą twojej niedoli i twoim więźniem... Gdyby nie on, ten starzec szaribiony, istniałżebyś ty, tak sławny dzisiaj?...

Zdawało się Ludwikowi, że gdzieś na żółknącej murawie pomiędzy drzewami, z których już liście opadły, stoi cień bladej, w siermiędze, z siekierą na ramieniu, i smutnie patrzy na niego. To był cień ojca, jakim go pamiętał w latach dziecińczych, cień biednego, spracowanego człowieka, któremu pół życia zeszło na trosce o chleb dla kochanego Ludwisia.

— Mógłżeś go zapomnieć?... Mógłżeś go zapomnieć?... - - szeptało sumienie.

Przy grobie Jadwigi oboje z siostrą zatrzymali się na chwilę. Ludwik oparł się na kratach i z niewymownym smutkiem zapytał: jaki też związek istnieć może między dwiema ukochanymi przez niego osobami, Jadwigą i ojcem?... Czyliż śmierć istot-

nie łączy tych, których życie postawiło na tak odmiennych stanowiskach? Czyż między duchami nawet, -- z jednej strony żelazne kraty, z drugiej baidyle i piołun --- nie tworzą nieprzebytych przeszkód?...

Powoli mrok zapadał i na cmentarzu tysiące zajaśniały światła. Ludwik i Zosia pośpieszyli do grobu ojca. W drodze uderzył ich szczególny widok: na środku alei paliły się lampki ustawione w formie krzyża. Pilnowała ich jakaś zgrzybiała kobieta.

— Co to znaczy? — pytali przechodnie.

— Tu dawniej był wspólny grób!... -- odpowiadał inni.

Pamiętano więc nawet o nędzarzach, rzuconych do wspólnego dołu, odszukano ślady, zatarte przez tysiące nóg; tylko o grobie ojca Ludwika i Zosi nikt nie pamiętał, nikt nie odszukiwał jego śladów!...

— To tu! — rzekł Ludwik do siostry i skreślił na prawo między świeżo usypane mogiły.

Nie było tu nagrobków, tylko kopce, obłożone niekiedy darnią i ozdobione krzyżem, z którego deszcz zmywał powoli ostatnią pamiątkę po zmarłym.

Ludwik, z trudnością odczytując napisy, zbliżył się do mogiły, różnej od innych. Była ona obwiedziona żelazną poręczą; prócz tego leżał na niej kawał granitu, niby przez burzę oderwanego od skały... Ponad nagrobkiem rozścielały się ciemnozielone gałązki dość dużego świerku.

Jakaś kobieta zapalała ustawicznie dokoła kagance. Ludwik mimowoli rzucił okiem na granit i stanął zdumiony.

Na kamieniu był wyrzeźbiony napis:

„Józef Lachowicz

zmarł ...

Pokój jego duszy!“

Zosia, przeczytawszy to, zbliżyła się do brata i pytająco spojrzała mu w oczy.

— Kto postawił ten nagrobek? — spytał niepewnym głosem Ludwik, zwracając się do kobiety.

— Syn nieboszczyka, panie!... — odparła. — Płaci też za utrzymanie grobu w porządku... Niech mu Bóg wynagrodzi!

— Często on tu bywa?

— Co tydzień, panie! Zdaje mi się nawet, że dopiero co był...

Ponieważ kagańce były już zapalone, kobiecina odeszła dalej.

Zostali sami.

— Czy wiesz, kto to zrobił?... — zapytał Ludwik siostry. — Sielski!... On jeden pamiętał!...

Zosia schwyciła brata za rękę.

— Chodźmy go szukać, Ludwisiu... — mówiła prędko, on tu jest... Zdaje mi się, że nawet widział kogoś podobnego... On mi musi przebaczyć!...

Ludwik spojrzał na nią poważnie.

— Przecież to grób ojca! — rzekł z wymówką.

Zosia nie odpowiedziała nic. Popatrzała dokoła siebie niespokojnie, potem upadła na kolana i znowu obejrzała się. Wreszcie, jakby chcąc odegnać od siebie myśli światowe, przeżegnała się, pochyliła

twarz ku ziemi i poczęła szeptać pacierz za umarłych.

„...I odpuść“ nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”

W tem miejscu pacierz urwał się i Zosia zaczęła go powtórnie. Lecz znowu nie dokończyła i przerywała w tem samym miejscu. Proste wyrazy, które dotychczas powtarzała machinalnie, nabrały dla niej nowego znaczenia. Ogarnął ją strach. Zdawało się jej, że dotychczas, błagając Boga o odpuszczenie win własnych, popełniała bluźnierstwo...

Teraz przybył jej nowy a dziwny zmysł, który odkrył niewidziane dotychczas rzeczy. W oczach jej rozrzucone światła na grobach poczęły układać się w jakieś wyrazy. Wyrazy te słyszała też w gwarze tłumu, w szumie gałęzi świerku, ocieniającego grób ojca.

„...I odpuść“ nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”

— Idźmy już! — rzekł Ludwik, dotykając jej ramienia.

Wzięła go pod rękę, mocno oparła się, i tak z wolna poszli ku bramie.

19. Już wrócił.

W połowie drogi spotkali na cmentarzu hypochondryka.

— Oho! — zawołał starzec — wracacie od grobu ojca? Ja także wracam od swego. Pyszny lokal, powiadam wam, kazałem sobie wybudować; szkoda

tylko, że trochę wilgotny, a ja mam reumatyzm. Ale w metalowej trumnie nie da się to uczuć... No,— dodał po chwili oryginał — dziś zapraszam się do was na herbatę.

— Bardzo pana prosimy! — odparł Ludwik, rad, że Zosia będzie miała zajęcie wieczorem.

Ponieważ w bramie był znowu ścisk, nasza więc trójka zatrzymała się pod murem. Tu Lachowicz ze zdziwieniem zauważył jakieś owinięte w futro indywiduum, które, przy blasku kaganków, starannie pisało coś w wielkim katalogu.

— Panie Romanie!... Co pan tu robisz? — zawołał Lachowicz.

Literat, — (on to był w samej rzeczy) — podniósł głowę.

— A!... pan Ludwik. Dawnośmy się już nie widzieli!... — wykrzyknął, podając mu rękę.

Dostrzegłszy jednak dwie osoby nieznajome, spojrzał pytająco na Lachowicza.

Ludwik przedstawił go.

— Pan Roman, literat i mój przyjaciel... Pan... mój... protektor... Moja siostra, Zofja.

Przypatrzywszy się nieco Zosi, powieściopisarz zamknął katalog i szeroko otworzył usta. Szybko jednak opanował się i z kolei zamknął usta, a otworzył katalog.

— Jedź pan do nas na herbatę, panie Romanie — rzekł Ludwik.

— Zrobiłbym to z największą chęcią, ale... nie jestem przygotowany do wizyty.

— Nic nie szkodzi!... No, więc jedziesz pan z nami?

— Owszem!... ale moje typy... — bełkotał literat, patrząc kolejno to na swój katalog, to na Zosię.

Ostatecznie jednak Zosia zwyciężyła, katalog znalazł się w głębi ogromnej kieszeni i powieściopisarz wyszedł z towarzystwem.

Hypochondryk podał rękę ciągle milczącej Zosi, a Ludwik z Romanem szli za nimi, przeciskając się wśród tłumu.

— Cóż, piszesz pan jaką powieść?... — spytał Lachowicz.

— Teraz dopiero napiszę coś... cmentarnego. Ale przepraszam za śmiałość, siostra pańska jest zachwycająca! — szeptał literat. — Jak żyję nic podobnego nie widziałem!

Towarzystwo z wielkim trudem odszukało swoje dorożki, które szczęściem stały dość blisko jedna drugiej.

— No, — zawołał starzec — ja z Zosią siadam do mojej...

— Możebyśmy się tu wszyscy pomieścili?... — wtrącił z pośpiechem Roman.

— Będzie panom niewygodnie — odpowiedział starzec szorstko i kazał jechać naprzód.

— Oryginał!... dziki człowiek!... — mruczał gniewnie literat, siadając obok Lachowicza.

— Znasz go pan? — spytał Ludwik.

— A któżby go nie znał? — Bogacz, chorujący

na protektora sztuk pięknych, a przytem stary kawaler z wyziębłem sercem!

Gdy przyjechali do domu, zastali tam gości: panów Alfonsa i Józefa, którzy nader chłodno przywitali Romana. Obaj młodzieńcy byli pewni, że Sielski, który znikł tak nagle przed kilku miesiącami, ustąpił wobec potęgi ich wdzięków. Zjawienie się zatem nowego współzawodnika oburzyło ich.

Powoli jednak odzyskali otuchę, widząc, że Zosia jest dziwnie poważna i milcząca. Odzywała się rzadko, jakby z przymusem. To też w ciągu wieczora prawie sami tylko panowie rozmawiali.

W ciągu gawędki tej zaszedł wypadek, o którym godzi się wspomnieć ze względu na wpływ, który wywarł na przyszłe losy większej części zebranych.

Lachowicz zapytał literata: co go najwięcej uderzyło na cmentarzu?

— Mnóstwo rzeczy — odparł Roman. — Wymienie jednak dwie najskandaliczniejsze. Naprzód, że jacyś nieprzyzwoici ludzie hałasowali tam, jak w ogródku, i palili papierosy...

Panowie Alfons i Józef, usłyszawszy to, zmieszczeni niesłychanie. Nadrabiając jednak miną, przyłączyli się do jednozgodnego chóru potępień.

— A powtóre?... — spytał Ludwik.

— A powtóre, że jakiś dziwak nie tylko kazał sobie wymurować grób za życia, ale nadto wycementował go i wewnątrz pomalował olejno...

— Mój panie! — krzyknął nagle stary hypochondryk — gdybym wiedział, że się panu olejna

farba nie podoba, tobym kazał sobie grób wytapetować!

Pan Roman za późno poznał szkaradny fakt przegadania się, a starzec tymczasem pytał go dalej:

— Cóż pan w tem widzisz złego, że ktoś sobie grób buduje za życia?...

— Nic, panie! — odparł zbity z tonu literat. — Pan może sobie pozwalać na tak niewinne przyjemności...

— A dlaczegoż inni nie mogą?

— Inni mają obowiązki...

Hypochondryk aż skoczył na krzesło.

— Alboż to, panie, ja wyrzekłem się obowiązków?... Czy to, panie, ja nie jestem już członkiem społeczeństwa?... zawołał.

— Miałem na myśli ludzi familijnych, — bronił się zakłopotany literat — ludzi takich, którzy swoją dbałością o wygodę pośmiertne krzywdzą spadkobierców... A pan...

— A ja... Myślisz pan, że nie mam spadkobierców?... — przerwał hypochondryk. — Oto są moi spadkobiercy — dodał, wskazując Ludwika i Zosię — oni jednak nie czują się pokrzywdzeni tem, że sobie grób pomalował na olejno!

Zosia i Ludwik, pierwszy raz usłyszawszy o podobnym planie protektora, zdziwili się i zmieszali. Lecz któż zdoła opisać wrażenia osób pozostałych?... Pan Roman umilkł, czując, że musi mieć uszy bardzo czerwone; panowie Alfons i Józef, jedną ożywieni myślą, chcieli upaść do nóg hojnemu starcowi i podziękować mu za zapis, do którego każdy po-

jedynco miał pretensję. Później jednak, opamiętawszy się, postanowili odłożyć to do właściwego czasu.

Gdy goście rozeszli się, Zosia, całując brata na dobranoc, spytała nieśmiało:

— Prawda, Ludwisiu, że on wróci do nas?...

— Kto? — spytał ze złośliwym uśmiechem Ludwik. — Czy pan Roman?

— Dajże mi pokój z tym panem Romanem! -- odparła. — Wiesz dobrze, o kim mówię...

Ponieważ Ludwik milczał, objęła go więc za szyję i szepnęła mu do ucha:

— Prawda, że przyjdzie?... Muszę mu przecież podziękować. Mój Boże!... nigdy sobie tego nie przebaczę!... Ale jak ty to zrobisz?...

— Niedawno mówiłaś mi, że go nienawidzisz? — przerwał Ludwik.

Zosia cofnęła się, usiadła na krześle i, zasłaniając twarz rękoma, rzekła:

— Sama nie wiem, co się ze mną dzieje!

Poszła spać około północy, nie czując potrzeby spoczynku. Sen ją odbiegł, i z trwogą myślała o jutrzejszej wizycie Sielskiego. Pulsa jej biły, poduszki wydawały się zbyt twarde i najgorzej ułożone.

— Co ja mu powiem?... co ja mu powiem?...

Potem wpadła w marzenie. Zdawało się jej, że już rozmawia z Sielskim, który na wszystkie podziękowania jej odpowiada śmiechem.

— Pocóżes pan w takim razie pamiętał o grobie mego ojca? — spytała rozżalona jego obojętnością.



— Naturalnie, że w celu wynagrodzenia krzywdy Ludwikowi, — odpowiadało widziadło. — Do pani zaś nie mam najmniejszej pretensji... przebaczyłem oddawna.

On nie ma do niej pretensji! Czy kto słyszał coś podobnego?... Mój Boże! dlaczegóż jej raczej nie nienawidzi? dlaczego się nie gniewa, nie robi wyrzutów?...

Wybiła trzecia.

Zosi zdawało się, że już nie zaśnie. Czy podobna spać, mając głowę takimi myślami nabitą?... Chciała zapalić światło, czytać książkę lub przejść się po pokoju ,lecz nagle zasnęła.

Marzyła, że jest na łące, pełnej kwiatów. Dzień był jasny, słońca jednak na niebie nie widziała. Powietrze było czyste i wonne, ona jakaś lekka, tak lekka, że unosiła się nad ziemią. Przypomniała sobie podobne sny w latach dziecińczych i to, że wówczas była bardzo szczęśliwa. Teraz jednak miejsce radości zajął w jej sercu niepokój...

Skąd pochodził?... napróżno usiłowała sobie przypomnieć.

Zwolna nad łąką zapadła noc; zielona trawa, żółte, białe i różowe kwiaty zatonęły w jakiejś czarnej pomroce. Wszystko znikło: niebo, łąka, ona sama nareszcie, i tylko wśród bezgranicznej ciemności, pozostało... uczucie niepokoju.

...I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom..."

Z temi wyrazami obudziła się i zadzwoniła na pokojówkę.

— Która godzina, Joasiu?

— Czy pan Ludwik już wstał?

— Pan już wyszedł do miasta, — odpowiedziała służąca.

Zosia zerwała się na równe nogi, zapominając o śnie i znużeniu. *On* mógł przyjść niezadługo, należało się więc ubrać.

— Daj mi czarną suknię, Joasiu — rzekła.

— Czarną? — spytała dziewczyna, idąc do szafy.

Wiedzieć potrzeba, że w czarnej sukni Zosia wyglądała najpiękniej. W tej chwili jednak przyszło jej na myśl, że popełni akt malutkiej kokieteryj; gdy więc podano jej suknię, odezwała się:

— Albo... schowaj ją napowrót. Wezmę codzienną, popielatą...

Joasia z suknią odwróciła się do szafy, lecz Zosia znowu, po pewnem wahaniu, rzekła:

— Albo... wiesz co... daj mi czarną.

Około południa, kompletnie ubrana, z biciem serca oczekiwała na gości. Nagle przed domem zaturkotała dorożka...

Nogi się pod nią ugięły.

— Czegóż się lękam? — pomyślała. — Za godzinę wszystko przejdzie...

Czekała minutę, dwie... pięć... Nikt na schody nie wstępował.

— To nie oni!

Odtąd każdy turkot na ulicy, każdy łoskot na schodach wywoływał bladłość na jej twarzy. Zmęczona, postanowiła już o niczem nie myśleć i jakąś mechaniczną robotą wypełnić czas, wlokący się

zbyt powoli. Potem zaczęła sobie przyjomiąć epizody z życia pensjonarskiego, począwszy od chwili wejścia do szkoły aż do opuszczenia jej.

— Musiało już z pół godziny upłynąć! — pomyślała. Zegar jednak przekonał ją, że upłynęły dopiero trzy minuty!...

Przesuwając na oknie kwiatki, dostrzegła świeżo rozwiniętą kamelję.

— Wepnę ją we włosy!... — pomyślała w pierwszej chwili.

— Nie!... — szepnęła natychmiast potem i przejrzała się w lustrze.

Około drugiej znowu stanęła dorożka przed domem. Wyszedł z niej Ludwik i... ktoś jeszcze... Zosia szybko zerwała kamelję, wpięła ją we włosy i nad wszelki wyraz osłabiona padła na krzesło.

Na schodach tymczasem rozległo się stąpanie i rozmowa na dwa głosy. Skrzypnęły drzwi przedpokoju...

— Boże!... dodaj mi siły... — szepnęła Zosia. Do salonu wszedł Ludwik i pan Roman.

Po wielu ukłonach i małej pauzie, literat zaczął mowę, w której starał się uwiadomić słuchaczów, że na podziękowanie za wczorajszą herbatę i dla zawarcia bliższych stosunków ośmiela się dziś złożyć ceremonjalną wizytę.

Potem, widząc, że Zosia okazuje dużo ochoty do słuchania, a mało do mówienia, począł rozwodzić się nad stanem pogody, nad najświeższymi wypadkami w mieście, wspomniał o literaturze, o planie powieści, którą miał napisać i po czterdziestominu-

towej gadaninie pożegnał Ludwika i Zosię, obiecując wizyty jak najczęstsze.

Gdy wyszedł, Zosia wymownie spojrzała bratu w oczy.

— Byłem dwa razy, alem go nie zastał.

— Może wyjechał?... — zapytała przerażona,

— Wątpię. Zresztą zastawiłem bilet z notatką i pójdę do niego jutro.

— Jutro!...

Zosię głowa rozboleła. Poszła do swego pokoiku, oparła twarz na poduszce i uczuła, że jej mimowoli łzy z oczu płyną. Nic dziwnego! bezsenność, a potem trajkotanie literata — musiały ją nieco zdenerwować!

Nazajutrz Ludwik znowu wcześniej wyszedł do miasta i Zosia znowu wstała później. Ale miejsce gorączkowego niepokoju zajęła lekka apatia. Zosia nie włożyła już czarnej sukni i nie wpięła kamelji we włosy. Przeczuywała, że Sielski i dziś nie przyjdzie.

Okolo pierwszej, poniewaz pani Skulska wyszła za sprawunkami, kucharka wezwala Zosię na wielką radę wojenną. Przypaliła się legumina sagowa, należało zatem upiec inną. Naśmiewszy się ze strapienia kucharki, Zosia wydała jej drugą porcję sago i udzieliła kilku przestroóg, przyjętych niebardzo chętnie.

W tej chwili wbiegła pokojówka:

— Proszę pani...

Zosia domyślała się już, kto przyszedł, a w chwi-

lę potem, sama nie wiedząc jak, znalazła się w salonie oko w oko z Sielskim.

Jerzy nie wyglądał wcale na desperata; miał cerę zdrową i fizjognomję wesołą. Bez żadnego wstępu pocałował Zosię w rękę i rzekł tonem swobodnym:

— Znalazłem wczoraj kartkę Ludwika u siebie, z wezwaniem, abym przyszedł. Przychodzę więc w nadziei, że pozwolisz się pani przebłagać...

— To ja powinnam pana prosić o przebaczenie...

— Mnie?

— Tak. A zarazem najserdeczniej podziękować za pamięć o grobie naszego ojca... — szepnęła Zosia.

— Czy nie sądzi pani, żem spełnił tylko mój obowiązek?... — spytał Sielski.

— O którym dzieci zapomniały! — odparła Zosia.

Usiedli obok siebie.

— Niech błogosławione będzie to zapomnienie! — mówił Jerzy z zapalem. — Sam Bóg zesłał je na was, bo i jakżebym mógł inaczej okazać wam mój żal i przywiązanie?... Gdyby pani wiedziała, ile chwil, nieledwie przyjemnych, spędziłem przy tym grobie, jak szczęśliwym czułem się w mojem osamotnieniu! Wiedziałem, że prędzej czy później przyjdiesz tam pani i że nie oprzesz się niemej prośbie ojca: „Przebacz naszemu przyjacielowi, który nas tak kocha!“ Ale... — dodał po chwili — może ja mówię zbyt śmiało?... Może pani nie ży-

czy sobie...

— Owszem!... Już tak dawno pana nie słyszałam... — odparła Zosia drżącym głosem.

— Więc dobrze — rzekł, biorąc ją za rękę. — Niewiele mam już do powiedzenia, chyba to tylko, że panią kocham. Kocham tak, że niema godziny, abym o pani nie myślał... Mimo to, jeżeli sądzisz, że nie przeszedł jeszcze dla mnie czas pokuty, jeżeli każesz, odejdę. Będzie mi bardzo smutno... Nie masz pani pojęcia, jaka to straszna rzecz czekać, jak się czas długim wydaje...

Zosia poruszyła główką, jakby na znak, że wie już, co to jest oczekiwanie. Milczała jednak, nie mogąc znaleźć wyrazu odpowiedzi. Zdawało się jej, że utraciła już wszelką władzę nad sobą, że umiera...

— Nie odpowiadasz pani?... — spytał Sielski, patrząc jej w oczy. — Więc zrobmy tak: jeżeli mam odejść, cofnij rączkę...

Ręka Zosi drżała, lecz nie cofnęła się.

— Więc nie odpychasz mnie?... Więc mogę już zostać?

— Tak!

Teraz stała się rzecz niepojęta w końcu XIX wieku, istny anachronizm! Sielski ukląkł przy nogach Zosi, a ona... Ach, świecie nieszczęsny... pocałowała go w czoło!... Ale tak delikatnie, no tak... że oboje wyprzećby się tego mogli — pod przysięgą.

Na schodach rozległ się łoskot i do salonu wpadł Lachowicz, wołając:

— Jesteś, zbiegu!...

I w otwarte ramiona przyjął rozrzewnionego Sielskiego.

— No, więc już zgoda? — zapytał Ludwik Zosi.

Zosia, usłyszawszy to, zarumieniłaby się niezawodnie, gdyby nie to, że już przedtem była zarumieniona w najwyższym stopniu.

— Kiedyż mnie zaprosicie na wesele? — pytał dalej neliłościwy Ludwik.

— Ty lepiej zaproś pana Jerzego na obiad! — odparła z udanym gniewem Zosia.

— Ależ na wszystkie obiady zapraszam go! Niech się przyzwyczaja do twojej kuchni!... — zawołał Ludwik.

Odtąd rzeczywiście Sielski był u nich stałym gościem. Przychodził około drugiej w południe, a wychodził około jedenastej w wieczór.

20. Co się stało później?

Dziwne! bardzo dziwne rzeczy wyrabiają się na tym świecie.

Od owego wieczoru w dzień Zaduszny, kiedy to przy herbacie stary hypochondryk pokłócił się z literatem o malowanie grobów, — uczuciowy z natury pan Alfons wpadł w melancholję.

Znał on Zosię od lat kilku, ale od kilku dni dopiero przekonał się, że żyć bez niej nie może. Zbrzydził mu stan kawalerski i kawalerskie mieszkanie, a nadewszystko obmierzył mu pan Józef, w którym od bardzo dawna podejrzewał rywala.

Poznawszy taki stan umysłu i serca miłego pana

Alfonsa, nie powinniśmy się dziwić, że młody ten i obiecujący człowiek rzekł pewnego razu:

— Dziś, albo nigdy!

Jednocześnie przypomniał sobie, że wykrzyknika podobnego użył już ktoś w jakiejś powieści czy dramacie. Ponieważ jednak wszelki namysł był wstrętny panu Alfonsowi, przerwał go więc i spojrzął na zegarek. Była akurat dwunasta.

— Już czas! — rzekł.

I to zdanie było skądś wyjęte, ale pan Alfons nie zastanawiał się już nad nim. Natomiast kilku wprawnymi rzutami oka ocenił w niewielkim lusterku całość swej garderoby, wziął mechaniczny, jedwabny kapelusz i wyszedł.

W pół godziny potem widzieć go było można w domu, zajmowanym przez Lachowicza i Zosię.

Pan Alfons, rycerz bez trwogi, śmiało wszedł na schody, pewną ręką zadzwonił do przedpokoju i mierzonym krokiem pomaszerował do salonu, gdzie już zastał Zosię. Zosia, zobaczywszy pana Alfonsa, włosy na skronie zaczesane i grobową fizjognomję, domyśliła się rozmowy poważnej.

Przywitawszy się, pan Alfons siadł na taborecie, odchrząknął i zaczął:

— Pani!... Przedewszystkiem racz być pobłażliwą, jeżeli słowa moje niedostatecznie odmalują treść uczuć i nie odpowiedzą doniosłości interesu... to jest... propozycji, którą ośmielę się przedstawić...

Zosia z niespokojną ciekawością patrzyła na niego.

— Już od lat kilku, — ciągnął dalej — jak to pani zapewne niejednokrotnie dostrzegła... Już od lat kil-

ku, — poprawił się — przestałem być panem moich uczuć... Obecnie, przekonawszy się, że dłuższe ukrywanie tajemnicy przechodzi moje siły, odważam się błagać panią o jej rękę, której, sędzę, że mi nie zechcesz odmówić.

Pan Alfons otarł czoło chustką. Zosia siedziała, jak na szpilkach.

— A teraz — zakończył — czekam wyroku pani...

Nastąpiła chwila milczenia.

— Pewny jestem, że nie masz pani zamiaru doprowadzić mnie do rozpacz... — dodał jeszcze Alfons, ani na chwilę nie tracąc nadziei.

— Niech pan raczy pomówić z moim bratem! — szepnęła zmieszana Zosia.

Pan Alfons wstał.

— Pozwoli pani, — rzekł — że ze względu na ważność, jaką ma dla mnie ta odpowiedź, udam się po nią natychmiast, a tymczasem...

Pocałował Zosię w rękę i, wzięwszy składany kapelusz, udał się do pracowni Ludwika.

O czym mówili, Zosia nie wiedziała. Pewnem jest jednak, że pan Alfons nie wrócił nawet, aby ją pożegnać, lecz czerwony jak upiór, opuścił pracownię.

W tej samej chwili do przedpokoju wszedł pan Józef. Alfons, zobaczywszy to, gorzko się uśmiechnął i spokojnym krokiem zeszedł do sieni z zamiarem oczekiwania na rywala.

Pan Józef, wchodząc do salonu, był zdenerwowany. Na twarzy miał wypieczone rumieńce, ru-

chy gorączkowe. Zaczął wizytę od pocałowania rączek Zosi i rzekł nagle:

— Jaki piękny dzień! Śnieżek tak chrupie pod nogami... Sanek mnóstwo uwija się po ulicach... Czy pani używała już szlichtady?

— Jeszcze nie — odparła zakłopotana Zosia.

— Szkoda!... A czy pani nie wybiera się do teatru?... Grają nową sztukę...

— Nie...

— Panno Zofjo! — mówił dalej, poruszywszy się niespokojnie na krześle. — Sądzę, że mam w pani prawdziwą przyjaciółkę?

— Niezawodnie...

Pan Józef znowu rzucił się do rączek.

— Otóż w imię tej przyjaźni...

Bystro spojrzał na Zosię i, dostrzegłszy w jej twarzy jakiś niedobry symptom, zawołał:

— Już straciłem nadzieję!

— Jaką?... — spytała nadzwyczaj zdziwiona panna.

— Powiem wprost. Przyszedłem złożyć u nóg pani moje serce, ale widzę..., że stanowisko moje jest wprawdzie bardzo skromne (pan Józef był małym urzędnikiem w banku), lecz miłość dodałaby mi skrzydeł.

— Bardzo mi przykro!... przerwała cichym głosem Zosia.

— Stało się! — jęknął nerwowo pan Józef. — Ktoś inny mnie zwyciężył... Bądź pani szczęśliwą i zapomnij...

Jeszcze raz pocałował ją w rękę, schwycił kapelusz i wybiegł z pokoju.

— Jak Boga kocham, skompromitowałem się! — mruczał, przeskakując po kilka schodów.

W bramie wpadł na pana Alfonsa, który przywitał go drwiącym śmiechem.

Pan Józef aż się cofnął.

— Cóż tak krótko? — spytał go ironicznie Alfons.

Pan Józef wpadł w gniew.

— Mój kochany... mój kochany... — mówił prędko — odłóż swoje niewczesne żarty na później!

— Cóż u licha! wyglądasz tak, jakby cię nieprzyjemność spotkała?...

— Proszę cię, daj mi pokój, — krzyknął Józef, usiłując go wyminąć.

— Cha! cha! cha!... — śmiał się Alfons.

— Proszę cię, — bełkotał drżącym głosem pan Józef — wiesz, że jestem prędkii...

— Więc i cóż? — odparł wyniośle Alfons.

— To..., że ci mogę powiedzieć przykre słówko...

— Podobasz mi się! A pojedynek od czego?

W tej chwili ukazał się w bramie Sielski, który szybko wbiegł na schody.

Na ten widok rozdrażnieni młodzieńcy uspokoili się. Pan Alfons spojrział na pana Józefa, a pan Józef na Alfonsa.

— To on!... — szepnął Alfons z nienawiścią.

— Więc i ty dostałeś odkosza? — spytał zdumiony Józef.

— Naturalnie!... A mimo to, jak widzisz, nie tracę zimnej krwi...

— Niech go лихо porwie! — mruknął Józef i wyszedł na ulicę.

Pan Alfons podążył za nim.

Gdyby obu młodzieńców natchnął duch wieszcz, przekonaliby się, że w tej chwili Ludwik opowiadał Jerzemu ich niefortunne oświadczenia, i że się bardzo śmiano na gorze.

W jakiś czas później spotkał Sielski na ulicy dawno niewidzianego Romana. Literat, zakomunikowawszy mu parę najświeższych planów do powieści, rozgadał się na dobre i w konkluzji rzekł:

— Wiesz pan, że zrobiłem pyszną znajomość!

— Jaką? — spytał Jerzy.

— Poznałem siostrę Lachowicza. Cud piękności, powiadam ci, istna przylepeczka!

— Znam ją i ja — wtrącił Sielski.

— Pan? — spytał zdziwiony literat.

Potem, namyśliwszy się, dodał:

— Kiedy tak, to powiem panu wszystko; wiem, że mnie z sekretu nie wygadasz! Wyobraź pan sobie, że się w niej formalnie zakochałem...

Wpadł w entuzjazm i mówił dalej:

— Dziewczyna śliczna, ukształcona, wesoła, a jak gra!... Przytem będzie miała parękroć po tym starym protektorze Lachowicza... Otóż myślę się ożenić z nią. Cóż pan na to?

Jerzy roześmiał się.

— Z czego się pan śmiejesz? — spytał niespokojnie Roman.

— Z tego, że mamy tak podobne gusty — odparł Sielski.

— Albo co?

— Nic, tylko to, że panna Zofja jest moją narzeczoną!... — rzekł Jerzy.

Literat stanął na ulicy, popatrzał mu w oczy, a w końcu zaczął gwizdać. Był to znak najwyższego zakłopotania.

— No, ale mimo to sędzę, że nie masz pan do mnie żalu? — spytał Sielski.

Literat zatrzymał się po raz drugi, podał rękę Jerzemu, ścisnął go mocno i rzekł:

— Przebacz mi pan!... ale odtąd nie możemy już być przyjaciółmi. Pozbawiłeś mnie pan szczęścia i jeszcze żartujesz!...

To powiedziawszy, odwrócił się i odszedł.

— Panie Romanie! panie Romanie!... — wołał za nim Sielski. Literat nie obejrzał się nawet i od tego czasu, ile razy spotkał Jerzego, patrzył mu w oczy ponuro.

W karnawale Zosia została panią Sielską. Młodzi małżonkowie wynajęli obszerny lokal na pierwszym piętrze domu, w którym Lachowicz zajął parter.

Odtąd w życiu nowożeńców nie zaszło nic szczególnego, chyba to, że w rok po weselu przybył im sublokator, dziecko, w którym zjednoczyły się wdzięki Jerzego i Zosi. Nowa ta osoba, ubóstwiana przez ojca, karmiona przez matkę, pieszczona przez wszystkich, nie wyłączając starego hypochondry-

ka, który, przy tej okazji, począł nazywać się dziadkiem, — otrzymała na chrzcie imię Ludwika. Wkrótce potem dostała od natury dwa zęby, a od matki śliniaczek i bardzo porządną suknię z białej i szafirowej włóczki.

Rodzice szaleją za Ludwisiem, a przybrany dziadek upatruje w nim niesłychane zdolności i wielkie podobieństwo do siebie. Cztery te indywidua stanowią niepodzielną całość, której punktem centralnym jest najmłodsze.

Codzień po południu gramoli się na pierwsze piętro „dziadek“ i, stanąwszy we drzwiach, w kapełuszu na głowie, zasapany, wsparty oburącz na lasce, pyta:

— No, jest co nowego?

— Jest! jest!... wielka nowina! — odpowiada Zosia. — Ludwiś znowu ma ząbek.

— Ech!... — dziwi się przybyły.

— Ależ tak!... niechże dziadzio sam zobaczy.

Dziadzio patrzy, podnosi brwi do góry i mówi:

— Prawda!... zadziwiający chłopak. Jak Boga kocham, ma znowu ząb!... Zobacz — no, Jerzy.

— Zobacz, Jurciu! — powtarza Zosia.

Jurcio ząb ten oglądał już od rana z dziesięć razy, patrzy jednak po raz jedenasty. Potem chwyta malca na ręce, podnosi do góry, okrywa pocałunkami i obiega z nim pokój, jak warjat.

Czyn ten oburza dziadka.

— Już tyle razy ci mówiłem, że nie umiesz się obchodzić z dziećmi — powiada z wyrzutem i na-

stępnie sam bierze dziecko w taki sposób, że Zosia krzyczy przerażona:

— Dziadziu!... Dziadzio mu krzyżyk złamie!...

Hypochondryk, który wolałby zostać w mózdzierzu utłuczonym, niż dziecku krzyżyk złamać, oddaje syna matce, która nim wstrząsa, podrzuca, obraca na wszystkie strony, z towarzyszeniem niezliczonych całusów.

— Połóż-że go!... — upomina ją z kolei dziadek. — Już tyle razy mówiłem ci, że nie umiesz się z dziećmi obchodzić.

Ponieważ Sielski ma swoje zajęcie, a Zosia musi niekiedy wybiec do kuchni, malec zatem idzie do kołyski, a dziadek czuwa nad nim.

— Cicho tam!... cicho!... mały spać chce!... — uspokaja dziadek tych, którzy ośmielają się chodzić po pokoju.

Na to wezwanie robi się w całym domu cisza. Jakby kto makiem posiał. Upływa minuta, dwie...

— Cha! cha! cha!... — wybucha naraz dziadek basowym głosem. — Zadziwiający chłopak!...

Na ten okrzyk przybiega ojciec z pracowni, matka z kuchni, niańka z garderoby, wszyscy otaczają kołyskę i z niewymowną uciechą widzą, że Ludwiś włożył sobie nogę w usta.

I znowu śmieją się starsi, a uśmiecha się dziecko; znowu wszyscy okrywają malca pocałunkami, i znowu dziadek, niby nakrecona na jeden taniec pozytywka, upomina ich:

— Dosyć!... dosyć!... Już tyle razy mówiłem wam, że nie umiecie się z dziećmi obchodzić!

Wśród tej radości, o Lachowiczu zapominają wszyscy, choć ich od niego jedno tylko piętro oddziela. On też stara się nie zakłócać harmonji swoją osobą, która nie zawsze odpowiada ogólnemu nastrojowi. Co prawda, cały dzień ma zwykle zajęty, szarą godziną zaś, w lecie szczególnie, lubi, otworzywszy okna swego mieszkania, przysłuchiwać się z góry płynącym odgłosom wesela i chodzić po swem wielkiem, a pustem mieszkaniu.

Gdy na górze ciszej, wówczas wychyla głowę przez okno, czy, Boże broń! nie zdarzyło się jakie nieszczęście. Gdy śmiechy znowu się odezwą, cofa się i znowu rozpoczyna swoją wiekuistą wędrówkę:

Raz!... dwa!... Raz!... dwa!...

Upływa szara godzina, zapada noc, na niebie ukazują się gwiazdy, a wówczas do uszu samotnego odludka płyną słowa pieśni Zosinej:

*Śpij, Ludwisiu, już,
Czarne oczka zmruż!...
Patrzaj: deszczyk pada tam,
Piesek szczeka, grozi nam;
W sieni dziad wyciąga rękę,
Pies rozerwał mu sukienkę...
Biedaka broni stróż...
Śpij, Ludwisiu, już!*

Taktowi pieśni odpowiadają na dole kroki Lachowicza, a na górze miarowy łoskot biegunów kołyski:

Raz! dwa!... Raz! dwa!...

KONIEC.



AD-32206

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie

A-32206



001-0037565--00